



PAUL HEYSE

---

# Cztery kobiety

  
wolnelektury.pl



FUNDACJA  
nowoczesna  
Polska

PAUL HEYSE

# Cztery kobiety<sup>1</sup>

TŁUM. BERTOLD MERWIN

BEATRICE<sup>2</sup>

Rozmawialiśmy do późna w nocy; było nas trzech; szczęśliwym trafem zdobyliśmy kilka butelek *asti spumanti* i sączyliśmy słodkie wino dla uczczenia przyjaciela, który właśnie wrócił z Włoch. Był najstarszy z nas; gdyśmy go poznali przed dwunastu laty podczas podróży na Południe, był już dojrzałym człowiekiem. Od pierwszego wejrzenia powzięliśmy wielką sympatię ku temu człowiekowi o szlachetnym wyrazie twarzy i pewnej melancholii uśmiechu. Niezwykle jego wykształcenie, a równocześnie nadzwyczajna skromność przyczyniły się rychło do pogłębienia przyjaźni zadziergniętej podczas trzech tygodni wspólnego pobytu w Rzymie. Po upływie tego czasu musiał nagle wrócić do swej ojczyzny, do Genewy, gdzie stał na czele wielkiego przedsiębiorstwa handlowego. W następnych latach nie pomijaliśmy żadnej sposobności, by spędzić z nim czas jakiś bądź to we Włoszech, bądź w Genewie. Obecnie właśnie nałożył nieco drogi i przybył do naszego miasta, by choć dobieg spędzić z nami.

Stwierdziliśmy, że zewnątrznie nie zmienił się prawie zupełnie; był wciąż jeszcze bardzo przystojnym mężczyzną, włosy miał już lekko posrebrzone siwymi nitkami, czoło gładkie, jasne. Był tylko bardziej małowówny niż podczas ostatniego spotkania i często zamyślał się przez czas dłuższy, wpatrując się nieprzerwanie w jeden punkt. Sądziliśmy, że rozmowa ożywi się, gdy zapytamy go o wrażenia z ostatniej podróży. Ale gdy również i na ten ulubiony temat niechętnie odpowiadał, przestaliśmy nalegać, czekając spokojnie, aż niejako odtaje i zainteresuje się omawianymi sprawami.

Właśnie poruszyłem zagadnienie, które od pewnego czasu bardzo mnie zajmowało — zagadnienie teatru włoskiego. Utrzymywałem, że Włosi, choć są patetyczni i namiętni, nie stworzyli literatury dramatycznej, która dałaby się porównać z grecką, angielską, niemiecką. Bo temperament ludów romańskich, ich natura i kultura są tak ściśle związane z konwenansami, że niezrozumiałe dla ludności włoskiej byłyby tragiczne problematyki opierające się całkowicie na walce jednostki z konwenansem; dalej, że włoscy autorzy nie wazyliby się wyzwolić z więzów formalnych i wziąć z całą bezwzględnością naturalnych, żywiołowych tonów, które jedynie wzbudzają w nas wstrząs tragiczny.

Amadeusz przysłuchiwał się moim wywodom z wielką obojętnością, natomiast Otton sprzeciwił się stanowczo tym poglądom i potępianiu konwencjonalności. Utrzymywał, że mój pogląd jest bardzo niebezpieczny, że w poezji górują właśnie ogólne prawa moralne, a nie indywidualne, że potępienia godne jest wysławianie demonizmu, przesadnego indywidualizmu nie liczącego się z nikim i niczym.

— Prowadzi to — mówił — do obalenia porządku świata na korzyść nieokiełzanego indywidualizmu i do uznawania w poezji jedynie tego, co łamie prawa i gwałci przepisy moralne.

Starałem się wytłumaczyć mu, że chodzi tu tylko o wypadki tragicznych kolizji, i że wielkie, mocne, jednym słowem, heroiczne natury inaczej rozwiązują spór między obowiązującym prawem a swymi pożądaniami niż tchórzliwi filistrzy liczący się z każdą drobnostką.

<sup>1</sup>Cztery kobiety — tytuł zbioru w pierwszym wydaniu z 1928 r. brzmiał: *Cztery kobiety: Beatrice, Garcinda, Filomena, Lotka*. Utwór jest zestawieniem czterech nowel o zbliżonej tematyce, wydanych w latach 1867–1871. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>Beatrice — nowela wydana w 1867 r. [przypis edytorski]

— Genialne natury — mówiłem — obalają granice tuzinkowej moralności i rozszerzają jej zakres, tak jak genialni artyści wydostają się poza bariery swej sztuki, by bariery te ustawić potem o wiele dalej. Poeta i ci, którzy go rozumieją, nie chcą pozbawiać się widoku zjawisk wykraczających poza granice przeciętnej moralności. A kto to uważają niemoralność, dla tego właściwie nie istnieje piękno; taki człowiek rozróżnia tylko rzeczy pożyteczne lub niepożyteczne.

Nagle Amadeusz spojrzął na mnie wielkimi oczyma i poprzez stół podał mi rękę.

— Dziękuję ci — rzekł — powiedziałeś mądre słowo, dobre, kojące. Między nami trzema chyba nie powinno być sporu o to, że obyczajowość nie ma nic wspólnego z moralnością i że najwyższym zadaniem poezji jest sięgać tam, gdzie manifestują się najniezwyklesze przejawy duszy ludzkiej. Przeciw jednemu tylko muszę zaprotestować: przeciw temu, że brak tragicznych poetów we Włoszech wyprowadzasz z cech charakteru ludu zbyt trzymającego się konwenansu. Nie — mówił Amadeusz z rosnącym wciąż wzburzeniem, a oczy jego poczęły niesamowicie błyszczeć — patos włoskich tragedii nie jest zasadniczym tonem, na który nastrojona jest dusza tego szlachetnego narodu. Miałem tego przekonywający dowód... Dowodem tym moja żona, która była Włoszką.

Zamilkł po tych słowach, którym przysłuchiwałem się z wielkim zdumieniem. Bo choć zdawało się nam, że znamy go dobrze, po raz pierwszy dowiedzieliśmy się, że był żonaty, i to z kobietą, która wielką rolę odegrała w jego życiu, a o której istnieniu nigdy nie wspomniał.

Wstał z krzesła i począł krążyć dokoła stołu. Nie przeszkadzaliśmy mu ani spojrzeniem, ani słowem. Wreszcie przystanął, usiadł z powrotem przy stole i rzekł swym głębokim, dźwięcznym głosem:

— Nie mówiłem wam o tym, gdyż wspomnienia zbyt mnie wyczerpują... Ilekroć przed sobą samym rozsnawałem pasmo tych przeżyć, musiałem to zawsze odpokutować dłuższą depresją psychiczną. Czyniłem sobie wyrzuty, że na wasze docinki, dlaczego się dotychczas nie ożeniłem, odpowiadałem zawsze żartami. Właśnie dlatego, by wreszcie w naszych stosunkach wzajemnych nie było niedomówień, obecnie, wracając od jej grobu, tak się urządziłem, by tu przyjechać i spędzić z wami kilka godzin. Pozwólcie więc, że zwierzę się wam z wszystkiego... Otwórzmy wpierw okno wiodące na ogród; jest tu tak duszno, że trudno oddychać... Tak! Pijcie i palcie, ja będę opowiadał, chodząc po pokoju... Minęło już od tych przeżyć prawie ćwierć wieku, a mam je tak żywo przed oczyma, jakby wczoraj zaszły...

To, co opowiedział (a przesiedzieliśmy razem do świtu), spisałem nazajutrz wedle możliwości jego własnymi słowami. Nie myślałem wtedy, że to są ostatnie jego słowa wypowiedziane w naszym gronie. Niebawem dowiedziałem się, że zapadł ciężko na zdrowiu. Od dawna już cierpiał na chorobę płuc i leczył się na Południu. Przeziębził się w kilka tygodni po naszym ostatnim spotkaniu, pomagając w gaszeniu ognia, który w nocy wybuchł w domu sąsiadującym z jego mieszkaniem. Wkrótce potem nadeszła wiadomość, że straciliśmy go na zawsze.

Zdecydowałem się na ogłoszenie moich zapisków. Poczuję się wprost do obowiązku ujawnienia dziwnych losów mego przyjaciela i jego żony. Sądzę bowiem, że to, co przeżywają ludzie wzniośli i szlachetni, nie powinno być ukryte przed światem.

Niechże więc jego opowieść popłynie w jak najszerze koła.

Ukończyłem właśnie dwudziesty piąty rok życia, gdy zmarł mój ojciec. Przejąłem się tym tak bardzo, że ludzie uważali, iż postarzałem się o dziesięć lat. Tuż przedtem jedyna, bardzo przeze mnie kochana siostra wyszła za mąż za Francuza, którego rodzina od dawna osiedliła się w Genewie; został on współnikiem naszej firmy. Byliśmy sobie bardzo bliscy i żyliśmy się ze sobą jak bracia. Gdy siostra namawiała mnie, bym wybrał się na kilka miesięcy w podróż i pokrzepił organizm osłabiony tragicznym przeżyciem — chętnie zgodziłem się na to.

Zmiana miejsca pobytu wkrótce też bardzo dodatnio na mnie podziałała. Odzyskałem humor, młodość, chęć do życia; znowu obudziło się we mnie zainteresowanie dla piękna przyrody i dla dzieł sztuki; poprzednio już odbywałem podróże po Francji i Niemczech,

teraz mogłem rozkoszować się w Mediolanie i Wenecji arcydziełami zabytków artystycznych.

Przede wszystkim jednak tęskniłem za Florencją, toteż w oczekiwaniu wspaniałości, które tam spodziewałem się zastać, byłem dość nieczuły na spotykane po drodze skarby sztuki. Postanowiłem w Bolonii spędzić tylko jeden dzień; w ciągu przedpołudnia pobieżnie zwiedziłem kościoły i galerie, a po południu wynająłem powóz, by wyjechać do Bosco, gdzie z pagórka, na którego szczycie wznosi się stary klasztor San Michele, podziwiać rozległą panoramę okolicy i napoić oczy bajecznym widokiem, rozpościerającym się z tego miejsca.

Był to jeden z najbardziej upalnych dni tego lata; choć byłem na ogół dość niewrażliwy na gorąco, upał wyczerpał mnie niezwykle. Gościniec wiodący z San Michele do miasta był zupełnie pusty. Nad murami zasłaniającymi ogrody wznosiły się gałęzie drzew pokryte powłoką kurzu; koła wozu z trudem obracały się w głębokich pokładach gorącego piasku; mój woźnica kiwał się na koźle, zmożony snem, a zmęczony koń stąpał skrajem gościńca, aby znaleźć się w cieniu padającym gdzieś na jezdnię od jakiejś willi lub parkanu ogrodu. Siedziałem wygodnie, osłaniając się parasolem przed silnymi promieniami słońca; byłem pogrążony jakby w półśnie.

Nagle uczułem, że coś musnęło moją twarz, i to dość silnie. Zerwałem się z siedzenia i zobaczyłem, że z moich kolan na dno powozu zsuwa się kwitnąca gałąź drzewa granatowego, przerzucona widocznie przez murowany parkan, obok którego właśnie przejeżdżaliśmy. Na skutek mojego nagłego ruchu koń stanął i wóz zatrzymał się; woźnica spał spokojnie dalej. Miałem więc sposobność, by zbadać, skąd rzucono gałąź; interesowało mnie to tym bardziej, że wyraźnie usłyszałem chichot — śmiało się z pewnością jakis dziewczę rozradowane tak skutecznie zainscenizowaną psotą. Niedługo też czekałem, stojąc w wozie i bacznie wpatrując się w mur, gdy zza niego wyłoniła się pod wielkim słomianym kapeluszem główka dziewczęca. Para czarnych oczu spoglądała na mnie... Gdy podniosłem gałąź i kwiaty zbliżyłem do ust, śliczna twarzyczka pokryła się gorącym rumieńcem. Natychmiast główka znikła za murem... Gdyby nie to, że trzymałem w ręce gałąź, przypuszczałbym może, że wszystko to było tylko przywidzeniem.

Wysiadłem z wozu i poszedłem wzdłuż muru do wysokiej bramy ze sztab żelaznych, ułożonych w piękny deseń. Przez sztaby mogłem dojrzeć część parku i willę stojącą wśród wiązków i palm. Potrząsnąłem kilkakrotnie bramą, by się przekonać, czy nie zdołam jej bez niczyjej pomocy otworzyć. Brama była zamknięta. Już chciałem ręką sięgnąć do dzwonka, gdy jakiś wewnętrzny głos ostrzegł mnie przed wstąpieniem do tego parku. I cóż mógłbym zresztą powiedzieć, gdyby mnie zapytano, po co dzwonię. Stałem jeszcze czas jakiś, czekając, czy nie zjawi się cudna dziewczyna, która rzuciła gałąź; przypatrywałem się willi, jakbym ją miał zamiar odrysować; wreszcie schroniłem się, znużony spiekotą, do powozu pod parasol. Obudziłem woźnicę i ruszyliśmy powoli w stronę miasta.

Gdy znalazłem się już w gospodzie, spadł krótkotrwały rzęśisty deszcz. Toteż wieczór był precudny, chłodny, orzeźwiający. Włóczyłem się długo pod arkadami, wstąpiłem potem do jednej z kawiarenek, wreszcie w poświacie księżycy podziwiałem przepyszne stare budowle, kościoły, fasady.

Chociaż bardzo zmęczony wróciłem do gospody, niemal do świtu nie mogłem zasnąć. Wciąż przed oczyma miałem twarzyczkę wychylającą się spoza murowanego parkanu ogrodu... A jednak nie wierzyłem, jakoby ona była przyczyną mej bezsenności. Uważałem to zawsze za bajkę, że wystarcza iskra jednego spojrzenia, aby wzniecić pożar w sercu. Przypisywałem więc swoją bezsenność podnieceniu nerwowemu.

Następnego poranka, gdy mi przyniesiono rachunek, który jeszcze poprzedniego wieczora poleciłem wystawić, i zbliżała się chwila mojego odjazdu — zacząłem szukać powodów, by wbrew powziętemu planowi przedłużyć pobyt w mieście. Przypomniałem sobie, że w Bolonii powinienem właściwie odwiedzić kupca, z którym moja firma pozostawała w dość zażyłych stosunkach. Zwykle podczas podróży niewiele o tych sprawach myślałem; teraz nagle wydało mi się obowiązkiem uprzejmości załatwić tę wizytę. Robiłem sobie też wyrzuty, że tak pobieżnie obejrzałem *Świętą Cecylię* Rafaela. Uznałem, że powinienem gruntowniej zwiedzić Bolonię; wszak Florencja nie ucieknie, nie będzie w tym nic zdrożnego, jeśli mój przyjazd do tego miasta nieco się opóźni...

Wreszcie zdołałem w siebie wmówić, że na zmianę mego planu nie wpłynęła zupełnie dziewczyna, która wczoraj obrzuciła mnie kwitnącą gałęzią granatu. Dziwna rzecz: im bardziej o tej wczorajszej scenie myślałem, tym mniej przypominałem sobie jej twarz; pamiętałem tylko jej oczy... Przez całe przedpołudnie zwiedzając zabytki miasta byłem całkiem spokojny. Dopiero po południu, gdy minął już największy upał i siedłem w stronę willi, ogarnął mnie jakiś dziwny niepokój...

Gdy zbliżyłem się do żelaznych sztab bramy, zauważyłem, że w willi, w której wczoraj wszystkie żaluzje były spuszczone, dziś kilka okien jest otwartych; na balkonie stał mały piesek, który na mój widok zaczął głośno szczekać. Również i teraz nie zdobyłem się na to, by zadzwonić. Coś mnie jakby przed tym ostrzegało... Była chwila, że życzyłem sobie, by cudna dziewczyna nie pojawiła się i abym mógł z lekkim sercem nazajutrz odjechać. A jednak mimo to obszedłem dokoła mur graniczący z uprawnymi polami i niskimi chatami chłopskimi. Znalazłem wreszcie miejsce, gdzie niski żywopłot przytykał do muru. Mogłem tu wygodnie wspiąć się i zajrzeć do wnętrza parku. Uczyniłem to bez wahania, gdyż dokoła nie było żywej duszy. Olbrzymi dąb stał w pobliżu, a gałęzie jego ocieniały mur. Skoczyłem jednym susem na najbliższą gałąź i umieściłem się na niej.

Nie mogłem obrać sobie lepszego miejsca; w odległości zaledwie stu kroków ode mnie na trawniku, ocienionym już o tej porze, dwie młode dziewczyny grały w piłkę, nie przezuwając wcale, że się im ktoś przygląda. Jedna miała na sobie białą sukienkę i wielki kapelusz słomkowy, który już wczoraj widziałem. Była średniego wzrostu, smukła, pełna czaru. Czarne włosy podczas gry rozluźniły się, twarzyczka jej była blada, oczy tylko płonęły; kiedy jej towarzyszka niezręcznie rzuciła piłkę, głośno się śmiała; słysząc jej srebrzysty śmiech, czułem, że serce mocno bije w mej piersi. Towarzyszka jej była również w białej sukience, jednak nieco skromniejszej; nie była też w ruchach tak wytworna i zgrabna. Nie poświęcałem jej zresztą wiele uwagi, gdyż wzrok miałem skierowany na zjawisko, które wczoraj tak niespodziewanie mnie zachwyciło. Wyraźnie czułem, że zafascynowało mnie całkowicie, po raz pierwszy w życiu byłem jakby oczarowany...

Zastanawiałem się właśnie, jak by się zbliżyć do niej, nie przerażając jej nagłym pojawieniem się, gdy przyszedł mi z pomocą przypadek. Piłka zbyt silnie przez nią rzucona, przeleciała nad dębem, na którego gałęzi znajdowałem się, i upadła na pole za murem. Szybko zeskoczyłem z gałęzi na mur, zsunąłem się na gościniec i pobiegłem po piłkę. Potem znowu wspiąłem się na mur i ukazałem się z piłką w ręku.

Spojrzała na mnie wielkimi oczyma. Towarzyszka jej krzyknęła i poczęła coś dowodzić, czego jednak z oddali nie rozumiałem. Moja piękna panna nie zwracała jednak na to uwagi, lecz wpatrując się we mnie, czekała, aż zwrócę jej piłkę. Zdjąłem z szyi złoty medalionik w formie serca, zawieszony na czarnej aksamitnej wstążeczce — był to dar mej siostry — starannie owinałem aksamitkę dokoła piłki i rzuciłem ją, celując w tę stronę, gdzie stały obie panny. Piłka upadła o kilka kroków od dziewczęcia o czarnych, błyszczących oczach.

Dziewczyna zrobiła kilka kroków, podniosła piłkę, a zobaczywszy medalion spojrzała na mnie wzrokiem, który wstrząsnął mną do głębi. Medalion wraz z wstążeczką umieściła za gorsem, a rakiętą trzymaną w ręce kilkakrotnie skinęła w moją stronę, jak księżna dziękująca wachlarzem za hołd. Potem powoli, nie obejrzawszy się ani razu, poszła w stronę domu.

Zrozumiałem, że nie wolno mi dziś przedsięwziąć żadnej dalszej próby. Byłem przekonany, iż mnie poznała. Ponowne moje pojawienie się uświadomiło jej, że pragnę się do niej zbliżyć. Symbolicznie rzuciłem jej pod nogi moje serce; podniosła je i umieściła na swoim sercu. Czy nie należałoby jej teraz dać trochę czasu na zastanowienie się? Byłem zresztą tak podniecony i rozgorączkowany, że zapewne mówiłbym od rzeczy, gdybym ją teraz spotkał.

Również i tej nocy spałem niewiele. Wcześniej wstałem i gdy tylko otwarto galerię, usiadłem naprzeciw *Świętej Cecylii*. Przez dwie godziny jakby przed lustrem badałem swe wnętrze. Miałem poczucie, że iskra, która wpadła w moje serce, naprawdę pochodzi z boskiego płomienia...

Znowu upłynęły godziny największego upału, zanim rozpocząłem wędrówkę w stronę willi. Tym razem jednak nie zadowolilem się zaglądaniem przez sztaby żelaznej bramy;

Flirt

zdobyłem się na to, by zadzwonić, i wcale się nie przestraszyłem, gdy rozległ się głośny dźwięk. Na parterze willi otworzyły się boczne drzwi i jakiś starszy człowiek o marsowym wyglądzie pojawił się na progu; zobaczywszy mnie za bramą, zbliżył się, ze zdziwieniem patrząc na nieoczekiwanego gościa. Powiedziałem mu, że jestem cudzoziemcem, że opracowuję dzieło o Włoszech i chciałbym opisać również Bolonię i jej okolice. Proszę o pozwolenie zwiedzenia tej willi, gdyż jest zbudowana w starym stylu i pod wieloma względami bardzo interesująca.

Staruszek zaczął mi tłumaczyć z wielką gadatliwością, że nie może mi pozwolić na zwiedzenie willi, a na poparcie tego przytoczył szereg spraw, o które go wcale nie pytałem.

— Willa ta należy — mówił — do generała Aleksandra P., u którego długie lata służyłem w wojsku... Szwajcarię, skąd pan pochodzi, znam dobrze, niejednokrotnie tam bywałem z moim generałem. Na stare lata odkomenderował mnie generał tutaj, na obecny mój posterunek, gdyż pan mój ożenił się po raz drugi i oddał mi pod opiekę swą córkę. Wie pan przecież, jak to się dzieje, gdy córka jest przystojniejsza niż młoda macocha... Żyjemy tu sobie spokojnie, signorinie nie zbywa na niczym, ma tu nauczycieli śpiewu i języków, którzy przyjeżdżają z miasta, a moja córka jest jej towarzyszką i przyjaciółką. Tylko do miasta signorina nie wyjeżdża, bo i po cóż? Macocha wcale sobie tego nie życzy, a ojciec raz na miesiąc przyjeżdża w odwiedziny do córki. Zawsze gdy tu bawi, przypomina mi, bym jej strzegł jak oka w głowie. W niedzielę signorina chodzi z moją Niną i ze mną do kościoła; zresztą z nikim się nie widuje. Po cóż panu zwiedzić ten stary dom? Zapewniam pana, że jest taki jak sto innych, w parku również nie ma nic osobliwego. Tego by jeszcze brakowało, by się rozniosło, że wpuściłem poza bramę obcego człowieka. Mój pan wypędziłby mnie na stare lata...

Staralem się wedle możliwości uspokoić go, silniej jednak niż moje słowa podziałała złota moneta, którą poprzez sztabę wsunąłem mu do ręki.

— Widzę — rzekł — że jest pan przyzwoitym człowiekiem; nie zechce pan chyba narażać na nieszczęście starego żołnierza. Jeżeli więc tak bardzo panu zależy na tym, chodźmy, oprowadzę pana po willi i parku. Mogę to uczynić tym śmieiej, że signorina ma właśnie lekcję śpiewu; nie dowie się, że wpuściłem obcego.

Ciężkim kluczem otworzył drzwi i zaprowadził mnie do willi. Na parterze była wielka, chłodna sala, chroniona żaluzjami przed słońcem. Nie chcąc wypaść z roli, poprosiłem starca, by otworzył okna, chciałem bowiem przypatrzeć się wiszącym na ścianach obrazom. Były to portrety rodzinne, niewielkiej zresztą wartości artystycznej; jeden tylko, wiszący nad kominkiem, przykuł moją uwagę.

— Jest to matka naszej signoriny — tłumaczył mi stary — mam na myśli prawdziwą matkę, tę, która zmarła przed piętnastu laty. Była to piękna kobieta... Córka jest do niej podobna... Nasza panienska jest jednak o wiele weselsza niż matka; przypomina ptaszka w klatce wciąż przeskakującego z miejsca na miejsce...

— I śpiewa również jak ptaszek — zauważyłem z pozorną obojętnością. — Czy to nie ona śpiewa nad nami?

— Tak jest. Kapelmistrz naszego teatru dwa razy tygodniowo tu przyjeżdża. Gdy potem papa przybywa w odwiedziny... bawi u nas zwykle przez cały dzień... signorina śpiewa mu nowe arie, a wtedy biedak jest jakby w raju. Gdyby nie to dziecko, lepiej byłoby zaprawdę memu panu na tamtym świecie...

— Dlaczego? — zapytałem. — Czy chory?

— Można to również j tak określić... Ja przynajmniej wolałbym być w grobie niż tak żyć... Kto go znał, gdy był jeszcze w służbie wojskowej... Olbrzymi Giovanni di Bologna, wykuty w kamieniu na rynku, nie spojiera na świat bardziej rycersko niżli mój pan generał w tych czasach, gdy pełnił jeszcze służbę. A teraz... Teraz siedzi całymi dniami w fotelu przy oknie, bawi się wycinankami lub gra w domino... Zdaje się, jakby nic nie słyszał i nie widział; gdy mówi do niego żona, patrzy na nią przestraszony i potakuje. Tylko jeśli chodzi o córkę, jest wciąż jeszcze taki jak za dawnych lat, nie da się nikomu omamić...

— A co za przyczyna tego, że popadł w taki stan?

— Tego nikt nie wie, mój panie. Zaszło w domu coś takiego, o czym tylko po kątach ludzie szepczą... Ja zawsze utrzymuję, że żona... mam na myśli obecną panią generałową, zadała mu cios, który go z nóg zwałił. Znosi on nieszczęście jak żołnierz głód i pragnienie, choćby nawet przy tym zmarł...



Rozmawiając weszliśmy na piętro. Coraz wyraźniej słychać było śpiew. Głos miał w sobie coś ostrego; był to wysoki sopran, pełen młodzieńczej siły.

— Jak nazywa się signorina? — zapytałem.

— Beatrice. Zwiemy ją jednak zwykle Bicetta. O, co za złote serce! Moja Nina powiada często: ojczcie, powiada, gdyby Bicetta miała czekać, aż znajdzie męża, który by był jej wart, nie wyszłaby nigdy za mąż. Oto, panie, jej pokój. Tu leżą jej książki; czyta czasem do późna w nocy, powiada Nina, i to w różnych językach. Obraz nad jej łóżkiem wyobraża mojego biednego pana w mundurze generalskim. Ale chodźmy, nie ma tu zresztą nic osobliwego. Meble, jak pan widzi, są bardzo stare. Pan generał chciał przysłać z miasta nowe meble, ale signorina nie zgodziła się na to. Bo tak tu wszystko wyglądało, gdy nieboszczka jej matka spędzała pierwsze lato jako młoda mężatka. Tu na balkonie siedziała zawsze wieczorami... dziecko leżało w kolysecie... stąd spoglądała w stronę miasta i oczekiwała powrotu męża...

Wyszedłem na balkon i począłem głaskać pieska, który mnie wczoraj tak głośno oszczekiwał, a teraz, widząc mnie w towarzystwie starca, lasił się do mnie.

Każde słowo pocziwego staruszka było kroplą oliwy, padającą w trawiący mnie żar wewnętrzny...

By się nie zdradzić, skierowałem rozmowę na styl, w jakim dworek był zbudowany, mówiłem o wykładanym mozaiką stole, stojącym pośrodku wielkiej sali, do której właśnie weszliśmy, potem z udanym zainteresowaniem przypatrywałem się obrazowi *al fresco*<sup>3</sup> na suficie. Nie mogłem się zdecydować na wyjście z tego dworku, chociaż mój przewodnik zaczął okazywać coraz większe zniecierpliwienie.

Nagle w sąsiednim pokoju śpiew ustał, drzwi się otworzyły — i na progu, z nutami w ręku, stanęła ona.

Tak blisko jej jeszcze nie widziałem. A jednak nie widziałem jej wyraźniej niż w poprzednich dniach; mąciło mi się w oczach. Dostrzegłem tylko, że ma na szyi mój medalion.

Stary zaczął, jękając się, wypowiadać jakieś śmieszne słowa usprawiedliwienia.

— To nic nie szkodzi, Fabio — rzekła. — Oprowadź pana, jeśli chce zwiedzić dom i park. A ty, Nino — rzekła do swej towarzyszki siedzącej z robótką w ręku na niskim krześle obok fortepianu — pójdz także i wytłumacz panu, co mamy w domu i ogrodzie ze starych zabytków.

Szepnęła swej towarzyszce coś do ucha, wciąż na mnie spoglądając, a potem z wielkim wdziękiem skinęła mi głową. Następnie zwróciła się do swego nauczyciela, który z ciekawością przypatrywał się całej scenie.

Zeszliśmy ze schodów i udaliśmy się do ogrodu. Tu Nina zwróciła się do ojca:

— Bicetta poleciła mi, bym zerwała dla pana dwie pomarańcze. Jest pan zapewne spragniony po długiej przechadzce. Chodźmy w stronę fontanny; tam są najdojrzalsze.

Szedłem za starym i Niną i od czasu do czasu odwracałem się, by spojrzeć w okna na pierwszym piętrze, skąd wciąż jeszcze rozbrzmiewał śpiew. Żaluzje w oknach pokoju były tylko spuszczone do połowy; widziałem, że Bicetta stoi obok okna i wpatruje się w nas. Nina również często patrzyła w tamtą stronę. Nie miałem wcale zamiaru ukrywać przed nią niczego; wprost przeciwnie: chciałem z niej zrobić naszą powiernicę. Ponieważ jednak stary wciąż był w pobliżu, mogłem jej dopiero wtedy, gdy zbliżyliśmy się do bramy, a stary począł manipulować kluczem, szepnąć:

— Pozdrów ją i powiedz, że usłyszy jeszcze o mnie...

Więcej nie zdołałem powiedzieć, gdyż stary otworzył bramę i pożegnał mnie o wiele mniej uprzejmie niż wtedy, gdy mnie wpuszczał do domu. Widocznie zaczął coś podejrzywać...

Część nocy spędziłem pisząc długi list do niej; opisywałem swój stan duchowy i składałem swe szczęście i przyszłość w jej ręce. Potem zasnąłem i obudziłem się dopiero koło południa. Zebrałem się i ruszyłem w drogę, by sam być listonoszem i doręczyć epistolę, która miała zdecydować o mym losie. Sprzyjało mi szczęście: przygotowałem sobie mówkę, którą zamierzałem wygłosić, gdyby stary nie chciał przyjąć listu, by go wręczyć signorinie. Ale gdy zadzwoniłem, pojawiła się u bramy zamiast niego córka, Nina; mogłem sobie więc zaoszczędzić wielu słów. Nie była wcale zdziwiona moim widokiem.

<sup>3</sup>*al fresco* (wł.) — malowany specjalną metodą na wilgotnej jeszcze ścianie. [przypis tłumacza]

Przyjęła też list bez żadnych skrępołów. Ale na moje pytanie, czy otrzymam od signoriny odpowiedź, zrobiła minę wielce dyplomatyczną i rzekła:

— Kto to może wiedzieć?...

Powiedziałem jej, że na wszelki wypadek przybędę znowu następnego dnia, proszę, by mnie tu oczekiwała; nie chciałbym bowiem dzwonić i wtajemniczać starego w całą korespondencję.

— Ojca mego? — rzekła i roześmiała się. — Nie lękamy się go wcale! Wygląda tak, jakby miał zamiar kogoś połknąć, a jest łagodny jak baranek. Ale niech pan lepiej jutro przyjdzie trochę później. Mamy jutro po południu lekcję rysunków; gdy pan profesor sobie pójdzie, będziemy miały więcej czasu. Dobrze?

W tej chwili usłyszałem turkot powozu na gościńcu. Nina szybko się ulotniła, ja zaś pobiegłem wzdłuż muru i skryłem się za zakrętem. Niebawem ujrzałem, ostrożnie wychylając głowę, że powóz zatrzymał się przed bramą. Z miejsca obok woźnicy na koźle zeskoczył ojciec Niny i pomógł wsiąść z powozu wysokiemu, zupełnie już siwemu mężczyźnie; z oczu, czoła, nosa starca poznałem natychmiast, że to ojciec Beatrice. Szedł nieco pochylony i stawiał bardzo małe kroki. Nie doszedł jeszcze do bramy, gdy Bicetta wybiegła na gościniec i rzuciła się ojcu na szyję.

Jak spędziłem resztę dnia i noc następną, sam nie wiem. Byłem jakby oszołomiony, odurzony... A jednak zupełnie nie odczuwałem niepokoju... Dziwne! Byłem pewien serca tego dziewczęcia, tak jak pewien byłem, że nazajutrz promienie słoneczne rozproszą ciemności nocy. Tylko czas dłużył mi się w nieskończoność; nie mogłem się doczekać tego rozświetlonego jutra.

Muszę jeszcze wspomnieć tu o osobliwym spotkaniu, które miałem następnego poranka w jednym z kościołów. Udałem się tam tylko w tym celu, by skrócić czas oczekiwania; ani obrazy, ani rzeźby nie interesowały mnie zgoła. Byłem tak roztargniony, że zapomniałem stłumić kroki, mimo że właśnie odprawiano mszę. Dopiero niechętny pomruk jakiejś starej kobiety przypomniał mi, że zachowuję się niestosownie. Zatrzymałem się obok pierwszego z brzegu filara i wsłuchiwałem się w grę organów i śpiewy na chórze. Nagle dostrzegłem, że wpatrują się we mnie uporczywie ciemnoniebieskie oczy... Naprzeciw mnie na bocznej ławce siedziała jakaś piękna kobieta i nie spuszczała ze mnie oczu. Wyznaję, że innym razem byłbym niechybnie na to odpowiednio zareagował. Tego ranka byłem jednak zupełnie niewrażliwy; cóż mnie obchodziły spojrzenia, gdy dusza moja przepełniona była żarem płynącym od innych oczu? Gdy wreszcie po skończeniu mszy wszyscy ruszyli z miejsc, zauważyłem, że piękna kobieta zbliżyła się do mnie. Nie była już pierwszej młodości, nieco otyła, jednak wciąż jeszcze tak świeża i piękna, że mogła wzbudzić zainteresowanie. W ręce trzymała mały wachlarz z rączką z perłowej masy. Otworzyła go i kilkakrotnie poruszyła białą ręką w moją stronę, patrząc mi przy tym wprost w oczy. Potem, gdy widziała, że stoję nieporuszony i jakbym nie rozumiał wcale wymowy jej oczu i ruchów wachlarza — dumnie podniosła głowę i przeszła obok mnie.

Zapomniałem oczywiście natychmiast o tym spotkaniu.

O umówionej godzinie byłem w pobliżu willi. Przestraszyłem się bardzo, gdy zamiast Niny, którą spodziewałem się zastać obok bramy, ujrzałem jej ojca. Ale stary z daleka już dał mi znak, bym się zbliżył.

— Napisał pan list do signoriny — rzekł, potrząsając głową. — Dlaczego pan tak postąpił? Gdybym był przypuszczał, że pan to zrobi, nie byłbym pana wpuścił do domu. A obiecałem przecież panu generałowi, że nikt... mój Boże, co to będzie! Lękam się myśleć o tym...

— Odwagi, stary przyjacielu — rzekłem. — Nie miałem wcale zamiaru podejść pana. Gdybyś był wtedy, byłbym wręczył list tobie... byłbym ci pozwolił przeczytać go nawet, abyś widział, że nic w nim nie było zdroźnego...

— Chodźmy — rzekł, przerywając moje słowa. — Nie traćmy czasu. Robi pan wrażenie przyzwoitego młodzieńca, a zresztą: jakże bym mógł przeszkodzić, gdy ona tak chce. A gdy ona coś postanowi, to trudno się oprzeć. Powiedziała mi: „Przyrowadzisz do mnie tego pana, chcę się z nim rozmówić...”

Byłem odurzony tymi słowami. Spodziewałem się tylko listu... Nie marzyłem o niczym więcej.

Tęsknota

Flirt, Obyczaje



Stary był wprost wzruszony, gdy zacząłem silnie potrząsać jego ręką; poznał, jaką radością przejęła mnie ta wiadomość.

Zaprowadził mnie, jak przedwczoraj, do sali na parterze. Wszystkie firanki były rozsunięte, a okna otwarte; naprzeciw kominka stały dwa krzesła; gdy weszliśmy, z jednego z nich wstała Bicetta i postąpiła kilka kroków naprzeciw mnie. W ręce miała książkę; dojrzałem, że wystawał z niej brzeg mego listu. Bicetta miała rozpuszczone obfite pukle włosów. Na jej piersi widniał mój medalion.

— Fabio — rzekła — otwórz drzwi do ogrodu i usiądź na tarasie, na wypadek gdybym cię potrzebowała.

Stary uklonił się i wyszedł.

Wtedy Bicetta przystąpiła do mnie i podała mi rękę; nie miałem odwagi ucałować tej białej rączki.

— Chodź — rzekła — i siadaj. Mam ci wiele do powiedzenia. Widzisz ten obraz? To moja matka... dawno już zmarła... Gdy przeczytałam twój list, usiadłam tu i zapytałam ją, co mam ci odpowiedzieć. A potem miałam wrażenie, że matka każe mi wyznać ci całą prawdę... Oto prawdą jest, że od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałam w powozie, nie mogłam o niczym i nikim myśleć, jak tylko o tobie, i że do śmierci nie przestanę o tobie myśleć.

Nie potrafiłbym zanalizować uczuć, które mną władały, gdy usłyszałem te proste słowa. Ukląknęłam przed nią, ująłem jej ręce i pokryłem je pocałunkami i łzami.

— Dlaczego płaczesz? — zapytała. — Czy nie jesteś szczęśliwy? Ja jestem szczęśliwa. Zniosłam już w życiu wiele cierpień, ale w tej chwili wszystko jest jakby wymazane; wiem tylko, że ty jesteś przy mnie, a ja przy tobie, i że odtąd nigdy już nie mogę być nieszczęśliwa.

Wstała. Podniosłem się z klęczek. Chciałem ją objąć, ale cofnęła się o krok.

— Nie, Amadeo — rzekła — nie wolno. Wiesz, że jestem twoja i że nigdy nie będę należała do innego mężczyzny. Ale teraz musimy być rozsądni. Wszystko obmyślałam w ciągu ostatniej tak długiej nocy. Nie wolno ci więcej przychodzić do tej willi; obiecałam pocziwemu Fabio, że dziś po raz pierwszy i ostatni tu się spotkamy. Gdybyś bowiem częściej tu przychodził, pewna jestem, że uległabym ci, a nie chcę przysparzać hańby memu ojcu... Musisz pójść do niego. Nie sprawi ci to trudu, by się dostać do niego; bywa tam niestety wiele młodzieży... bywają też i cudzoziemcy. Gdy cię pozna, gdy zdobędziesz sobie jego zaufanie, wtedy poprosisz o moją rękę; powiesz mu, że znamy się i że nie chcę nikogo innego za męża, jak tylko ciebie. Musisz mi jednak obiecać, że wszystko to utrzymasz w tajemnicy przed moją macochą. To byłoby najfatalniejsze, gdyby się ona przedwcześnie dowiedziała; ta kobieta nie cierpi mnie; nie byłaby rada, że jestem szczęśliwa. Ach, Amadeo, czy ty mnie tak kochasz, jak ja ciebie? Czy i ty miałeś pierwszego dnia naszego spotkania uczucie, jakby obok ciebie uderzył piorun, ziemia się zatrzęsła, a drzewa i krzaki w pobliżu stanęły w płomieniach? Nie wiem, jak to się stało, że zdjęła mnie chęćka rzucić gałąź na obcego, śpiącego pod parasolem w powozie. Nie widziałam nawet twej twarzy. Była to psota; żałowałam jej już w chwili, gdy cisnęłam gałąź. Ale potem, gdy ujrzałam cię stojącego w powozie i pozdrawiającego mnie gałązką granatu — uczułam jakiś dziwny skurcz serca i odtąd wciąż cię mam przed oczyma...

Zaprowadziłem ją z powrotem do krzesła i, trzymając wciąż jej rękę, opowiadałem, jak spędziłem ostatnie dni i jakie mną władały uczucia. Nie patrzyła na mnie; miałem przed sobą przeczudny jej profil. Potem zamilkłem i czułem, jak silnie krew tętni w żyłach rączki, którą trzymałem.

Po kilku chwilach milczenia wstała i rzekła:

— Pójdźmy do ogrodu, zanim zajdzie słońce i ściemni się. Zerwę dla ciebie kilka pomarańcz. Teraz nie potrzebuję się już wyręczać Niną.

Wyszliśmy do ogrodu. Bicetta wypytywała mnie o moją ojczyznę, o rodziców, siostrę.

— Chcę ją zobaczyć! — rzekła. — Jestem pewna, że mnie pokocha, gdyż i ja ją już kocham. Ale nie pozostaniemy tam długo, gdyż ojciec mój nie przeżyłby dłuższego rozstania ze mną. Nie ma on w życiu żadnej innej radości. Prawda, że wrócisz ze mną potem do Bolonii?

Oczywiście wszystko obiecałem. Bicetta poweselała, coraz głośniejszym śmiała się, coraz częściej powtarzała, że kocha mnie z całego serca.

— Patrz — rzekła wreszcie — jak Nina tam z daleka krąży dokoła nas, a nie ma odwagi zbliżyć się. Biedaczka sądzi, że przeszkodziłaby nam... A czyż tego, co mamy sobie do powiedzenia, nie moglibyśmy śmiało powiedzieć wobec wszystkich ludzi na świecie?... Chodź, Nino! — krzyknęła. — Przedstawię ci mego przysłego męża...

Nina podała mi rękę. Twarz jej płonęła.

— Spodziewam się — rzekła — że pan ocenia szczęście, jakie pana spotkało. Ale jeśli nie będzie szczęśliwa u pańskiego boku, biada panu!

Pogroziła mi paluszkami, po czym roześmiała się głośno.

Papa Fabio był przez cały czas mego pobytu w ogrodzie niewidoczny.

Gdy się ściemniło, obie odprowadziły mnie do bramy.

Co za wieczór i co za noc! W mej gospodzie ludzie byli zapewne przekonani, że jestem niespełna rozumu. Przyszedłem z wielkim koszem świeżych kwiatów, który za mną niosła *fioraia*<sup>4</sup>; rozsypałem kwiaty po całym pokoju, na łóżku, stole, komodzie, podłodze; kazałem sobie przynieść wina; dałem talara skrzypkowi, który przygrywał przed domem. A potem zasnąłem przy otwartych oknach...

Dopiero nazajutrz uświadomiłem sobie, że niejedno jeszcze jest do przebycia, zanim wolno mi będzie posiąść tę, którą umiłowałem. Jak dostać się w dom jej ojca? Czy zyskam równie prędko jego zaufanie, jak zdobyłem sobie miłość córki?

Właśnie przemyślałem nad tym, krocząc pod arkadami, gdy znowu przyszedł mi z pomocą przypadek. Spotkałem owego klienta naszej firmy, którego drugiego dnia mego pobytu w Bolonii chciałem odszukać; był niemało zdziwiony, że bawię jeszcze w mieście. Z miejsca znalazłem wymówkę: powiedziałem, że oczekuję tu listu szwagra; firma nasza zamierza założyć filię we Włoszech; przede wszystkim wchodzi w grę Bolonia, muszę zatem wyjazd swój odłożyć na czas dłuższy i nawiązać w mieście stosunki, porobić znajomości. Wymieniłem prócz innych nazwisk wybitnych rodzin również i generała. Mój klient nie znał go osobiście. Powiedział mi, że zna go jego kuzyn, młody ksiądz; ten chętnie mnie wprowadzi w dom generała. Radzi mi tylko, bym się miał na baczności przed niebezpiecznymi oczyma młodej pani generałowej; właśnie teraz pewien młody hrabia uchodzi za jej oficjalnego adoratora; ma to być bardzo dumny, a przy tym pełen temperamentu młodzieniec; zapewne nie ścierpiałby nowego pretendenta...

Tego samego wieczora poznałem w kawiarni owego młodego księdza i natychmiast poszedłem z nim w odwiedziny do generała. Mieszkał w cichej uliczce, w niepozornym zewnątrz, ale wewnątrz z wielkim przepychem urządzonym pałacyku. Przez pięknie przyozdobiony przedsionek weszliśmy do sali, w której co wieczór zbierali się liczni goście: prałaci, wojskowi, patrycjusze miejscy; zawsze tylko mężczyźni.

Gdy wszedłem, ujrzałem generała siedzącego w fotelu naprzeciw starego kanonika; między nimi był stolik marmurowy, na którym klekotały kamienie domina. Na taborecie obok generała leżały arkusze, na których wymalowani byli żołnierze, obok znajdowały się nożyczki, którymi zwykł był wycinać figurki, gdy nie było nikogo, kto by z nim zagrał w domino. Znowu uderzyło mnie niezwykle podobieństwo między ojcem a córką.

Wymieniłem z nim tylko kilka zdawkowych uprzejmości, po czym zostałem wprowadzony do małego gabinetu, gdzie na otomanie siedziała pani domu; naprzeciw niej na krześle młody, wyelegantowany młodzieniec. Od razu poznać było, że są nieco znudzeni tym sam na sam. On przerculał kartki w albumie, który trzymał na kolanach, ona haftowała jakąś pstrą poduszkę; od czasu do czasu głąskała końcem swego pantofelka z pstrego brokatu sierść wielkiego kota leżącego na dywanie obok jej nóg. W pokoju panował półmrok, toteż nie poznałem w niej od razu kobiety, z którą miałem tak dziwne spotkanie w kościele. Ona widocznie poznała mnie od razu, zerwała się bowiem na mój widok z otomany tak szybko, że grzebień wypadł jej z włosów. Kot obudził się i zaczął mruczeć; młodzieniec spojrział na mnie wyzywająco; poznawszy wreszcie w pani domu kobietę, którą już spotkałem podczas mszy, byłem tak zdziwiony, że straciłem pewność siebie; słowa z gardła dobyć nie mogłem. Na szczęście mój księżulo zastąpił mnie, wszczynając z piękną damą rozmowę. A ona wciąż mierzyła mnie wzrokiem tak samo przenikliwym i badawczym jak wczoraj w kościele. Dopiero gdy spostrzegła, że młody hrabia, którego zastaliśmy w jej buduarze, zupełnie mnie ignoruje, twarz jej ożywiła się. Cichym,

<sup>4</sup>*fioraia* (wl.) — kwiaciarka. [przypis tłumacza]

przymilnym głosem zaprosiła mnie, bym usiadł obok niej na otomanie.

— Hrabio — rzekła — niech pan tymczasem przejrzy nuty, które przysłano mi z Florencji. Zaśpiewam potem, a pan będzie mi akompaniował.

Wtedy „lew” rzucił mi groźne spojrzenie, ale natychmiast opuścił buduar i niebawem usłyszałem pierwsze akordy wygrywane na fortepianie w sąsiednim pokoju.

Mojemu księżulkowi piękna dama poleciła, by rozciął — także w sąsiednim pokoju — kilka tomów romansu, również świeżo z Florencji przysłanego.

Pozostałem więc sam. Bóg świadkiem, że zazdrościłem tamtym panom, zwłaszcza kanonikowi przy marmurowym stoliku. Od pierwszego słowa, które z tą kobietą zamieniłem, czułem do niej coraz silniejszą antypatię; uczucie to wzmagало się, im bardziej ona starała się mnie pozyskać. Musiałem wprost wysilać się, by zachować choćby pozory taktu i notować w pamięci to, co mówiła: wszystkie bowiem myśli moje były tam, w willi, w parku ogrodzonym murowanym parkanem; poprzez gładkie słówka siedzącej obok mnie kobiety słyszałem łagodny głos mej umiłowanej i widziałem jej oczy wpatrujące się we mnie ze smutkiem...

Mimo to piękna generałowa była widocznie wcale zadowolona z tej pierwszej ze mną rozmowy. Prawdopodobnie zupełnie opacznie tłumaczyła sobie moją nieśmiałość i rezerwę; fakt, że w ogóle wystarałem się o to, by zostać wprowadzony do jej domu, interpretowała sobie zapewne na swoją korzyść. Chwaliła moją włoską wymowę, a dla nabrania wprawy w konwersacji radziła, bym co wieczora ją odwiedzał.

— Proszę o to — mówiła. — Chciałabym, by się pan tu czuł dobrze. Moje życie zaczyna się dopiero wieczorem... Jest pan taki młody i nie wiem, czy rozmowa z melancholijną, przedwcześnie postarzałą kobietą sprawi panu przyjemność... Jest pan taki podobny do mego brata, którego tak kochałam, a niestety w młodym wieku straciłam. Podobieństwo uderzyło mnie już w kościele... Dlatego też dziękuję panu serdecznie, żeś raczył mnie odwiedzić...

Po tych słowach uśmiechnęła się i podała mi rękę, którą zbliżyłem oczywiście na moment do mych ust.

— Jestem pewna, że będziemy przyjaciółmi... — rzekła szeptem.

Na szczęście nowi goście weszli w tej chwili do sali; pojawił się też znowu młody hrabia. Niebawem wszyscy wyszliśmy do sali, w której stał fortepian. Przy akompaniamencie swego *cicisbeo*<sup>5</sup> odśpiewała kilka pieśni. Zauważyłem, że kilkakrotnie spojrzała w stronę, gdzie stałem oparty o ścianę. Przysłuchiwałem się jej dźwięcznym, wspaniale wyuczonym trelom, ale myślałem wciąż o młodym, subtelnym głosie, który słyszałem tam, za miastem, w dworku otoczonym drzewami granatowymi.

Weszli lokaje i na srebrnych tacach obnosili sorbety i lody. Pojawił się generał, wsparty na lasce, i opowiadał, że wygrał z rządu sześć partii; zapytał mnie, czy też gram. Gdy powiedziałem, że chętnie grywam w domino, zaprosił mnie, bym następnego wieczora był jego partnerem. Potem wezwał kamerdynera, gdyż nadszedł czas, w którym zwykle szedł spać. Był to sygnał dla gości, by się pożegnali.

Nazajutrz, również w godzinach popołudniowych, wybrałem się znowu w stronę willi. Wprawdzie zabroniono mi przestąpić próg domu — ale przecież wolno zajrzeć przez sztaby bramy żelaznej... A nuż dojrzę choćby wstążkę jej kapelusza... I oto: zastaję ją na balkonie, samą, wpatrzoną w gościniec, jakby mnie oczekiwała... Zrobiła znak ręką, bym się zatrzymał u bramy, sama zaś opuściła balkon, by się za chwilę pojawić na pokrytej żwirem drodze wiodącej od willi do bramy. Twarz jej promieniała radością. Podała mi rękę poprzez sztaby. Gdy zapytałem, czy muszę zostać za bramą, położyła rękę na sercu i rzekła:

— Tak, ale jesteś tu!

Począłem opowiadać o wczorajszej wizycie u jej rodziców. Gdy serdecznie wyraziłem się o jej biednym ojcu, chwyciła moją rękę i ucałowała ją, zanim zdołałem temu zapobiec. O macosze nie wspomniałem oczywiście; sądzę, że zrozumiała moje milczenie.

— Pójdź tam znowu — rzekła — i staraj się przypodobać memu ojcu. Jestem pewna, że cię polubi. A teraz... żegnaj... nie możemy się tu widywać...

<sup>5</sup>*cicisbeo* (wł.) — przyjaciel. [przypis tłumacza]

Oczywiście punktualnie stawilem się wieczorem u generała, który natychmiast zasiadł ze mną do gry. Przyszło dziś mniej osób w odwiedzinach niż wczoraj. Stary kanonik usiadł koło okna, a że go zluzowałem przy dominie, zasnął smacznie w fotelu. Tym razem generałowa znajdowała się również w pokoju męża: siedziała na kanapie niedaleko naszego stolika; młody lowelas, widocznie w cierpkim humorze, naprzeciw niej. Dała mu do ręki jakiś romans, z którego musiał odczytywać na głos całe ustępy. Wreszcie cisnął książkę na kanapę, mruknąwszy jakieś przekleństwo. Generałowa wstała i skinęła palcem, by wyszedł za nią do sąsiedniego pokoju, skąd doleciały niebawem echa ożywionej rozmowy. Słyszałem, że zagroziła mu zakazem bywania w jej domu, jeśli nie zmieni swego zachowania. Stary generał przerwał na chwilę grę, przysłuchiwał się swarom w sąsiednim pokoju, potem głęboko westchnął... Kanonik obudził się, zażył tabaki i podał staremu tabakierkę. Teraz generał począł znowu grać i niebawem ożywił się; zapomniał widocznie o scenie, która rozegrała się tuż obok.

Gdy się żegnałem, poprosił, bym go znowu odwiedził, gdyż chętniej gra ze mną niż z kanonikiem. Pani domu była przy pożegnaniu o wiele chłodniejsza niż wczoraj; miałem wrażenie, że udawała obojętność ze względu na hrabiego, z którym tymczasem się przeprosiła.

Nie myliłem się. Następnego wieczora bowiem nie zastałem u niej młodego hrabiego; ponoć wyjechał na jeden dzień do krewnych; natomiast generałowa podwoiła wysilek, by mnie skaptować. Zacząłem grać rolę niewiniątka nie rozumiejącego zgoła, o co chodzi; widziałem jednak, że mi nie wierzy. Wszyscy obecni mogli oczywiście doskonale zauważyć jej intencje, gdyż zachowywała się zupełnie bez żenady i niczym się nie krępowała, ani obecnością męża, ani kanonika. Zrozumiałem, że nie wolno mi ani dnia dłużej zwlekać, że muszę ojcu Bicetty najszybciej wyznaczyć moje zamiary.

Nazajutrz wieczorem, gdy znowu wróciłem od generałostwa do hotelu, przybył do mnie młody hrabia. Oświadczył, że daje mi do wyboru: albo zaprzestanie bywania w domu generała, albo narażę się na poważne starcie z nim, jako przyjacielem pani domu.

Odparłem, że proszę go, by przeczekał dwadzieścia cztery godziny; po ich upływie przekona się, że nie jestem bynajmniej jego rywalem. Spojrzał na mnie wielce zdziwiony; ponieważ jednak nie otrzymał żadnych dalszych wyjaśnień, pożegnał się zimno i wyszedł.

Następnego dnia wczesnym rankiem — wiedziałem, że generał wstaje o świcie — kazałem się u niego zameldować. Zastałem go w sypialni, z wielką przyjemnością wciągającego dym z długiej tureckiej fajki. Na mój widok ucieszył się, podał mi serdecznie dłoń do uścisku i pochwalił mój zamiar odwiedzania go również i w godzinach porannych.

Gdy tylko wspomniałem o córce, wyraz jego twarzy zmienił się zupełnie. Spoważniał dziwnie; czoło pokryło się bruzdami; widać było, że starzec usiłuje skupić się i nie uronić ani słowa z tego, co mówię. A nie zataiłem przed nim niczego od chwili naszego pierwszego spotkania po dzień dzisiejszy. Gdy mówiłem o mojej miłości, oczy jego błyszczały; spoglądał ku niebu z jakimś uroczystym wzruszeniem, uszlachetniającym jego rysy. Opisałem mu potem mój zawód, stosunki majątkowe i rodzinne, oświadczyłem, że gdyby mi powierzył swe dziecko, byłbym gotów pozostać we Włoszech przez kilka lat, by go nie pozbawiać widoku córki.

Ujął moje ręce i potrząsał nimi z taką siłą, jakiej bym zaprawdę nie przypisywał zgrzybiałemu inwalidzie. Potem przyciągnął mnie do siebie i serdecznie ucałował. Następnie poprosił, abym mu pomógł wstać. Gdy przy mej pomocy podniósł się z fotela, rzekł:

— Klejnot mój będzie do ciebie należał, synu mój; dziękuję Panu Bogu, że dożyłem tej chwili. Chodź! Powiem to mojej żonie. Od razu gdy cię ujrzałem, miałem wrażenie, że masz dobre serce. A gdybym miał dziesięć córek, nie życzyłbym sobie dla żadnej lepszego zięcia. Ach, ta Bicetta! Poza plecami papy wystarała się o amanta! Ale takie są one wszystkie. Gdy chodzi o miłość, żadnej nie można ufać...

Potem znowu mnie ucałował, nazwał uwodzicielem, zdrajcą, obłudnikiem — i powiodł mnie do swej żony, której pokoje znajdowały się po drugiej stronie domu.

Do pokoju swej małżonki wszedł oczywiście generał sam. O tak wczesnej porze nie mogłem pojawić się przed obliczem przyszłej teściowej. Nie słyszałem tego, co mówiono za drzwiami. Od czasu do czasu tylko głos starca podnosił się i dolatywały tony tak stanowcze, jakich nigdy jeszcze z ust jego nie słyszałem. Potem znowu długie chwile szeptu; wreszcie drzwi się otworzyły i pojawił się generał wyprostowany, pewny siebie, jakby po

zwycięskiej bitwie.

— Bicetta będzie twoją — rzekł. — To rzecz postanowiona. Moja żona kazała cię pozdrowić. Początkowo stawiała opór. Mamy kuzyna w Rzymie, młodego chłopaka; przed rokiem, odjeżdżając stąd, powiedział: pilnujcie mi Bicetty, chcę ją poślubić. Ale to był żart, a ja i ty traktujemy sprawę poważnie. Będziesz ją miał, Amadeo! To prawda — rzekł, głęboko wdychając — niejedno tu w domu nie jest tak, jak być powinno. Gdy się człowiek zestarzeje, wypadają mu cugle z rąk. Ale co się tyczy mojej córki, nikt tu nie ma nic do gadania, tylko ja. Masz moją rękę, że Bicetta będzie twoją. Przyjdź dziś wieczorem, spotkasz ją tu. Uściśnij mnie, synu!

Gdy zjawiłem się wieczorem, zastałem dom oświetlony rzęsiściej niż zwykle. Już w przedpokoju ujrzałem mnóstwo osób, które przypatrywały mi się z ciekawością. W salonie na zwykłym miejscu siedział generał, naprzeciw kanonik, ale kamyki domina leżały na marmurowym stoliku nie tknięte. Na kolanach ojca siedziała Bicetta; obejmowała ramieniem jego szyję, jakby w tym środowisku szukała schronienia u swego jedyne go przyjaciela. Gdy mnie ujrzała, wstała z kolan ojca i stanęła przed nim spokojnie, czekając, aż podam jej ramię.

Na otomanie siedziała generałowa w strojnej toalecie, przyozdobiona bardzo bogatą biżuterią; Bicetta natomiast nie miała na sobie żadnych klejnotów, a tylko we włosy wtkniętą drobną gałązkę kwitnącego granatu. Obok generałowej siedział młody hrabia z miną triumfatora; skinął mi głową, a nawet raczył się lekko uśmiechnąć. Generałowa złożyła mi z udaną życzliwością życzenia i ucałowała Bicettę w czoło.

Potem wszyscy obecni przystępowali do nas i składali nam życzenia; podziwiałem takt, z jakim moja umiłowana odpowiadała każdemu z osobna. Ojciec przypatrywał się nam uszczęśliwiony, potem zasiadł z kanonikiem do zwykłej partii. Bicetta i ja schroniliśmy się do kąta salonu, w którym znajdowały się dwa fotele. Wkrótce zapomnieliśmy o całym otoczeniu. Z ulicy padało światło latarni. Ale świeciło dość jasno, bym mógł rozkoszować się uśmiechem mej umiłowanej...

Później niż zwykle goście opuścili dom. Wypito sporo butelek szampana i toastowano na szczęście i powodzenie narzeczonych.

Ustaliliśmy termin ślubu na październik, a więc za dwa miesiące. Po kilku dniach zacząłem się niepokoić tym, że nie otrzymuję wcale odpowiedzi na moje doniesienie o zaręczynach, jakie wysłałem do siostry. Wiedziałem, że ani siostra, ani szwagier nie sprzeciwia się temu. Milczenie tłumaczyłem sobie albo wypadkiem choroby, albo innym zmartwieniem, którego chcą mi zaoszczędzić. Wreszcie po trzech tygodniach oczekiwania nadszedł list; napisał go szwagier. Siostra moja po połogu bardzo ciężko zachorowała; dotychczas stan jej jest taki, iż nie można jej było donieść o mych zaręczynach; lekarz przykazał, by niczym nie mącić jej spokoju. „Jeśli możesz — pisał szwagier — przyjedź tu choćby na kilka dni”.

— Musisz pojechać — rzekła Bicetta, gdy dałem jej do przeczytania ten list. — Jutro musisz wyjechać. Będziesz codziennie pisywał. Ach, gdybym mogła z tobą pojechać! Ale to niemożliwe. Pozdrów siostrę ode mnie, powiedz jej, że ją kocham...

Po tych słowach ucałowała moje usta; był to pierwszy nasz pocałunek. Nawet wtedy, gdy byliśmy sami i nalegałem, by pozwoliła się pocałować, była nieubłagana. Teraz, na wiadomość, że wyjeżdżam na czas krótki, z własnej inicjatywy spełniła to, o co ją przez długi czas na próżno prosiłem.

Rozstałem się więc z nią w tej pewności, że zastanę wszystko tak jak w chwili wyjazdu. Stary generał pożegnał mnie z widocznym smutkiem. Żona jego objawiła żywe zainteresowanie stanem zdrowia mojej siostry i zdołała mnie tak bardzo omamić, że ilekroć w ciągu podróży o niej pomyślałem, przepraszałem ją w duchu za to, że ją dawniej krzywdziłem, źle osądzając jej charakter.

Część moich bagaży zostawiłem w willi, gdyż tam wprowadziłem się; nazajutrz po zaręczynach stary odźwierny i Nina bardzo troskliwie się mną opiekowali.

Spodziewałem się, że wrócę najwyżej za cztery tygodnie; możliwe, że sprowadzę z sobą szwagra i siostrę, by rodzina moja wzięła udział w ceremonii ślubnej.

Gdy wróciłem do Szwajcarii, zastałem siostrę w o wiele lepszym stanie, niżli sobie podczas długiej podróży wyobrażałem — Niebezpieczeństwo minęło; radość ujrzenia mnie po długiej rozłące podziałała dodatnio na jej stan psychiczny. Oczywiście mowy być

nie mogło, by ruszyła w tak daleką podróż na mój ślub. Również i szwagier nie mógł pojechać; interes nasz rozwinął się tak bardzo, iż równoczesna nieobecność obu nas była wykluczona. Siostra i szwagier nalegali, bym jak najszybciej wracał do Włoch. Choć bowiem umówiliśmy się z Bicettą, że będziemy możliwie najczęściej do siebie pisywali — ja spełniałem pilnie obietnicę i nie pomijałem żadnej sposobności wysłania listu — jednakże z Włoch nie otrzymałem ani słowa. Przez przeszło tydzień snułem rozmaite przypuszczenia, by wytłumaczyć sobie w sposób naturalny to milczenie. Ale gdy po czternastu dniach ani od ukochanej, ani od kogokolwiek z Bolonii nie nadszedł znak życia, zacząłem się bardzo niepokoić. Pocieszałem się jeszcze, że chyba nie zaszła żadna nagła katastrofa, byłby mnie o tym powiadomił ów kupiec boloński, z którym pozostawałem w stosunkach handlowych. Ale — myślałem znowu — a nuż nie ma go właśnie w Bolonii? A może zarówno listy Bicetty, jak i jego ulegają konfiskacie?

Musiałem więc wybrać się w drogę, gdyż niepokój mój wzrastał z każdym dniem. W jakim nastroju, jakimi uczuciami miotany odbyłem długą podróż — nie będę opisywał.

Był wczesny poranek, gdy pocztylion zatrzymał się przed bramą podmiejskiej wili. Wypadłem z powozu i zadzwoniłem. Niebawem pojawił się stary poczciwy Fabio. Ujrzawszy mnie przybrał tak strapioną minę, że przerażony krzyknąłem:

— Czy ona nie żyje?

Zaprzeczył ruchem głowy i otworzył żelazną bramę. Był zmieszany, tak że z trudem i bardzo powoli zdołałem wydobyć zeń prawdę. Chciał widocznie oszczędzić mnie, a w rzeczywistości zdręczał tylko, ociągając się z szczegółową relacją. Co prawda, nie znał wszystkich szczegółów, gdyż Nina opowiedziała mu o wielu rzeczach tylko w ogólnych zarysach.

Oto — wedle jego słów — zaledwie wyjechałem z Bolonii, pojawił się ów kuzyn bawiący dotychczas w Rzymie, a roszcący sobie prawo do ręki mej narzeczonej. Czy go wezwano, czy też byłby się zjawił, gdybym nie był wyjechał — nie wiadomo!

— Bardzo to mizerna figurka ten kuzyn — mówił Fabio. — Rozpusta, awanturki, karty i miłości sprawiły, że ledwo trzyma się na nogach. Ale że pochodzi ze starej szlachty i jest siostrzeńcem kardynała, uważany jest wciąż jeszcze za dobrą partię. Bicetta nigdy go ścierpieć nie mogła. Przypominam sobie, że tu, w ogrodzie, przed trzema laty wymierzyła mu siarczysty policzek, gdy ośmielił się pocałować swą kuzynkę. Roześmiał się wtedy głośno i przysiągł, że zemści się, gdy Bicetta będzie jego żoną. A możliwe, że spełni swą groźbę... Ma po swej stronie macochę dziewczyny. Stary generał nie ma odwagi sprzeciwić się... Na widok Bicetty stary płacze jak dziecko... Przestał mówić ze swą żoną, gdyż ona jest winna wszystkiemu...

— A Bicetta? — zapytałem.

— Bicetta? — rzekł stary — któż by się rozeznał w tym, co ta dziewczyna wyprawia. Najpierw, gdy nalegano, by zerwała z panem, gdyż jest pan luteraninem, odpowiadała stale: „Przysięgłam na Boga, że będę jego żoną, i dotrzymam przysięgi, choćbym miała zginąć!” A kiedy kuzyn zjawił się przed nią, powiedziała mu zupełnie spokojnie: „Nie zadawaj sobie trudu, Richino; gdybym nawet nie poznała Amadea, nie byłabym nigdy ciebie pokochała.” A gdy chciał ująć jej rękę, wstała z krzesła i w obecności Niny rzekła: „Przyzwoity człowiek nie wyciąga ręki po to, co należy do kogo innego. Idź, pogardzam tobą!” Nie chce go więcej widzieć na oczy... Ale co o tym myśleć, mój miły panie, przecież niebawem będzie ich ślub, a Bicetta nie roni ani jednej łzy, nie prosi więcej ani ojca, ani matki, ani kogokolwiek bądź... Nie otrzymała ona od pana ani jednego listu... Co? Pan wciąż pisywał? I ona też! Sam zanosilem listy na pocztę. Zdaje się, urzędnicy byli poinformowani, że nie wolno przeszkadzać, gdy siostrzeniec kardynała zamierza obcokrajowcowi sprzątnąć sprzed nosa narzeczoną... Mimo to dziwię się niezmiernie, że Bicetta tak szybko się poddała. Boć przecie ani na chwilę nie mogła wątpić w wierność pana. Nina powiada, że zagrożono jej klasztorem, gdyby sprzeciwiła się małżeństwu z kuzynem. Klasztor nie jest naprawdę odpowiednim locum dla naszej Bicetty. Ale sądzę, że lepiej pójść do klasztoru niż dostać za męża tego zblazowanego lowelasa... Zupełnie tego wszystkiego nie rozumiem... A też i Nina nie przestaje się dziwować...

Podczas tych słów poczciwego starca siedziałem jakby odurzony w fotelu obok kominika, właśnie tam, gdzie po raz pierwszy wyznaliśmy sobie z Bicettą miłość. Byłem wprost niezdolny skupić myśli; ba, nawet władza odczuwania, nienawidzenia i miłowa-

nia była jakby w tej chwili sparaliżowana. Dopiero po długim milczeniu zdobyłem się na pytanie, kiedy właściwie ma się odbyć ślub.

— Dziś po południu — rzekł starzec drżącym głosem.

Podskoczyłem w fotelu; bliskość strasznego tego rozstrzygnięcia podziałała na mnie jaik silny prąd elektryczny.

Fabio spojrział na mnie przerażony.

— Na miłość boską! Co pan zamierza uczynić? Nie zdaje pan sobie sprawy, jak wpływowi są ci ludzie. Gdy się pan pokaże na ulicy, kto wie, czy dożyje pan wieczora...

— Pójdę tam — rzekłem — i powiem temu drabowi, że o jednego z nas dwóch za dużo jest na świecie. Masz przecież jeszcze swe stare kawaleryjskie pistolety. Więcej mi niczego nie trzeba. Puść mnie!

— Przedtem musiałby pan mnie zastrzelić — odparł i ujął tak silnie moje ramię, że zrozumiałem, iż po dobremu nie dam sobie z nim rady. — A zresztą... czy wie pan, co powiedziałaaby na to nasza Bicetta?

— Masz rację... Tego nie wiem. Ale wiedzieć muszę! Pójdę do niej! Dostanę się, choćby wszystkie drzwi zaryglowano.

Fabio nie puszczał jednak mego ramienia. Poprowadził mnie do fotela, zmusił, bym usiadł, i rzekł:

— Pan dobrze wie, że nikt tak nie współczuje z panem, signoriną i generałem jak stary Fabio. Dlatego pozwól pan, abym udzielił panu rady. Jeśli pan sobie wyobraża, że zdołasz teraz do niej dotrzeć, to mylisz się. Ale mnie do niej dopuszczają, mnie nie ośmielą się wyrzucić, choć generałowa niezbyt mnie lubi; w najgorszym razie każe zawołać moją córkę. Proszę usiąść tu przy oknie i napisać list; o ile znam naszą Bicettę, jestem pewien, że natychmiast na ten list odpowie.

Pobiegł po papier i atrament. Byłem tak wzburzony, że nie mogłem wcale pisać; ręce mi się trzęsły; nie zdołałem ułożyć rozsądnego zdania.

— Po cóż pisać? — rzekł stary, widząc moją mękę. — Wystarczy, gdy ona się dowie, że pan wrócił. Jeśli potem mimo to zechce pójść do ślubu, sto listów nie pomoże.

Musiałem mu solennie obiecać, że będę się ukrywać przez cały czas jego nieobecności w domu i że nikomu prócz niego nie otworzę bramy.

Stary przyniósł mi śniadanie, trochę chleba i wina, i poszedł.

Nie mogłem usiedzieć na miejscu. Poszedłem do ogrodu.

Oglądałem drzewa pomarańczowe, których owoce dla mnie zerwała, drzewa granatowe, których gałązki były pierwszymi symbolami naszej miłości. Wszędzie widziałem jej postać; im wyraźniejsza stawała się ta zjawia, tym mniej rozumiałem, że tak prędko mogła mnie zapomnieć. Potem wróciłem do samotnej willi. Obszedłem wszystkie pokoje. W jej pokoiku na stole leżały *canzony*<sup>6</sup> Petrarcki. Usiadłem na pleconym krześle na balkonie i po odczytaniu każdej strofy spoglądałem na gościniec, czy też nie ujrzę starego Fabia wracającego z miasta. Dziwnie byłem spokojny; nie obawiałem się niczego...

A jednak zerwałem się gwałtownie z miejsca, gdy nagle koło bramy pojawił się stary.

— Z czym wracasz? — krzyknąłem i pobiegłem w stronę bramy.

— Niech pan sam przeczyta. Może pan lepiej zrozumie sens tych słów...

Wyrwałem mu z ręki kartkę papieru, na której napisane były ołówkiem słowa:

„Kochany mój! To, co się staje, musi się stać. Nie staraj się temu przeszkodzić, ale wierz we mnie. Nie należę do nikogo, tylko do ciebie. Pojmiesz wszystko, gdy się zobaczymy. Może nastąpi to wkrótce. Zawsze twoja!”

A potem na skraju kartki:

„Musisz się ukrywać. Wszystko byłoby stracone, gdyby cię spostrzeżono.”

Stary zaczął mi potem opowiadać o swej wyprawie do miasta. Sam nie mógł dotrzeć do signoriny. Nina była pośredniczką. Powiedziała ojcu, że signorina wcale nie była zdziwiona wiadomością o moim powrocie. „Dawno go już oczekiwałam” — rzekła. Potem napisała szybko kartkę i poleciła Ninie, aby ojciec jej wręczył mi ją. „Pisała kartkę — opowiadała

<sup>6</sup>*canzona* — liryczna forma poetycka; tu: wiersze, strofy. [przypis tłumacza]



Nina — z takim spokojem, jak człowiek, który gotuje się na śmierć i spisuje ostatnią wolę...” Nie pojmuję jej zupełnie — zakończył stary swą relację.

A ja! Czyż mogłem ją pojąć? Wielokrotnie odczytywałem kartkę — i coraz mniej pojmowałem. Jeśli nie chce do nikogo należeć, tylko do mnie — to dlaczego nie ucieka z domu i nie przybywa tu, natychmiast, przed owym fatalnym popołudniem? Dlaczego raczej nie chroni się w mury klasztoru, aż znajdzie środki i sposoby uwolnienia jej? Dlaczego godzi się na te więzy, które rozerwać może tylko śmierć?

A przecież w jej prostych słowach było coś pokrzepiającego, coś nie dopuszczającego wybuchu rozpacz.

Nie mówiłem więcej ani słowa ze starym odźwiernym. Po kilkudniowej podróży ze Szwajcarii byłem fizycznie jakby złamany. Położyłem się na kilka godzin; nie spałem, a tylko w samotności wysilałem mózg, by przecież zrozumieć zagadkowe jej postępowanie.

Po południu, gdy zbliżała się godzina, na którą był wyznaczony ślub, oświadczyłem staremu, że pójdę do miasta, by się przypatrzeć tej ceremonii.

Fabio był przerażony; widząc jednak, że obstawę niewzruszenie przy swym postanowieniu, zgodził się, pod warunkiem, że będzie mi towarzyszył i że przebiorę się do niepoznaki. Wyszukał dla mnie jakiś stary garnitur ogrodnika i wcisnął mi na głowę szeroki słomkowy kapelusz.

— Muszę pójść z panem — rzekł. — Koniecznie musi być ktoś, kto by pana powstrzymał, gdyby pan stracił głowę i chciał popełnić jakieś szaleństwo.

Kto wie, czy stary nie miał racji...

Gdy przybyliśmy do kościoła, byli tam już zgromadzeni goście i orszak ślubny. Ludzie tłoczyli się przed kościołem. O wejściu do środka mowy nie było. Cziniłem staremu wyrzuty, że podał mi fałszywą godzinę ślubu. Bronił się, że taką mu córka podała. Postanowiłem więc czekać przed kościołem, by ujrzeć ją choćby po ceremoniale ślubnym. Nagle rozległy się głosy: idą! Czulem nagle, że siły mnie opuszczają; byłbym upadł, gdybym się nie był oparł na ramieniu Fabia. Miałem wzrok utkwiony w bramę kościoła, przez którą wyjść miał niebawem orszak.

I oto szła ona... Ze zdumieniem stwierdziłem, że nie zemdlałem na ten widok... Szła obok swego męża... Był taki, jakim mi go opisywał Fabio, nikła, niewyraźna postać... Na zblazowanej twarzy wykwitł uśmiech... Z triumfem kłaniał się na prawo i lewo... Natomiast ona szła, nie oglądając się na nikogo, blada, zagadkowa...

Niebawem znikła z mych oczu. Wsiadła z mężem do powozu.

Za młodą parą szedł biedny stary generał ze swą młodą żoną. Widoczne było, że jest bardzo przygnębiony; natomiast żona jego promieniała dumą i radością.

Słyszałem różne uwagi wygłaszane w pobliżu mnie przez gapiący się tłum. Sam arcybiskup dawał ślub — mówiła jakaś kobieta do swej kumoszki. Panna młoda sprzeciwiała się, nie chciała tego męża, ale papież sam przykazał...

Fabio wyprowadził mnie z tłumy. Skierowaliśmy się z powrotem w stronę willi. Nie miałem siły, by cośkolwiek przedsięwziąć. Byłem jak człowiek ciężko chory, którego wysoka gorączka zupełnie obezwładniła. Fabio mógł w tej chwili ze mną robić, co chciał.

Nie wiem doprawdy, jak spędziłem ten dzień. Gdy wróciliśmy do willi, Fabio zmusił mnie do wypicia kilku szklanek wina; podziało ono tak silnie, że straciłem na czas jakiś świadomość tego, co wokół mnie się dzieje.

Gdy oprzytomniałem, była już noc. Początkowo nie zdawałem sobie sprawy, gdzie się znajduję i co dnia tego przeżyłem. Do pokoju sączyła się poświata księżycy. Nad moim łóżkiem znajdował się obraz matki Bicetty. Zdawało mi się, że twarz ta spogląda na mnie z wielkim smutkiem i żalnością. Teraz dopiero zrozumiałem, co znaczą w moim życiu te godziny. Nagle wyładował się tłumiony przez tyle godzin ból i żal. Krzyknąłem i z przerażeniem wsłuchiwałem się w rozpaczliwe dźwięki, dobywające się z mego gardła. Rzuciłem się na podłogę, rękami rwałem włosy, z oczu moich płynęły łzy, w mózgu przewalały się okropne wizje.

Wreszcie uspokoiłem się, wstałem i wyszedłem do ogrodu.

Zacząłem się zastanawiać, co teraz począć. Myśli tłoczyły się, pomysły przeróżne wylaniały — ale nie mogłem powziąć decyzji.

Okolo północy księżyc zaszedł i ściemniło się w ogrodzie. Wróciłem do willi, zapaliłem w pokoju świecę i postawiłem ją na gzymsie kominka. Przysunąłem krzesło do

kominka i zacząłem czytać opis *Piekle* Dantego, którego *Boską komedię* znalazłem na stole.

Nie minęła jeszcze godzina, gdy usłyszałem czyjeś kroki koło bramy, a potem jakby ktoś obrócił klucz w zamku. Wstałem i wyszedłem na balkon. Ścieżką wiodącą od parkanu do willi szedł jakiś smukły chłopak w ciemnym szerokim kapeluszu i czarnym płaszczu. Po chwili otworzyły się drzwi do pokoju, w którym się znajdowałem — i przede mną stała Bicetta! Padliśmy sobie w ramiona.

Wyrwała się wreszcie z moich objęć i długo w milczeniu oczyma pełnymi łez wpatrywała się we mnie.

— Taki jesteś blady... — rzekła wreszcie. — I to z mej przyczyny... Ale teraz wszystko się skończyło. Dotrzymuję słowa: jestem tu, twoja, tylko twoja... O Amadeo, dlaczego ludzie są tacy źli? Dlaczego najczystsze uczucia starają się znieprawić, zohydzić? Dlaczego zmuszają nas do kłamstwa i krzywoprzysięstwa, byśmy ustami mówili „tak”, kiedy serce woła „nie”? doprowadzili do tego, że miałam do wyboru między dwoma grzechami: albo oddać się temu, którym pogardzam, albo jak złodziej w nocy zakraść się do tego, którego wobec świata nigdy nie wolno mi nazwać mężem. Ale nieprawdaż, kochanku, Bóg ocenia wszystko inną miarą niż ci samolubni ludzie. Nie chce on zapewne, bym sprzeniewierzyła się tobie. Stworzył mnie dla ciebie, ciebie dla mnie. Więc bierz mnie, należą do ciebie! Tamtemu nie pozwoliłam się dotknąć. Gdy zostaliśmy sami, powiedziałam mu: „Jeśli spróbujesz zbliżyć się do mnie, dziś lub kiedykolwiek, wiedz, że winien będziesz mojej śmierci. Przysięgam bowiem, że nie przeżyję godziny, w której zechciałbyś skorzystać z praw, jakie ci dał ślub. Z góry cię o tym uprzedziłam. Mimo to przeparałeś swą wolę. A teraz i ja chcę przeprowadzić moją wolę”. Powiedziawszy mu to, wyszłam i zamknęłam się w swoim pokoju. A kiedy zmiarkowałam, że wszyscy już śpią, przy pomocy Niny przebrałam się w ten strój chłopięcy — i oto jestem tu!

Rzuciła mi się na szyję i ukryła swą płonąca twarz. Żar namiętności, powstrzymywany dotychczas, wyładował się teraz z niepokromioną mocą.

Gdy znowu mogliśmy myśleć i mówić, zaczęła opowiadać, co zaszło od chwili naszego rozstania, o intrygach macochy, o bezradnych próbach ojca, by siebie i swe dziecko obronić przed przemocą, o swych nadaremnych usiłowaniach wyperswadowania macosze i natrętnemu konkurentowi planowanego zamachu na jej wolność. Dopiero gdy przekonała się, że wszystko na próżno, że bez litości zamierzają ją zamknąć w klasztorze, tak że nawet listu nie zdołałaby do mnie napisać — zdecydowała się pozornie zgodzić na wszystko, aby uratować siebie i mnie.

— Ludziom tym — mówiła — szło tylko o pozory zwycięstwa. Że przy tym moja dusza zmarnieje, cóż ich to obchodzi? Wszyscy ci ludzie są niewolnikami pozorów, gdyż nie mogą znieść widoku prawdy! O Amadeo, ileż to razy postanawiałam uciec i otwarcie przed całym światem wyznać, że jestem twoją żoną. Ale nie zdajesz sobie sprawy, jaką władzę mają ci ludzie. Gdybyśmy teraz stąd zbiegli, z pewnością schwytaliby nas; nie wyszedłbyś żywy z ich rąk. A potem... mój biedny ojciec! Nie przeżyłby rozstania ze mną... Ale nie smuć się. Należymy do siebie; ci, którzy o tym wiedzą, są nam oddani i wierni. Wybacz, że nie napisałam ci już dziś rano, że przyjdę. Nie wiedziałam, czy zdołam to wykonać, czy nie przeszkodzi mi w tym ten nędznik. A gdybym nie była przyszła mimo zapowiedzi, znosiłbyś jeszcze okropniejsze męki... Co nocy będę tu do ciebie przychodziła. A tam na straży będzie Nina... Odźwierny w naszym domu w mieście jest zacnym człowiekiem i nie zdradzi mnie z pewnością.

Przysłuchiwałem się tym jej słowom w zamyśleniu.

— Dlaczego siedzisz taki smutny? — zapytała.

— Bo to, co jest naszym najświętszym prawem, musimy zdobywać sobie po kryjomu, jakby zbrodnią było spełnienie tego, cośmy sobie ślubowali.

— Nie myśl o tym — rzekła. — Któż może wiedzieć, co nas czeka? Nic dla nas nie jest pewne, jak tylko ta godzina i nasze serce. Dlaczego nie radować się tym, co jest, tym, że należymy teraz do siebie? Przypuszczam, że jesteś głodny, a ja też od wczoraj nic nie jadłam. Wiem, gdzie Fabio chowa swoje zapasy. Przygotuję naszą ucztę weselną. Będzie ona radośniejsza niż ta, w której zmuszono mnie przed kilku godzinami uczestniczyć.

Pozory, Ślub, Przemoc,  
Podstęp, Wolność

Wybiegła z pokoju, a ja tymczasem zapaliłem wszystkie światła w świeczniku wiszącym w środku salonu. Gdy wróciła, niosąc talerze i szklanki, radośnie krzyknęła. Potem ustawiła na stole naczynia i potrawy, napełniła szklanki winem.

— Na szczęście nasze! — rzekła. — Gdybym tu miała tylko twoją siostrę, chętnie wyrzekłabym się innych gości.

Podawała mi na talerzu zimne mięso i oliwki, odkroiła kilka kromek chleba; widoczne było, że rola gospodyni sprawia jej wielką przyjemność. Oczywiście ani ona, ani ja nie mogliśmy wiele jeść. Skosztowaliśmy każdej potrawy i wychyliliśmy kilka szklanek lekkiego wina.

— A teraz muszę dla ciebie przygotować wygodniejsze łoże niż tu na otomanie w salonie. Najlepiej będzie, jeśli ulokujesz się w moim pokoiku na piętrze. Tam będzie ci przyjemniej. A zresztą: tu mógłby ktoś zajrzeć przez okno i zobaczyć cię, a nie chciałabym, by przedwcześnie dowiedzieli się o tym, że wróciłeś...

Poprowadziła mnie na piętro do swego pokoiku. Gdy przechodziliśmy obok izby Fabia, zapytałem, czy wie, kto dzisiejszej nocy bawi w willi.

— Tak, on wie, że tu jestem. Przedtem, gdy wyszłam do kuchni, spotkałam go i poprosiłam, by z ogrodu przyniósł nam owoce. Płakał i łzami zwilżył moje ręce. Ale nie pojawi się teraz, nie zechce przecież nam przeszkadzać...

Jeszcze promienie słoneczne nie rozproszyły mroków nocy, gdy sama przypomniała, że musimy się rozstać. Nalegałem, że odprowadzę ją do miasta; gdy ujrzała mnie w przebraniu ogrodnika, zgodziła się.

Na gościńcu nie było żywej duszy; powoli pierzchły ciemności; świtało. Przez całą drogę milczeliśmy. Dopiero teraz, gdy mieliśmy się rozstać, odczuliśmy, w jak nienaturalnym znajdujemy się położeniu. Gdy zbliżyliśmy się do domu jej ojca, ucisnęła mnie i szepnęła:

— Do jutra!

Potem zapukała do bramy. Po chwili straciłem ją z oczu.

Stałem przed domem, pogrążony w rozpacz. Więc znowu — snuło mi się po głowie — ta, która do mnie tylko należy, wraca do tego obcego domu, a mnie nigdy nie będzie wolno przestąpić tego prog! Muszę tu stać przed domem i ukrywać się jak złodziej! Czy na dłuższy czas stan taki da się utrzymać? Czy można nazwać szczęściem życie, które co dzień okupywać trzeba męką i troską?

Nie doszedłem jeszcze do willi, a już powziąłem niezłomne postanowienie, że w jakiś sposób muszę położyć kres tej sytuacji. Ulżyło mi to nieco. Idąc pustym gościńcem obmyśliłem we wszystkich szczegółach plan akcji. W ogrodzie willi zastałem Fabia. Wtajemniczyłem go oczywiście we wszystko. Uznał przeprowadzenie mego planu za bardzo trudne, ale zgodził się na wszystko, czego od niego żądałem: nie była to mała ofiara, gdyż miał się rozstać również ze swoją córką. Ale gdy szło o Bicettę, godził się na największe ofiary.

Cały dzień spędziliśmy na przygotowaniach; podziwiałem praktyczny zmysł starego żołnierza.

Wieczorem już o godzinie dziesiątej udałem się w stronę miasta. Oczekiwałem Bicetty u wylotu ulicy wiodącej do willi. Nie omówiliśmy tego, że wyjdę jej naprzeciw. Toteż gdy ujrzałem ją i półgłosem rzekłem „Bicetto!” — przeraziła się i poczęła drżeć. Dopiero poznawszy mnie uspokoiła się; podała mi rękę i szliśmy w milczeniu. Nie mówiliśmy ani słowa, gdyż na gościńcu byli jeszcze ludzie zdążający do miasta. Dopiero w willi, gdzie Fabio zapalił już świece i przygotował nam skromną kolację, mogliśmy się do syta sobą nacieszyć. Opowiadała, jak spędziła dzień; mąż zachowywał się zimno i obojętnie; może w ten sposób chciał ją upokorzyć. Natomiast wobec świata, rodziców i licznych gości, którzy przybywali przez całe popołudnie w odwiedzinach, odgrywał rolę szczęśliwego małżonka. Wieczorem grzecznie się wszystkim uklonił i poszedł do swego pokoju.

— Tak dłużej być nie może — rzekłem, wysłuchawszy jej relacji. — Stan obecny jest niegodny ciebie i mnie. Musimy temu położyć kres. Czekam na twą decyzję; ja już swoją powziąłem.

— Amadeo! — rzekła. — Mamy się rozstać? Raczej zabij mnie!

— Nie — odparłem — ciebie opuścić? Moją żonę? Moje drugie ja? Masz rację: to byłaby śmierć. Ale obecny stan jest gorszy od śmierci. Takie życie, jakie teraz pędzimy,

wcześniej czy później naraziłoby nas na zgubę. Czy można sobie wyobrazić, abym stale tu mógł się ukrywać, bym tu wiódł próżniaczy, samotny żywot, z dala od ludzi, z dala od wszystkich spraw, które mnie zajmują, trawiony męką, bezużyteczny dla świata i ludzi? A nawet gdybym mógł przychodzić tam, w mieście, do ciebie, czyż zniósłbym tę połowiczność i kłamstwo? To, co moje, musi być moim także wobec świata, muszę mieć prawo przyznania się do tego. Czy rozumiesz teraz, do czego zmierzam?

Skinęła głową i siedziała zamysłona, nie mówiąc ani słowa.

— Wiem, że niełatwo ci to przyjdzie — mówiłem dalej i ująłem jej rękę. — Na zawsze stąd wyjedziesz, nie ujrzysz więcej ojca, jeśli nie zdobędzie się na to, by do nas przyjechać, opuścisz ojczyznę, wszystko, co od lat dzieciennych pokochałaś, nie pójdziesz więcej do tego kościoła, w którym po raz pierwszy odmówiłaś pacierz. Wiem, że lęk cię zdejmuje na myśl o tym...

Spojrzała mi w oczy i rzekła:

— Godzę się na wszystko, co czyni ciebie szczęśliwym!

— A więc wierzysz mi, najdroższa! Wierzysz, że dokładnie wszystko obmyśliłem. Mamy tylko jedno wyjście! Ucieczkę. Musimy ją przeprowadzić z niezwykłą ostrożnością. Fabio zna drogę do Ankony jak własny ogród. On nas tam piechotą zaprowadzi. Będziemy szli tylko nocą, przebrani za wieśniaków. W Ankonie wsiądziemy na okręt idący do Wenecji. Fabio też zostawia tu wszystko, swego pana, córkę, byle nam tylko pomóc. Czy masz odwagę i siłę, by odbyć tę daleką drogę?

— Choćby na koniec świata!

Przypadłem do niej i objąwszy jej kolana, zawołałem:

— Chodźmy więc!

— Już dziś? — rzekła. — Błagam cię, Amadeo, nie żądaj tego ode mnie dziś. Nie mogę przecież odejść nie zobaczywszy raz jeszcze ojca i nie zabrawszy ze sobą pamiątek po matce... Przysięgam ci, że ani na chwilę wzdragać się nie będę, ani jedną łzę nie zdradzę bólu rozstania, gdy raz jeszcze spojrzę w oczy ojca. Czuję, że nie zaznałabym nigdy spokoju, gdybym teraz, bez pamiątek po matce, opuściła ten dom. Cóż szkodzi, jeśli do jutra poczekamy? Nikt nie przeczuwa nawet, że jesteś tu, nikt nie wie, że nie spędzam tej nocy w mieście. Nawet Ninie nie powiem ani słowa o naszym planie. Gdy jutro wieczorem opuszczę dom ojca, ojczyzna moja będzie tam, gdzie ty mnie powiesz.

Spojrzała na mnie takim błagalnym wzrokiem, że nie mogłem się sprzeciwić, choć lękałem się każdej zwłoki. Zasiadliśmy do stołu, Fabio obsługiwał nam i przynosił potrawy; o naszych planach nie mówiliśmy zupełnie.

Potem wyszliśmy do ogrodu.

— Muszę pożegnać się — rzekła — z moimi ulubieńcami; tu oto jest sadzony przeze mnie krzew granatu, tu najulubieńsze moje drzewko pomarańczowe. Jutro nie będę miała czasu na pożegnanie się...

Ułamała gałązkę granatu i rzekła:

— Wezmę ją na pamiątkę. Na Północy, tam, gdzie ty mieszkasz, nie ma takich drzew...

Zobaczywszy leżącą na żwirze piłkę, podniosła ją.

— Tę piłkę także weźmiemy z sobą. Nasze dzieci będą się nią bawiły... — rzekła szeptem, kryjąc twarz na mojej piersi.

Doszliśmy do tego miejsca, w którym po raz pierwszy ją ujrzałem wychylającą się poprzez parkan.

— Wiesz — rzekła — tu przenocujemy. Przyniosę z domu koc i przyjemniej nam będzie wypoczywać niż w dusznym pokoju...

Wróciliśmy więc do willi i wynieśliśmy koce i poduszki.

Legliśmy pod baldachimem wielkiej lipy...

...Gdy się obudziłem — nie wiem, po ilu godzinach, było jeszcze ciemno; na wschodzie horyzont jeszcze nie zaczerwienił się — stwierdziłem, że jestem sam. W pierwszej chwili nie zdawałem sobie sprawy, jakim sposobem się tu znalazłem. Potem z przerażeniem pomyślałem: gdzie ona? Dlaczego oddaliła się cichaczem? Wstałem, by zobaczyć, czy nie ma jej w willi. Ledwo zrobiłem kilka kroków, usłyszałem, że ktoś gwałtownie dobija się do bramy i potrząsa żelaznymi sztabami. Pobieglem, jak tylko mogłem najszybciej do bramy. Zastałem tu już Fabia, którego również zbudziło to dobijanie się.

Właśnie starał się dźwignąć jakąś ciemną postać, która upadła tuż za bramą.

— Beatrice! — krzyknąłem, pochyliwszy się nad tą postacią.

Otworzyła oczy i spojrzała na mnie, potem usiłowała uśmiechnąć się.

— To nic... Amadeo... — szeptała, z trudem dobywając wyrazów z gardła i rękę przyciskając do serca. — Nie czuję wcale bólu... nie lękaj się... Czy gniewasz się, że odeszłam, nie budząc ciebie? Spałeś tak spokojnie; myślałam, że wrócę sama do miasta i że nic mi nie grozi... Skądże oni mogli wiedzieć, że wróciłeś... Teraz musisz natychmiast stąd uciec... niestety sam... Ci dwaj, którzy się tam przyczaili, myśleli, że to ty idziesz... Zaledwie mnie zobaczyli, zażądali, bym powiedziała, jakie moje nazwisko. Milczałam. A wtedy wykonali to, za co im zapłacono. Ale nie udało im się; patrz, mogę myśleć, nawet mówić... Zostaw mnie tu spokojnie; nie umrę wiedząc, że tobie nie grozi niebezpieczeństwo... A potem... potem ja do ciebie przyjadę... Uciekaj, nim zaświta... Podaj mi rękę... usta...

Straciła przytomność. Zanieśliśmy ją do sali. Rozpinając jej bluzkę, pokrwałem sobie ręce. Oddychała jeszcze... Coraz trudniej... Westchnęła i — zamilkła na wieki.

Gdy słońce zajrzało przez okna, leżałem wciąż jeszcze na podłodze i wpatrywałem się w jej bladą twarz. Stary Fabio siedział w kącie i cicho jęczał. Wtem usłyszeliśmy na dworze okrzyki: „Bicetta! Bicetta!”. Po chwili wpadła Nina i przypadła do zwłok swej przyjaciółki, głośno szlochając. Gdy ją stary oderwał od łóżka, zawołała, zwracając się do mnie:

— Musi pan natychmiast uciekać! Przybiegłam, by ostrzec Bicettę i pana. Zanim wyszłam z domu, Richino wpadł do sypialni Bicetty. Wiem teraz dlaczego: by jej powiedzieć, że pan już nie żyje. Że tak jednak się stanie, zaprawdę nie przypuszczałem... Nie zastawszy Bicetty w sypialni, Richino zbladł i wybiegł. Jestem pewna, że niebawem tu będzie... Słyszycie?... Kroki... To on! Uciekaj pan, jeśli ci życie mile!

Nie odpowiadałem. Wstałem i stanąłem obok łóżka.

Po chwili otworzyły się drzwi i na progu stanął Richino. Zoczywszy Bicettę martwą na łóżku, zbladł straszliwie i oparł się o drzwi.

— Czego sobie pan tu życzy? — rzekłem. — Spodziewał się pan zastać mnie martwego... Zbiry, których pan nasłał, omyliły się co do osoby... Idź pan, wyjdź natychmiast z tego pokoju, morderco mojej żony. Precz!

Usłuchał bez słowa protestu.

Nina przystąpiła do zwłok, ściągnęła z nich męskie ubranie i przebrała w białą sukienkę, tę, którą Bicetta nosiła, gdy ją ujrzałem po raz pierwszy. Następnie przyniosła z ogrodu mnóstwo kwiatów.

Potem usłyszeliśmy turkot powozu. Fabio wprowadził generała do sali. Gdy starzec spojrział w martwą twarz swej Bicetty, padł na kolana i oparł czoło o ręce córki, złożone na piersi. Gdy po pewnym czasie chcieliśmy go podnieść — nie żył — atak sercowy momentalnie go zabił.

Pochowaliśmy ich w nocy. Obecny był tylko Fabio i Nina; stary kanonik pobłogosławił zwłoki. Oświadczył mi, że Richino tak zarządził; przykazał, aby wypełniano moje zlecenia, jakbym był panem domu. Sam tegoż dnia wyjechał do Rzymu.

Nazajutrz odjechałem do Florencji. W rok potem czytałem w gazecie, że generałowa oddała swą rękę wiernemu swemu wielbicielowi, młodemu hrabiemu. Ilekroć pielgrzymowałem na grób Bicetty — a czynię to co roku — nigdy nie usiłowałem się z nią zobaczyć.

GARCINDA<sup>7</sup>

W pobliżu Carcassonne<sup>8</sup> w Prowansji żył, w czasie gdy świat rycerski gotował się do drugiej wyprawy krzyżowej, znamienity hrabia, pan Hugo de Malaspina; po śmierci swej pięknej i szlachetnej małżonki oddał jedyną, dziesięcioletnią córeczkę Garcindę wraz z jej mleczną siostrą<sup>9</sup> Aigletą na wychowanie do klasztoru Montsalvaire, i choć już miał włosy

<sup>7</sup>Garcinda — w oryg. tytuł tej noweli brzmi *Geoffroy und Garcinde* (pod takim tytułem nowela była drukowana w 1871 r. w „Westermann's illustrierte deutsche Monats-Hefte”, nr 79/1871). [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Carcassonne — miasto w płd. części Francji, słynne z fortyfikacji, założonych przez Rzymian w I w. p.n.e., a rozbudowanych przez Wizygotów w VI w. n.e. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>mleczna siostra — mlecznym rodzeństwem nazywano dzieci karmione piersią przez tę samą kobietę; jeszcze w XIX i na początku XX w. rozpowszechniony był obyczaj, według którego bogatsze kobiety nie karmiły swoich dzieci własną piersią, lecz wynajmowały biedne młode matki jako mamki. [przypis edytorski]

silnie szpakowate, rozpoczął od nowa wesołe życie kawalerskie. A że był rycerzem budzącym sympatię zarówno u mężczyzn, jak u kobiet, nie brakło mu zaproszeń na przeróżne uroczystości, turnieje i bankiety w okolicznych zamkach rycerskich; z biegiem lat odeszła go chęć igrania miłością i zainteresowanie popisami orężnymi, pogodził się więc z tym, że młodzi oden odnosili na tych polach zwycięstwa, a sam z coraz większą namiętnością oddawał się hulankom, pijaństwu, grze w kości. Toteż ten rozważny ongi, wykwintny i mądrze swymi dobrami gospodarujący człowiek podupadł, zadłużył się i właściwie nic więcej nie posiadał jak tylko nieskalany honor rycerski i miłość swej córeczki. Nie chcąc jej sprawiać przykrości, starał się usilnie o to, by do klasztoru nie dotarła wieść o jego zubożeniu.

Dwa razy do roku odwiedzał córkę w klasztorze. Dziewczynka, z głębi serca kochająca ojca i podziwiająca w nim pierwowzór wszystkich cnót rycerskich, zwróciła uwagę, że oczy starzejącego się ojca od pewnego czasu nie spoglądają już tak dumnie jak ongi, że policzki są zapadłe, a dokoła ust rysują się coraz głębsze bruzdy. Przypisywała jednak to wszystko jego samotności i nalegała, by ją zabrał z klasztoru do domu. Hrabia wzdychał, potrząsał głową i mówił, że nie może tego uczynić, gdyż na zamku znajdują się sami mężczyźni, nie miałyby więc tam należytej opieki. Nie może jej zabrać z klasztoru, dopóki nie zamieni opieki bogobojnych mniszek na towarzystwo szlachetnego rycerza-małżonka.

Nie podobało się to Garcindzie. Choć u zakonnice nie brakło jej rozrywek, a jasno-oka Aigleta była sprytną dziewczką, znajdującą się na żartach i mimo dyscypliny klasztornej platającą pocieszne figle — Garcinda uczuwała tęsknotę za światem, a ponadto rada by bardzo całe swe serce łąkające miłości poświęcić ojcu.

Ten jednak stanowczo obstawał przy tym, że nie godzi się z obyczajem rycerskim, aby młodzianka panna bawiła na zamku między samymi mężczyznami; po każdej takiej rozmowie szybko opuszczał klasztor i żegnał się z córką, która, pogrążona w smutku, z wieży klasztornej wypatrywała, póki ojciec nie zniknął na zakręcie gościńca.

Mijały tak lata, hrabianka dorosła, a zacne zakonnice, choć niechętnie rozstawały się ze swymi wychowankami, dziwiły się, dlaczego pan de Malaspina nie myśli o wydaniu swej córki za męża. Nie wiedziały, że ze wstydu, iż musiałby przed zięciem wyznać swe ubóstwo, stary hrabia nigdy nie wspominał o swej córce...

Pewnego poranku, gdy się go nikt nie spodziewał na zamku, hrabia przyjechał sam jeden na swej bułanej szkapie i zapukał do bramy cicho, jak ciężko chory prosi o wpuszczenie do szpitala. Gdy odźwierny, oburzony na wczesnego gościa, wyjrzał przez zakratowanie okienko w żelaznej bramie, przeraził się tak bardzo, że drżące jego ręce z trudem mogły poruszyć rygiel i wpuścić pana de Malaspina. Twarz bowiem hrabiego była trupio blada, a oczy takie osowiałe i ponure, jakby nie wracał z zabawy na zamku bogatego sąsiada, hrabiego Peire de Gaillac, a z piekła świętego Patryka lub z innego, gorszego jeszcze miejsca, w którym z upiorami spędził noc.

Stary hrabia zsiadł z konia, podał uzdę odźwiernemu i krzyknął:

— Sprowadź mi Geoffroy!

Po czym ruszył krętymi schodami do swej izby, nie odpowiadając wcale na pytanie służącego, czy ma przygotować posiłek i obudzić resztę służby.

Odźwierny odprowadził spoconego i zupełnie wyczerpanego konia do stajni, potem pobiegł po owego Geoffroy, jak zlecił hrabia.

Młodzieniec noszący to imię mieszkał w okrytej powojem wieży, wznoszącej się tuż obok fosy zamkowej; a że pora była jeszcze bardzo wczesna, był pogrążony w głębokim śnie. Był to chłopak liczący niewiele ponad lat dwadzieścia, siostrzeniec hrabiego, dziecień nieszczęsnej miłości hrabianki Beatryczy z wędrownym śpiewakiem, który nie mając innego sposobu zdobycia córy dumnego rodu, namówił swą umiłowaną do ucieczki. Stary hrabia, pan Rambaut, dowiedziawszy się o hańbie spadłej na ród, wybrał się czym prędzej z synem Hugonem na poszukiwanie zbiegłej córki i jej uwodziciela. Po siedmiu dniach wrócili; jechali stępą po obu bokach kolasy, w której spoczywała młoda hrabianka, blada, raczej podobna do woskowej figury niż do żyjącej istoty. Brat zabił jej kochanka i uwodziciela, ojciec przeklął umierającego. Od tego czasu hrabianka Beatrycza nie zamieniła z ojcem i bratem ani słowa, żyła w owej wieży, gdzie też urodziła syna; nigdy nie żaliła się, nigdy nie chciała się pojednać, choć brat, który ją zawsze bardzo kochał, zwłaszcza po śmierci ojca usilnie się o to starał.

Gdy Hugo ożenił się, przykazał swej żonie, aby co dzień odwiedzała pustelnicę, która nigdy nie opuszczała wieży.

Obie kobiety już nie żyły...

Syn hrabianki, Geoffroy — tak nazwany po swym ojcu — rósł jakby własny syn hrabiego Hugona, i zaprawdę: najdumniejszy ojciec nie powstydziliby się takiego syna! Wyrósł na urodziwego młodzieńca, barczystego, śniadego; oczy miał wielkie, przesywające; nigdy prawie uśmiech nie wykwitał na jego ustach.

Chociaż bowiem opływał w dostatki, miał piękne szaty i kosztowną zbroję, rumaka i sokoła, choć nikt mu nigdy złego słowa nie powiedział i nie przypominał pochodzenia — to jednak osnuwał go jakiś cień smutku; jeśli nie włóczył się po lesie sięgającym niemal do fosy zamkowej, trzymał się z dala od ludzi głośno mówiących, rozradowanych; stale bawił w tej samej izbie, w której go matka urodziła, jakby na całym świecie nie miał innego locum, w którym by chętnie przebywał. Kiedy jeszcze matka jego żyła, otoczył wieżyczkę krzewami róż; jej łóżko, komodę i skrzynię utrzymywał w tym stanie, w jakim matka te przedmioty pozostawiła; sam był niejako zupełnie bez potrzeb, niczego się nie domagał, o nic nie prosił, jakby każdej chwili był gotów porzucić ką, w którym przeżył swe dzieciństwo i lata młodzieńcze. Oczywiście hrabia Hugo ani myślał o tym, by czymkolwiek dotknąć chłopaka; przeciwnie, starał się wszelkimi sposobami pozyskać jego serce. Miłość, jaką odczuwał ku siostrze, przeniósł na jej syna. Ale mimo jego starań, mimo dobroci i dowodów miłości Geoffroy nie mógł wymóc na sobie, by uścisnąć dłoń człowieka, który zabił jego ojca. Toteż cóż wreszcie hrabia mógł uczynić innego, jak pozostawić chłopca własnemu losowi. Nigdy nie żądał odeń żadnych usług, a gdy majątek jego stopniał do cna, raczej sam odmawiał sobie wszystkiego, niżby Geoffroy miał odczuć jakikolwiek niedostatek. Ilekroć hrabia Hugo wybierał się w gościnę na pobliskie zamki, nigdy nie brał z sobą chłopaka; nie jakoby wstydziliby się tego potomka wędrownego trubadura, ale po prostu dlatego, by młodzieniec nie był świadkiem jego lekkomyślnego trybu życia i aby nie zepsuły go wielce rozluźnione obyczaje na okolicznych dworach rycerskich.

Toteż Geoffroy zdziwił się bardzo, gdy wuj go o tak niezwykłej porze wezwał na zamek. Natychmiast wdział ubranie i udał się z odzwiernym do komnaty hrabiego. Zastał go przy stole, na którym stała świeca woskowa, przy pisaniu listu. Geoffroy zatrzymał się u progu, czekając, aż hrabia skończy. Napisawszy list, hrabia oparł siwą głowę na ręce i zadumał się głęboko. Trzykrotnie Geoffroy wymienił swe imię, zanim stary otrząsł się z zadumy. Gdy młodzieniec spojrział w zatroskaną twarz i zgasłe oczy wuja, przeraził się. Zapytał, co mu dolega, czy nie należałoby sprowadzić lekarza...

— Osiodłaj konia, Geoffroy — rzekł hrabia Hugo, z trudem dźwigając się z krzesła i zamykając list swą pieczęcią. — List ten musi dziś jeszcze być doręczony przeoryszy klasztoru Montsalvaire. Chcę rozmówić się tu z moją córką. A że sam do niej udać się nie mogę... ostatnia jazda nocą bardzo mnie osłabiła, muszę położyć się do łóżka... życzę sobie, abyś pojechał po kuzynkę i sprowadził ją tu jak najszybciej. Weź ze sobą pacholka, aby w jukach przywiózł suknie i wszystko, co moja córka ma w klasztorze. Przeorysza pożycz mi koni dla dziewczyny i panny służebnej. Proszę ją o to w liście. W połowie drogi przenocujecie na folwarku La Vaqueira, gdyż moja córka nie przywykła do tak długiej jazdy konno, a lato jest upalne. Wieczorem trzeciego dnia spodziewam się was tu zobaczyć.

Młodzieniec wziął list, zatrzymał się chwilę u progu, jakby chciał jeszcze o coś zapytać, potem rzekł tylko: — Stanie się tak, jak każesz, panie! — i ukłoniwszy się, wyszedł. W korytarzu wydało mu się, że ktoś woła go po imieniu, przystanął więc na chwilę, chcąc się przekonać, czy się nie pomylił. Gdy jednak nic więcej nie usłyszał, pobiegł do stajni, wyprowadził swego konia, dał jednemu z nielicznych, pozostałych jeszcze na służbie pacholców zlecenie, by szykował się do drogi — i z niezwykłą szybkością wy dostał się przez most zwodzony z zamku.

Wykonał zlecenie z wielkim pośpiechem, gdyż lękał się, by hrabia nie zmienił postanowienia i nie kazał mu wracać. Od ośmiu bowiem lat, a więc przez cały czas nieobecności Garcindy na zamku, nie zdarzyło się ani razu, by go stryj wysłał kiedy do Montsalvaire; widocznie starannie unikano, by kuzynostwo się nie spotkało. W latach dzieciństwa Garcinda najbardziej z wszystkich lubiła swego małomównego i przekornego kuzyna, syna



wędrownego śpiewaka, który już wówczas w malej wieży starał się jak najbardziej odosobnić od ludzi. Służba szeptała między sobą, że tylko z powodu młodego Geoffroy hrabia wysłał swą córkę do klasztoru zamiast wziąć do domu wychowawczynię, jak to zwykle czynią wdowcy, nie chcąc rozstawać się z dziećmi.

I oto Geoffroy został teraz wysłany, by sprowadził kuzynkę, która — jak powszechnie mówiono — wyrosła na przecudnej urody pannę. Czyżby ktoś ubiegał się o rękę Garcindy, iż więcej nie trzeba jej było strzec przed rozmiłowaniem się w kuzynie? A może podczas nocnej jazdy przyłączyła się do starego hrabiego jako towarzyszka na swej upiornej szkapie Śmierć i skłoniła go, aby pogodził się z Bogiem i ludźmi, pozwolił swemu dziecku tak postąpić, jak mu serce nakazuje? Takie myśli zaprzętały głowę młodzieńca, gdy szykował się do drogi.

Gdy jednak stracił z oczu zamek Malaspina, zaprzestał dręczących rozmyślań i począł sobie przypominać towarzyszkę zabaw dziecięcych; żywo przed jego oczyma stanęła jej zgrabna postać, uroczą twarzą, białe ząbki i ciemne, roześmiane oczy. Dzień był pogodny; piękne niwy Prowansji rozpościerały się w przepychu złotych zbóż; po raz pierwszy życie wydało się chłopakowi rozkosznym darem. Począł śpiewać pieśń, tę, którą ojciec jego zdobył sobie serce matki. Znalazł ją w śpiewniku, między papierami pozostawionymi przez matkę:

Lo douz chans d'un auzehl  
Que chantava en un plays,  
Me desviet l'autr'ier  
De mon camin...<sup>10</sup>

Nie wiedział, dlaczego właśnie ta pieśń, którą zresztą zawaze czytał z wielką zgryzotą, przyszła mu na myśl. Dziś śpiewał ją pełnym głosem i z radością w sercu.

Gdy jednak pod wieczór zbliżył się do klasztoru, ucichł, a czoło jego znowu przesłoniły chmury. Serce silnie mu biło, gdy zapukał do bramy i podał jednej z zakonnice poprzez kratę list do przeoryszy; czekał przed bramą na odpowiedź, gdyż nie wolno mu było przestąpić progów klasztoru. Niebawem otrzymał odpowiedź, że zlecenie hrabiego będzie wykonane; nazajutrz rano zostanie mu wydana hrabianka i jej towarzyszka; przeorysza prosi, aby udał się na noc do domku ogrodnika znajdującego się opodal klasztoru; tam są przygotowane noclegi dla gości klasztornych, tam też otrzyma wieczerzę.

Noc dłużyła się bardzo młodzieńcowi; najwierniejszy jego przyjaciel, sen, nie zjawiał się, jak zwykle, by skrócić czas oczekiwania.

Skoro zaświtało, osiodłał konia, pożegnał się z ogrodnikiem i wraz ze swym pacholekiem udał się pod bramę klasztorną, by oczekiwać pojawienia się Garcindy.

Niebawem otwarła się brama, wyszła przeorysza, a za nią wszystkie zakonnice. W ich gronie znajdowała się hrabianka i jej towarzyszka. Poczęły się uściski i błogosławieństwa, łzy i westchnienia, tak że Geoffroy przez dłuższy czas nie mógł przypatrzeć się twarzy swej kuzynki, wciąż otoczonej welonami i białymi kapuzami zakonnice. Tylko błysk czarnych oczu i połysk jasnych włosów wprowadził go w takie zmieszanie, że nie słyszał wcale, gdy przeorysza przystąpiwszy doń zapytała, czy jest doprawdy posłańcem hrabiego de Malaspina i czy to on przyniósł wczoraj list domagający się wydania młodej hrabianki. Dopiero pacholek, który ze złożonymi do modlitwy rękami gapił się na święte kobiety, widząc, że Geoffroy nie odpowiada wcale na pytania przeoryszy, trącił go łokciem i przywrócił w ten sposób do przytomności. Geoffroy począł tłumaczyć, że pan Hugo zachorzał<sup>11</sup>, nie może sam przybyć po swą córkę; polecił mu więc zabrać ją; przykazał, by nie forsować jazdy i przenocować w La Vaqueira.

Przeorysza poczęła się wahać, czy można tak młodemu człowiekowi powierzyć dziewczynę; zatroskanym wzrokiem powiodła ku niebu, a potem zwróciła się do kilku starszych zakonnice, pytając je o radę.

Wtem spośród zakonnice wysunęła się Aigleta, córka mamki Garcindy, i podając rękę młodzieńcowi zawołała:

<sup>10</sup>*Lo douz chans d'un auzehl que chantava en un plays, me desviet l'autr'ier de mon camin* (starofr.) — słodki śpiew ptaka, który zabrzmiął z lasu, niedawno wywabił mnie z mej ścieżki. [przypis tłumacza]

<sup>11</sup>*zachorzeć* (daw.) — zachorować. [przypis edytorski]

— Witajcie, panie Geoffroy! Co za smukły młodzian wyrósł z waszeczki<sup>12</sup> w tych ośmiu latach, gdyśmy się po raz ostatni widzieli!

Słowa te przekonały przeoryszkę, że rzeczywiście młodzian jest posłańcem hrabiego Hugona. Uścisnęła Garcindę, zrobiła nad nią znak krzyża i pomogła jej sama usiąść na starym siwku klasztornym. Geoffroy umieścił Aigletę na rączym koniku i wśród płaczu, powiewania chustkami, nawoływań i ostatnich słów pożegnania, ruszyła mała kawalkata<sup>13</sup> spod bramy klasztoru Montsalvaire.

Początkowo jechali w zupełnym milczeniu. Po kilku zapytaniach, jak się ojcu wiedzie i co w domu zaszło — Garcinda ani słowem więcej się nie odezwała do Geoffroy; może urażona była krótkimi, acz pełnymi szacunku jego odpowiedziami.

Potem jednak Aigleta, której rozstanie z klasztorem widocznie wcale nie martwiło, wprowadziła żywszy, weselszy ton; zaczęła opowiadać, jak to co dzień obmyślała inne psoty, by zapobiec nudzie i monotonii życia w murach klasztornych. Umiała doskonale naśladować głosy poszczególnych zakonnic, ich szepty, gdy je ktoś obserwował, ich śmiechy, gdy nie było nikogo w pobliżu, ich kłótnie i złośliwości, ich czułościowość. Imitowała głęboki głos przeoryszy opisującej niebezpieczeństwa i pokusy świata. Wreszcie wygłosiła żartobliwą przemowę, w której opisywała, jak to szatan czyha na cnotliwe dziewice, opuszczające zacisze klasztoru, i jak zapewne w tej chwili zakonnice modlą się, by odważni rycerze, a zwłaszcza młodzi kuzynkowie nie czynili zamachów na cnotę dziewcząt...

Garcinda jadąca przodem przerwała te wybuchy dobrego humoru Aiglety, łagodnym głosem strofując ją za bezbożne słowa.

— To grzech — mówiła — za tyle miłości i dobroci doznanej w klasztorze kpić z zacnych mniszek. Ja przynajmniej nigdy nie zapomnę, że w tym sieroctwie znalazłam tam tyle szczerych uczuć siostrzanych i opieki macierzyńskiej...

Aigleta zamilkła; z podziwem przypatrywała się pięknemu młodzianowi, który w zakłopotanym milczeniu jechał stępa obok dziewcząt.

Im dłużej trwała jazda, tym większa była udręka młodzieńca. Już w latach chłopięcych obraz kuzynki był dla niego wcieleniem czaru i piękna, ale wrażenie to w ciągu wielu lat rozstania niemal zupełnie wytłło w jego sercu. Teraz od pierwszego wejrzenia rozgorzał w nim płomień sprawiający mu większą udrękę, niż kiedykolwiek w życiu znośił. Pomnażała jego męki również jej oschłość, chłód. Aczkolwiek nie wiedział jeszcze, czy przyczyną tego jest brak sympatii dla jego osoby, czy też duma córy rycerskiej wobec biednego potomka wędrownego komedianta — to jednak w tych godzinach wspólnej jazdy przeżywał całą mękę naporu rozpaczliwych, kłębiących się w mózgu myśli; a były to myśli pełne rezygnacji i buntu zarazem, myśli o obowiązku rycerskim i szaleńczych nadziejach... Przemykało mu po głowie, dla kogo teraz odwozi tę precudnej urody dziewczę, czy już jej ręka jest dla kogoś przeznaczona, czy też tylko tęsknota starego i schorzałego<sup>14</sup> ojca powołuje córę do opustoszałego domu. Ale nawet w tym wypadku: czyż nie nadejdzie dzień, w którym zjawi się na zamku szlachetnej krwi młodzian i zerwie ten kwiat?

Coraz bardziej chmurzyło się jego czoło i coraz smutniejszy stawał się wyraz jego twarzy. Wreszcie zwróciła na to uwagę panna i zapytała, czy nie chciałby pokrzepić się jadłem i winem. Geoffroy, rumieniąc się po uszy, począł się tłumaczyć, że wyczerpany jest szybką jazdą poprzedniego dnia, że spędził w domu ogrodnika noc bezsennej. Zgodził się na krótki wypoczynek.

Zatrzymali więc konie na skraju lasu, w cieniu drzew, tuż obok źródła i pokrzepili się zapasami, które mniszki dały na drogę. Od razu wszystkim humory się poprawiły, zwłaszcza że Aigleta, zapomniawszy już, że ją hrabianka przedtem strofowała, znowu zaczęła dowcipkować i zabawiać wszystkich swymi żartami. Garcinda siedziała w cieniu wysokiego drzewa i cierpliwie znosiła, że jej wesoła służebna, ani na chwilę nie mogąc usiedzieć na miejscu, poczęła z liści i kwiatów wic wieńce, przyozdabiać nimi wszystkich, nawet pachółka i pasące się na murawie konie, śpiewając równocześnie pieśni wcale nie przypominające nastrojem klasztornych hymnów, a pobudzające pachółka do głośniego

<sup>12</sup>waszeć (daw.) — zwrot grzecznościowy, skrót od: wasza miłość. [przypis edytorski]

<sup>13</sup>kawalkata — dziś popr.: kawalkada. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>schorzały (daw.) — schorowany. [przypis edytorski]

śmiechu.

Wreszcie hrabianka wstała, usunęła z czoła i szyi wieńce i nakazała podać sobie konia. Natychmiast pobiegł Geoffroy — choć wypoczynek na skraju lasu wydał mu się rajska rozkosz — i sprowadził rumaka hrabianki. Sam pomógł jej umieścić się w siodle, nie odważył się jednak spojrzeć na małą nóżkę, którą wsiadając oparła na jego ręce. Garcinda ruszyła klusem, a za nią mała kawalkata. Geoffroy jechał teraz z podniesioną głową, jakby czerwone wino klasztorne, którym go uraczyła Aigleta, wzburzyło jego krew i wypłoszyło ponure myśli.

La Vaqueira, dokąd przybyli pod wieczór, był to folwark, który przed kilku laty należał jeszcze do rodu Malaspina; potem jednak został oddany w zastaw (było to po całonocnej grze w kości, podczas której hrabia Hugo przegrał tę wieś do hrabiego Peire de Gaillac); o wykupieniu zagawu oczywiście mowy być nie mogło wobec zupełnego zubożenia pana de Malaspina. Zarządca tego folwarku i jego żona, mieszkający tu z wielką gromadą pastuchów i dziewczek służebnych, nie wiedzieli zgoła, że posiadłość nie należy więcej do dawnego pana (hrabia Peire de Gaillac wcale dotychczas nie zatroszczył się o tę posiadłość). Toteż powitali hrabiankę Garcindę z całym respektem należnym córce właściciela i natychmiast po jej przybyciu zakrzętnęli się około godnego przyjęcia gości.

Mieszkali w jednoizbowej chałupie; sami posłali sobie w kuchni, a izbę odstąpili obu dziewczętom. Geoffroy wszedł po drabinie na strych i tam przenocował na sianie. Późno już było, gdy zasnął, gdyż przez dłuższy czas — wieczór był przepiękny, niebo roziskrzone gwiazdami — spacerował z dziewczętami po folwarku i wiódł z nimi długie, poważne rozmowy. Panny, choć obie były zmęczone całodzienną jazdą konną i długą wieczorną przechadzką, przez wiele godzin zasnąć nie mogły; rozbierając się prowadziły ożywioną rozmowę.

— Dlaczego przez cały dzień, Garcindo, byłaś tak smutna? Czy gniewasz się jeszcze na mnie, że żarty stroiłam i różne plotłam głupstwa? Pojmij, jak bardzo byłam uradowana, że wreszcie mogłam wydostać się poza furkę klasztoru i podziwiać świat boży! — rzekła Aigleta, splatając w warkocze włosy swej pani i przyjaciółki.

— O nie, moja droga — odparła Garcinda — nie gniewam się wcale na ciebie. Zadzroszczę ci, że z tak lekkim sercem odbywasz tę podróż. O, jak mi ciężko na sercu... Aigleto! Marzyłam o tym, że kiedyś wrócę do ojca, oddychać będę swobodnie, powitam radośnie świat poza wzgórzem klasztornym. A teraz...

— Czy świat nie wydaje ci się dość piękny, niebo dość błękitne, łąki dość zielone, jeziora dość przezroczyste, by się w nich odzwierciedlała cała twa piękność? — roześmiała się przyjaciółka.

— Nie kpj z mego smutku, mego przygnębienia! — odparła hrabianka. — Zważ, w dniu, w którym wracam z zacisza klasztornego w świat, nie ma przy mnie ojca, nie mogę ująć jego dłoni, słyszeć jego słów... O najdroższa, coś tajemniczego, smutnego, a może nawet okropnego ukrywają przede mną... przeczuwam jakieś straszne nieszczęście i to rzuca cień na ten tak przeze mnie utęskniony dzień wolności i powrotu do domu...

— Głupstwa! — rzekła Aigleta. — Czy mam powiedzieć, gdzie znajdowała się chmura, która rzucała ten cień?... Na czole i oczach pana Geoffroy... Zaprzeczaj, jeśli chcesz, ale co wiem, to wiem i nie na próżno dał mi Bóg oczy... Rozumiem, że martwi cię jego zachowanie, jego sztywność! Co za głupia mina, gdy się ma szczęście służenia dwóm młodym, przystojnym paniom, z których jedna zresztą jest rodzoną kuzynką! A wieczorem, gdy spacerowaliśmy wśród łąk, czy mówił coś rozsądnego? Tylko o gwiazdach na niebie i o tym, czy po śmierci dusza tam się dostanie... Zdaje mi się, że miał gwiazdy o wiele bliżej siebie, a dla prowadzenia rozmów o śmierci nie musiałyśmy opuszczać Montsalvaire. Jest on wprawdzie śmiertelnie zakochany, ale to go nie usprawiedliwia. Takie słowa dobre są w wierszach lirycznych, ale patrząc w oczy ślicznej dziewczyny mógłby...

— Co za głupstwa pleciesz! — przerwała Garcin — da. — Czy nie wiesz, dlaczego jest taki smutny i dlaczego już nigdy w życiu nie będzie w nim szczerzej, prawdziwej radości? Doprawdy, nie powinien tak bardzo brać sobie do serca swego pochodzenia. Gdyby ruszył na jatkis daleki książęcy dwór i tam spełniał służbę rycerską, nikt nie przypomniałby mu tajemnicy pochodzenia; zdobyłby sobie sławę i bogactwa i mógłby się ubiegać śmiało o córkę rycerskiego rodu. A choć jest marzycielem, to jednak powinien dobrze sobie uświadamiać, że o mnie myśleć nie może; wszak ojciec mój nie oddałby mnie je-

mu nigdy. Raczej sędzę, że nienawidzi mnie jako córkę tego, który zabił jego ojca. Czy moja to wina? Ja przecież wobec niego tak się zachowuję jak za lat naszego dzieciństwa; uczyniłabym też wszystko, by zdobyć sobie znowu jego zaufanie.

— Hm! — rzekła Aigleta rozpinając gorset swej pani — możliwe, że masz rację. A jednak rada byłabym, gdyby mnie tak nienawidził jak ciebie... Nie życzyłabym sobie niczego więcej... Ale mnie, córce służebnej... Któż by sobie zadał tyle trudu, aby zastanowić się, czy godna jestem miłości, czy nienawiści? A zdaje mi się, że my obie zasługujemy na taki trud. — Z dobrego rodu czynnie — wszystko jedno! Skoro tylko dostanę się między ludzi, zobaczysz, donna comtessa, że w sieć tych moich ciemnych włosów złowię sobie pełnego ptaszka równie dobrze jak — ty z twoimi jasnymi włosami...

— Gdyby cię kto usłyszał — przerwała Garcinda — sądziłby snadnie, że skądinąd jedziesz, a nie z klasztoru... Ale czas już spać. Chciałabym śnić, że już jesteśmy u kresu podróży i mogę uściskać mego ojca.

Przeszło godzinę leżały już w łóżku, a żadna nie zasnęła. Łóżko było wprawdzie twardsze niż w Montsalvaire, ale były obie zdrożone jazdą; mimo to sen nie kleił powiek. Nagle Aigleta uniosła się z pościeli i rzekła:

— Nie wierzyłam zakonnicom, gdy mówiły, że świat pozbawia ludzi spokojnego snu. I oto patrz, zaledwo opuściliśmy klasztor, unika nas sen. A nie jesteśmy przecież zakochane... Ja mogę to o sobie przynajmniej całkiem stanowczo, powiedzieć... O Święta Dziewico z Montsalvaire! Co to będzie, gdy i nadal nie będziemy mogły spokojnie zasypiać? Ty oczywiście będziesz miała męża, a potem kochanków, ilu ich tylko zechcesz... ale ja? gdy mi się kto spodoba, a nie będę go mogła dostać, zdaje mi się, że podpalę las i skoczę w płomienie...

— Co ty wygadujesz! — odpowiedziała Garcinda, nie podnosząc głowy z poduszki. — Czy sądzisz, że wzięłabym męża, którego bym nie kochała? Albo że ojciec zmusiłby mnie do tego wbrew mej woli? Czy nie wiesz, że nie ma istoty na świecie, którą kochałby bardziej niż mnie? Śpij spokojnie... Zdaje mi się, że za wcześnie wypuszczono cię z klasztoru.

— Amen! — rzekła Aigleta, naśladując niski głos przeoryszy.

Potem głośno się roześmiała i ani słowa więcej nie rzekła. Niebawem była pogrążona w głębokim śnie, gdy jej młoda pani długo jeszcze leżała, rozmyślając nad swą przyszłością.

Następnego poranku gdy obydwie panny pojawiły się na progu, konie dawno już stały osiodłane na podwórzu zagrody. Uprzejmie skinęły głową Geoffroy i podziękowały rządcy folwarku za gościnę. Potem ruszyły w drogę, by jeszcze przed skwarem południa zdążyć do Malaspina.

Znowu podczas drogi bardzo mało mówiono; młodzieniec był blejszy i pochmurniejszy niż wczoraj; nawet Aigleta jechała zamyślona i od czasu do czasu wzdychała. Z trudem mogła nadążyć za hrabianką, która ostrogami popędzała konia do szybkiego biegu. Raz Garcinda zwróciła się do kuzyna ze słowami:

— Czy sądzisz, że ojciec wyjedzie naprzeciw mnie?

— Przypuszczam, że tak — odparł młodzieniec, nie ważąc się na nią spojrzeć, gdyż i on miał złe przeczucia.

Gdy przybyli na miejsce, z którego można było zobaczyć zamek Malaspina, Garcinda zatrzymała konia i przez dziesięć pacierzy wpatrywała się w stare mury, ręką przysłaniając oczy przed blaskiem słońca. Droga wiła się jakby jasna, wąska taśma poprzez zielone pola, tak że widać było na niej każdy kamień. Ale nie można było zobaczyć żadnego jeźdźca... Również gdy kawalkata podjechała tak blisko, że strażnik na wieży zasygnalizował jej przybycie trąbą — nikt się nie pojawił; nikt nie pomyślał o uroczystym powitaniu, o jakim dziewczyna marzyła.

Wartownik ukazał się w otwartej bramie, a za nim kilku pachółków o mizernym wyglądzie i jeszcze mizerniejszych strojach. Geoffroy wymówił się jakoś i odjechał w stronę stajni; krwawiło mu się serce na widok rozpaczycy Garcindy, nie mogącej zupełnie zrozumieć, dlaczego wśród tak przygnębiających i smutnych okoliczności dokonuje się jej powrót w dom ojcowski.

— Czy mój ojciec chory? — zapytała Garcinda wartownika.

— Tylko ciężki atak gościa — odparł i spojrział w okno komnaty zajmowanej stale przez hrabiego, jakby się spodziewał, że pojawi się tam jego pan, aby powitać wracającą córkę. Ale okno było puste...

— Poczekaj tu na mnie, aż cię zawołam, Aigleto — rzekła Garcinda i poszła do ojca.

Geoffroy wprowadził konia do stajni, po czym poszedł do swej izdebki w samotnej wieży. Chociaż było już południe i głód mu doskwierał, nie zatroszczył się wcale o obiad, lecz usiadł na łóżku swej matki i spoglądał na śpiewnik swego ojca, który natychmiast po wejściu do izby wyjął z komody i położył na kolanach. Nie czytał jednak, wpatrywał się w czarne litery, a wsłuchiwał się w słowa, które mu własne serce podpowiadało...

Nagle twarz jego pokraśniała. Porwał się tak szybko z łóżka, że śpiewnik spadł z kolan na podłogę. Tak, to były jej kroki... poznał je od razu... oto dotknęła ręką klamki... oto przechodzi przez ciemną sień i już jest w izbie...

Przeżony, wpatrywał się w jej twarz. Była jakby odmieniona. Przed kilku godzinami promieniała młodością i nadzieją, teraz była jakby napiętnowana bólem, rozpaczą.

— Niepokoję cię i przeszkadzam, kuzynie — rzekła Garcinda bezdźwięcznym głosem. — Przychodzę, gdyż sądzę, że jesteś moim przyjacielem, może jedynym, jakiego mam. Pozwól, że usiądę... jestem bardzo znużona... nie na łóżku... tu zmarła moja ciotka... O mój kuzynie, gdybym wiedziała, że łóżko to stać by się mogło również i dla mnie śmiertelnym łóżem, że serce moje znieruchomiałoby, gdybym się teraz tu położyła... Bóg świadkiem, uczyniłabym to natychmiast...

Opadła na niskie krzesło, które jej podsunął, zakryła twarz rękami i poczęła łkać.

— Na Boga! — zawołał. — Co się stało? Co powiedział ci ojciec?

Odjęła ręce z twarzy i spojrzała na niego poprzez łzy.

— Nie, nie będę płakała — rzekła. — Jeśli to wszystko, co właśnie przeżyłam, nie jest snem, nie wolno mi płakać jak dziecku... Powiedz mi przede wszystkim: czy prawdą jest, że pan de Malaspina jest żebrakiem, a córka jego posiada tylko tyle w majątku, ile ma na sobie w tej chwili?... Milczysz? Dobrze więc. Cóż mi na tym zależy? Od dawna już przeczuwałam, że czeka mnie ubóstwo... Widziałam je w klasztorze; nie biedy i niedostatku lęka się moje serce. Ale hańby, Geoffroy, hańby!

— Na krew Zbawiciela! — krzyknął. — Kto ośmiela się mówić, że grozi ci hańba, póki ja dźwignąć mogę miecz i lancę?

Nie odpowiedziała na to pytanie. Dopiero po pewnym czasie zapytała:

— Czy znasz hrabiego de Gaillac?

Młodzieniec poruszył się tak gwałtownie, jakby nogą dotknął węża. Mruknął jakieś przekleństwo i zmiął w ręce kraj jedwabnej makaty, którą łóżko było zasłane.

— Znasz go zapewne — mówiła dalej dziewczyna. — Również i ja go znam. Przed dwoma laty przybył podczas polowania do Montsalvaire z wielkim orszakiem rycerzy i pięknych dam. Całe to towarzystwo obozowało w gaju obok ogrodu klasztornego. Z altany mogliśmy wszystko widzieć, uczyły i pijatyki, słyszałyśmy pieśni, które śpiewała kochanka hrabiego przy wtórze harfy. Niebawem przeorysza wypędziła nas z ogrodu i zamknęła w klasztorze, zakazując pojawiać się za furta, póki ci ludzie są w pobliżu. Potem weszła do nas i powiedziała mi, że hrabia de Gaillac oczekuje mnie za kratą; chciałby mnie zobaczyć, gdyż ma dla mnie pozdrowienia od ojca. Przeorysza wzięła mnie za rękę i prowadząc szepnęła mi do ucha: „Jesteś na uświęconym miejscu; nawet sam szatan nie miałby tu władzy nad tobą...” Za kratą ujrzałam tego bezbożnika z oczami jastrzębia, a twarzą wilka; obok niego stała piękna jego kochanka; mogłaby być raczej jego córką... Śmieli się, gdy pojawiłam się z przełożoną klasztoru; na jej widok zaprzestali chichotów. Słyszałam, że hrabia mówi do swej kochanki po tokańsku; rozumiałam wszystko, ale trudno byłoby mi teraz te słowa powtórzyć... Potem zwrócił się do mnie i powiedział, że mój ojciec jest jego najlepszym przyjacielem... Czułam, że na te słowa mąci mi się w głowie, miga mi przed oczyma — gdy oprzytomniałam, nie było ich więcej... Przeorysza ani słowem nigdy potem nie wspomniała o tych odwiedzinach, zakazała wymawiać nazwisko hrabiego de Gaillac. Nie słyszałam też tego nazwiska do dnia dzisiejszego... aż własny ojciec mi oświadczył, że nieszczęsnej nocy, gdy już resztkę majątku przegrał do tego człowieka... zagrał raz jeszcze w kości o bardzo wysoką stawkę... o rękę swej córki... i również przegrał...

Krzyk oburzenia i rozpacz dobił się z piersi młodzieńca. Potem jednak ciało jego jakby znieruchomiało, głos uwiął w gardle... W izbie zapanowała cisza...

— Nienawidzisz mego ojca, wiem o tym — rzekła wreszcie dziewczyna. — Wiem o tym od wielu lat i zawsze srodze się tym martwiłam. Ale to, co ci teraz powiedziałam, niech nie pomnaża twej nienawiści. Gdyż jeśli istnieje na świecie nieszczęśliwiec, który już tu znosi wszystkie udręki piekła i pokutuje za swe grzechy, to jest nim, wierz mi, Geoffroy, pan de Malaspina, który chętnie zamieniłby się z każdym żebrakiem u bramy zamku przystającym, gdyby mógł cofnąć to, co się stało. Wijąc się jak wąż rzucony do ognia, kryjąc twarz w poduszce, by nie spojrzeć mi w oczy, ojciec opowiedział mi, jak się to wszystko stało, jak go na zamku de Gaillac spojono winem, jak mu wciśnięto w rękę puchar z kośćmi. Gdy usłyszał szyderczy śmiech hrabiego, oprzytomniał i ujrzał przepaść, w którą wtrącił swe ostatnie dobro: szczęście jedyne dziecko... Usiłował na wszelkie sposoby odwieść zwycięzcę od domagania się wygranej, ofiarował mu się za pacholka, jeśliby tym mógł okupić długi... Na próżno. Hrabia roześmiał się szyderczo. Co? — powiedział — chcesz wdać się ze mną w handel? Chcesz mi dać starego koguta za młode kurczątko? Mam dosyć pacholków; brak mi młodej żony; starzeję się, a żadnej z mych przyjaciółek tak nie miłuję, bym jej zapisał moje ziemie i zamki; a zresztą wiem, że każda z mych kochanek z młodszymi ode mnie chłopakami wychyliłaby kielich na wiadomość o mym wczesnym zgonie. Wasza córka, panie de Malaspina — mówił de Gaillac — jest pobożna i cnotliwa; dobrze w klasztorze chowana, nawróci mnie, starego grzesznika, skłoni do bogobojnego życia. Nie oddałbym skarbów całego świata za jej rękę, która otworzy mi wrota niebiańskie. I dlatego wzywam was, hrabio de Malaspina, byście w ciągu trzech tygodni z nią tu przybyli i byli świadkiem naszego ślubu. Jako upominek ślubny dla mej narzeczonej a waszej córki ofiaruję wam z powrotem wszystkie pola i lasy, dwory i zagrody, które w ciągu lat od was wygrałem, byście nie jako biedak wydawali córę swą za mąż i na stare lata żyli znowu w dostatku... Po tych słowach pan de Gaillac wezwał służącego, aby mu poświęcił w drodze do sypialni, i zostawił mego ojca samego.

Geoffroy poruszył się, jakby chciał coś powiedzieć, Garcinda wstała, przystąpiła do niego i położyła swą drżącą rękę na jego dłoni.

— Kuzynie — rzekła — wiem, co chcesz powiedzieć: że lepiej jest opuścić zamek i uciec w świat daleki niż znosić hańbę i oddać diabłu ciało i duszę. Ale zważ, że ojciec mój nie posiada nic więcej prócz swego honoru, swego słowa rycerskiego. Czy wolno mi, córce jego, nakłaniać go do złamania słowa? Żywię jednak nadzieję, mój przyjacielu, że zdołam zapobiec nieszczęściu. Mam zamiar napisać list do tego, który do mnie nabył prawo, a ty... ty, jeśli mi dobrze życzysz, musisz list ten osobiście wręczyć panu de Gaillac... i to dziś jeszcze; nie mogłabym bowiem spokojnie zasnąć, zanim nie otrzymam odpowiedzi. Wypocznij tu nieco i pokrzep się jedzeniem. Ja pójdę i napiszę list... W klasztorze zawsze chwalono mój kunszt pisania... oby Bóg zezwolił, by teraz mi się ten kunszt przydał! Patrz, odchodzę stąd o wiele spokojniejsza, niżli przyszłam, chociaż nie powiedziałaś mi ani słowa pocieszenia. Ale tu, w tym miejscu, gdzie jako dzieci byliśmy tak szczęśliwi, tu nie mogę sobie wyobrazić, aby ten szatański plan mógł się ziścić i honor ojca okupiony został hańbą córki!

Geoffroy głęboko westchnął, przycisnął jej rękę do swych ust na znak, że godzi się na wszystko, co mu zleciła.

Wtedy Garcinda położyła swą rękę na jego ramieniu i rzekła:

— Aigleta przyniesie ci list. Żegnaj, przyjacielu, oby Bóg cię prowadził!

Potem przystąpiła do obrazu Matki Boskiej, wiszącego na ścianie, złożyła ręce i szepem modliła się:

Maires de Crist, ton filh car  
Prega per nos, quens ampar  
E quens garde de cazer  
A la fin en desesper.<sup>15</sup>

<sup>15</sup>*Maires de Crist, ton filh car prega per nos, quens ampar e quens garde de cazer a la fin en desesper* (starofr.) — Matko Jezusa, Syna Twego uprosz dla nas, aby łaską i zbawieniem nas obdarzył, byśmy nie pograżyli się w rozpacz. [przypis tłumacza]

Po czym wyszła.

\*

Dzień i noc minęły; znowu minął dzień i noc. Geoffroy nie wracał.

Pan Hugo niezbyt się tym przejmował. Był przyzwyczajony do tego, że młodzian chadzał własnymi drogami i przez całe tygodnie był nieobecny. A teraz nienawistny był mu widok ludzi w ogóle. Godzinami całymi siedział nieporuszony na jednym miejscu w swej izbie; pokarmów, które mu przynoszono, prawie nie tykał, pił natomiast wiele wina, jakby w nim szukał zapomnienia tego wszystkiego, co się stało i stać się miało w najbliższej przyszłości.

Wieczorem pierwszego dnia przyszła do niego Garcinda. Nie odważył się spojrzeć na swe własne dziecko; gdy przystąpiła i dotknęła lekko ręką jego ramienia, całe jego ciało wstrząsnęło się, zsunął się z krzesła na podłogę i, czoło przyciskając do jej stóp, objął rękami jej kolana; z trudem zdołała go podnieść i odprowadzić na łożo. Odtąd nie przestępowała progu jego komnaty.

Trzeciego dnia o świcie Garcinda obudziła spoczywającą obok niej Aigletę.

— Słyszysz? Moja droga, slychać na moście dudnienie kopyt... tak... coraz bliżej... słyszę, otwierają bramę... to on! Matko Boska, co mi przyniesie? Życie czy śmierć?

Wyskoczyła z łóżka i szybko wdziała płaszcz. Również Aigleta pośpiesznie opuściła łożo.

Do izby sączyło się czerwone światło wschodzącego słońca i barwiło blade policzki hrabianki.

Byłaby wybiegła naprzeciw Geoffroy, gdyby miała na tyle sił; nagle uczuła bezwład w nogach; jakby je obciążono i przykuto do podłogi.

Stała na środku izby, gdy wszedł.

Również i on był blady, a gdy na powitanie pochylił głowę, Aigleta zauważyła, że nie zdjął skórzanej czapki, która sięgała do połowy czoła. Natomiast Garcinda nic nie widziała prócz jego smutnych, głęboką melancholią owianych oczu...

— Wracasz ze złymi wiadomościami... — rzekła.

Potem usiadła na ławce obok okna i słuchała jego relacji:

Tego samego wieczora przybył do zamku Gaillaka; popędzał konia do szybkiego biegu, by czasu nie tracić. Gdy go wprowadzono do sali, hrabia siedział właśnie przy wieczerzy: towarzyszyło mu kilku kompanów i jedna z jego przyjaciółek. Na niskim stołeczku u stóp hrabiego siedział karzeł. Piękna kobieta nalewała wciąż do srebrnego pucharu czerwone wino i spijała odrobinę słodkiego napoju, po czym podawała puchar hrabiemu, który go wychylał do dna.

— Wręczyłem hrabiemu list — ciągnął Geoffroy — nie mówiąc ani słowa; podczas gdy czytał, myślałem, jak by przy tym stole wyglądała ta, która list napisała... Na tę myśl krew uderzyła mi do twarzy, czułem, że mąci mi się w głowie; musiałem oprzeć się na rękojeści miecza, by nie upaść. Jeden z gości spostrzegłszy to, zawołał, by mię odprowadzono do izby zajmowanej przez służbę i tam nakarmiono, gdyż zapewne jestem wygłodzony po całodziennej jeździe. Na to rzekłem: — Poczekam tu na odpowiedź i natychmiast wrócę do domu. — Tymczasem hrabia przeczytał list. Podał go, nie mówiąc ani słowa, sąsiadce. Ledwo ta przeczytała pierwsze słowa, poczęła się głośno śmiać.

— Kazanie! — zawołała. — Hrabio, dostajesz za żonę świętą kobietę!

Po czym zaczęła głośno odczytywać list. Słowa, które kamienie wzruszyłyby do łez, w sali tej wywołały tylko szydercze śmiechy. Po odczytaniu listu kobieta ta dumnym wzrokiem powiodła po całej sali i rzekła:

— Niech przyjedzie tu ta świętoszka! Nienawidziłam jej, gdyż myślałam, że opanuje cię, hrabio, i będzie tu władała. Ale jeśli jest podobna do listu, który napisała, nie lękam się jej! Nie tobie, Peire de Gaillac, przystoi włosienica i pas nabity kolcami. Przywykłeś do żaru piekielnego, marzyłeś w atmosferze niebiańskiej. W piekle radość wielka panuje, gdy szatan widzi ludzi grzeszących, kipiących życiem! Piję za tve zdrowie, hrabio, oby twa cnotliwa i święta bogdanka niebawem pomnożyła nasze grono!

List, który krążył tymczasem po wszystkich obecnych, dostał się teraz w ręce karła.

— Nie tak trzeba ten list odczytać! — zawołał błazen. — Zważcie, jak to zrobić należy!



I zaczął wyśpiewywać głowo w słowo tonem, jakim w kościele odczytuje się litanie.

Nie mogłem się więcej opanować. Przyskoczyłem do bezwstydnika, wyrwałem mu list z ręki i uderzyłem z taką siłą w głowę, że potoczył się i upadł na podłogę.

— Jeśli nie mam otrzymać odpowiedzi godnej damy, która mnie wysłała, to niechby zamilkły bezczelne usta, naigrawające się z szlachetnej dziewicy i ściągające w błoto jej słowa.

Przez chwilę panowała w sali cisza. Potem przyskoczyli do mnie pacholkiwie... Oprzytomniałem znowu w lochu, na wilgotnej słomie; krew spływała mi po twarzy, czułem dotkliwy ból na całym posiniaczonym ciele; dziękowałem jednak Bogu, że nie muszę więcej słyszeć bezecznych słów miotanych na ciebie, Garcindo.

Nie wiem, co się działo w ciągu nocy i następnego dnia. Popadłem bowiem w ciemnym lochu w głęboki sen. Około godziny dwunastej następnego nocy obudził mnie nagle blask pochodni; uczułem dotknięcie miękkiej ręki kobiecej. Obok mego łoża stała kochanka hrabiego i uczyniła znak, bym milczał i szedł za nią. Poprowadziła mnie przez kamienne schody, a potem przez wiele krużganków i komnat do małych drzwi, które otworzyła kluczem.

— De Gaillac postanowił, byś w lochu zginął z głodu — szepnęła. — Chcę cię uratować. Uciekaj! Za tymi drzwiami stoi osiodłany koń; przytroczyłam do siodła kosz z jadłem i napojem dla ciebie. Gdybyś kiedy zapragnął kobiety, przybądź do Carcassonne i pytaj o Agnieszkę z Sardynii; wskażą ci, gdzie mieszkam...

Czekała, co na to powiem; widocznie spodziewała się słów podziękowania i czulego pożegnania. Kiedy jednak milczałem, uchyliła drzwi i dotknąwszy ustami rany na moim czole rzekła:

— Biedny chłopcze, zasłużyłeś na lepszy los...

Wskoczyłem na siodło i ruszyłem w cwał. Chłód nocy orzeźwił mnie, czułem, że gorączka ustępuje. Popędzałem konia do coraz szybszego biegu i oto jestem tu... Tak skończyła się moja misja...

Garcinda wstała z ławki i przystąpiła do młodzieńca, jakby mu chciała coś powiedzieć. Nie mogła jednak dobrać głosu z gardła; ze spuszczonej oczyma stała naprzeciw niego.

Natomiast Aigleta powiedziała:

— Pójdę i przyniosę balsamu i płótna, byśmy mogli opatrzyć ranę.

Ledwo poszła, gdy Geoffroy padł na kolana przed milczącą dziewicą, ujął jej rękę i zawołał:

— Rozkaż, co mam czynić! Życie moje ma dla mnie tylko tę wartość, że mogę je dla ciebie poświęcić. Nigdy nie wypowiedziałbym tego, co przepaja moje serce, gdyby nie to nieszczęście, które cię spotkało. Nie jesteś hrabianką, dumną córą pana de Malaspina, którą w snach mych przyrównywałem do dalekiej gwiazdy, hen w niebotycznych wysokościach. Jesteś biedną, nieszczęśliwą, udręczoną istotą i nie pogardzisz sercem miłującym cię nad życie. Najdroższa, rzeknij słowo, a wskoczę na koń i popędzę do Gaillaku<sup>16</sup>, by ten sztylet zatopił w piersi człowieka nastającego na twą cześć, choćbym ten czyn okupił miał natychmiastową śmiercią.

Po raz pierwszy uśmiech wykwitł na jej bladej twarzy.

— Geoffroy — rzekła zbliżywszy swe wargi do krwawej rany na jego czole — twe słowa są podyktowane gorączką. Pójdź, połóż się, Aigleta, która zna się na, tym, obmyje twą ranę i przyłoży lekarstwo. Musisz pokrzepić się jedzeniem i snem. Przyjmuję bowiem to, co mi ofiarujesz... życie twe... Kiedy opowiadałeś o tym, co cię spotkało, zastanawiałam się nad tym, co mi należy uczynić. Ale nie pora teraz mówić o tym... Patrz, oto przychodzi twoja lekarka, oddaję cię pod jej opiekę, nie pożałujesz, jeśli będziesz posłuszny, i jak najprędzej odzyskasz siły... A ty, Aigleto, zajmij się gorliwie moim kuzynem i bacz, aby mógł jak najlepiej wypocząć...

Młodzieniec z podziwem patrzył na hrabiankę; nie mógł pojąć, że zachowywała taki spokój, kiedy przecież wrócił z Gaillaku z odmowną odpowiedzią i wszelkie próby odwrócenia nieszczęścia były z góry skazane na niepowodzenie.

Aigleta zaprowadziła go do jego izby w odosobnionej wieży, opatrzyła ranę, zmusiła do pokrzepienia się napojem i jadłem i opuściła wreszcie, gdy zauważyła, że zasypia.

<sup>16</sup>do Gaillaku — tu Gaillac oznacza siedzibę hrabiego Peire de Gaillac. [przypis edytorski]

Niedługo spał Geoffroy. Obudził się po kilku godzinach wypoczęty, nie czujący bólu głowy, który mu przedtem silnie doskwierał; czoło miał dzięki balsamowi Aiglety chłodne, a serce dzięki tajemniczym zapowiedziom Garcindy gorące. Usiadł obok okna, wpatrywał się w promienie słoneczne, powoli przesuwające się coraz bardziej na zachód, i w ptactwo okrążające wieżę. Nikt mu przez wiele godzin nie zmącił: spokoju. Pacholkiwie siedzieli na kamiennych ławkach obok bramy zamkowej; dziewczęta znajdowały się widocznie w swej komnacie, gdyż nie zjawiły się ani razu. Na chwilę tylko ujrzał Geoffroy pana Hugona, który zbliżył się do swego okna i wpatrywał w głęboką fosę zamkową, jakby się zastanawiał, czy nie należałoby położyć kres męce... Włosy i broda hrabiego stały się śnieżnobiałe, twarz wychudła. Po chwili znikł z okna jak widmo...

Wreszcie słońce zaszło, nad lasem wznosił się sierp księżycy i osrebrzył ogródek róż przed wieżą. Zamilkło ptactwo, słychać było rechot żab w fosie zamkowej. Było talk jasno w wieży, że młodzieniec mógł odczytać każdą literę w oprawnym w pergamin śpiewniku swego ojca. Nie wiedział jednak, co czyta...

Minęło sporo czasu — i oto z zamyślenia obudziły młodzieńca kroki. Przypadł do drzwi, otworzył je i ujrzał na progu obie dziewczyny. Powitały go tylko skinieniem głowy; dopiero gdy weszły do ciasnej izdebki, rzekła Garcinda:

— Widzisz... dotrzymuję słowa... Ale czy ty przez dzień nie powziąłeś innego postanowienia? Czy nie żal ci się uczyniło, że zbyt pośpiesznie wypowiedziałeś słowa, które słyszałam dziś rano?... Czy prawdą jest, że miłujesz mnie nad życie? I że życie poświęciłbyś dla mnie? Możesz śmiało mówić, Aigleta wie o wszystkim. Wiedziała ona już pierwej niż ja sama, że serce moje należy do ciebie... O mój drogi, już w La Vaqueira... gdyśmy rozmawiali o gwiazdach i nocą przechadzali się po łąkach... byłam tylko dlatego taka cicha i smutna, gdyż przeczuwałam, że tracę cię, że niebawem nie będę swobodnie rozporządzała własnym sercem i ręką. Bóg świadkiem: byłam wtedy zdecydowana okazać posłuszeństwo ojcu, gdyby moją rękę ofiarował obcemu jakiemuś, ale szlachetnemu człowiekowi. Ale stać się ofiarą niefortunnej gry w kości, być odstąpioną zwyrodniałemu osobnikowi w nieszczęsnej chwili, jakby zwierzę lub kawał złota — nie, tego zaprawdę Bóg sam nie wymaga, choć nam przykazał, byśmy czcili ojca i matkę. Widziałam we śnie matkę... płakała pochylając się nade mną... wiem, że gdyby żyła jeszcze, raczej uciekłaby ze mną w świat daleki, a nie dopuściłaby, bym dostała się do łóżnicy pana de Gaillac... Oto jestem u ciebie, najdroższy, i jeśli prawdą jest to, co mi powiedziałeś dziś rano, a wierzę twym słowom, mam szczerą wolę natychmiast, tu, wobec Boga i mej Aiglety jako świadka, poślubić cię i uciec z tobą w świat... Wiem, że ojciec mój nie wsiądzie na koń, by nas ścigać i ukarać syna, tak jak to uczynił jego ojcu; ojciec mój bowiem zdaje sobie sprawę, że nie jemu sądzić nas przystoi, gdyż sędzia musi być człowiekiem bez win... A my, dokądkolwiek się dostaniemy, czyż nie będziemy szczęśliwi? Ja przy tobie, Geoffroy, a ty przy swej Garcindzie!

Po tych słowach podała mu swą drobną rączkę. Geoffroy początkowo stał nieruchomy i milczący, jakby nie rozumiał zgoła jej słów. Podziały one na niego wprost obezwładniająco. Potem jednak opamiętał się i, zdejmując pierścień z palca, rzekł:

— Czy poznajesz go? To pierścień zaręczynowy mego ojca; wierność, którą ślubował mój ojciec, wręczając ten pierścień swej umiłowanej, okupił życiem. Oto wręczam go tobie i ślubuję wobec Boga i naszej wiernej przyjaciółki: nigdy nie będę należał do innej kobiety prócz Garcindy de Malaspina!

— A ja do żadnego mężczyzny prócz ciebie, Geoffroy!

— Amen, oby tak było! — rzekła Aigleta i złączyła ręce małżonków.

Potem przyklękli przed obrazem Madonny i przez chwil kilka cicho się modlili.

Gdy wstali i padli sobie w ramiona, Aigleta niepostrzeżenie opuściła izbę. Wyszła do ogródka i uplotła dwa wianki róż.

— Nie ma wesela bez wieńców! — rzekła, wróciwszy do izby i wieńcząc ich czoła.

Geoffroy udał się następnie do stajni, osiodłał konia i wyprowadził na most zwodzony. Tu oczekiwała go już Garcinda. Siadła przed nim na siodle, Geoffroy wspiął konia ostrogami i — zniknęli w lesie. Niezbyt wielki ciężar miał koń do dźwigania. Prócz miecza i sztyletu Geoffroy wziął tylko śpiewnik swego ojca. Garcinda nic ze sobą nie wzięła z zamku ojcowskiego prócz tego, co miała na sobie.

Ślub, Ucieczka

Przy blasku księżycy oddalili się od zamku ścieżyną leśną. Niewiele z sobą mówili. Tylko od czasu do czasu Garcinda obracała się ku niemu, całowała go i szeptała: mój mężu... Nie zdawali sobie wcale sprawy, jak niepewna przyszłość ich czeka; rozkoszowali się swym szczęściem, jakby żaden cień, żadna troska i niebezpieczeństwo nie przesłaniało ich miłości.

Gdy jednak opuściwszy las dostali się na pagórek, z którego Garcinda dopiero przed kilku dniami po wielu latach pobytu w klasztorze przypatrywała się zamkowi swych przodków — ujęła nagle cugle konia i zatrzymała go.

— Dlaczego tu mamy zatrzymać się, najdroższa? — zapytał Geoffroy.

Wciąż wpatrywała się poprzez uśpioną dolinę w ciemne mury, w osrebrzone światłem księżycy dachy zamku.

— Co tam widzisz? — zapytał młodzieniec, czując, że smukła postać, siedząca przed nim, zadrżała, jakby pośród ciepłej nocy letniej owionęły ją mroźne wichry. — Patrzmy przed siebie, a nie za siebie. Przed nami leży szczęście.

Smutnie potrząsnęła głową, nie mówiąc ani słowa. Nagle zdało jej się, że widzi w oddali w samotnym zamku ojca idącego chwiejnym krokiem z pochodnią w ręku od komnaty do komnaty i wołającego: gdzie moja córka Garcinda? Dałem w zastaw moje słowo rycerskie; muszę go dotrzymać. Gdzie moje dziecko i gdzie moja cześć? Nie mam zaprawdę nic więcej jak nazwisko bez skazy, i to też teraz tracę. Ostatnia z rodu Malaspina zabiera z sobą honor rodu; wie ona przecież, że nie mogę, jak przed dwudziestu laty, wsiąść na koń, by pomścić hańbę na uwodzicielu; jestem schorzałym i grzesznym starcem. Umrę z piętnem hańby na czole, zaś wrogowie moi rozgłoszą: aby nie uiścić się z długu, sam namówił córkę do ucieczki...

Nagle znikła ta wizja sprzed oczu Garcindy i natychmiast wyłoniła się druga: oto za nią i za Geoffroy pędzi na spienionych koniach mnóstwo rycerzy i pacholków... oto na czele ich Peire de Gaillac... oto Geoffroy walczy z przemocą i wreszcie pada barwiąc swą krwią zieloną niwę... oto słyszy szydercze słowa zwycięzcy: „Zazdrościłeś mi wygranej, synu wędrownego komedianta? Wierzyciel ma prawo przemocą wziąć dług, z którego dłużnik dobrowolnie nie chce się uiścić...”

Garcinda uczuła, że serce w niej bić przestaje. Uświadomiła sobie nagle: to, co uważała za szczęście, było tylko uludą, majakiem, sennym marzeniem; ojca i męża, tych jedyńskich, których kocha, postępek jej naraża na niechybną śmierć...

— Na miłość boską! — krzyknął Geoffroy, czując, że uмиłowana bezwładnie ciąży mu w ramionach. — Oprzytomnij, najdroższa! Pozwól, że ja ujmę cugle i pomkniemy ku wolności, życiu, szczęściu. Fatalność, krążąca nad tamtym zamkiem, nie dosięgnie nas, gdy będziemy hen, daleko! Miałażbyś...

Nie mógł dokończyć zdania, gdy spojrzał w oczy swej młodej żony, z których nagle znikł blask szczęścia i radości. Niebawem jednak blada twarz jej poczęła się ożywiać. Garcinda kilka razy głęboko westchnęła, spojrzała na niego wzrokiem pełnym miłości i wysilając się na uśmiech rzekła:

— Przestraszyłam cię, najdroższy. Czy mamy powód lękać się złych duchów, krążących dokoła tego zamku i zazdroszczących nam szczęścia? Ty, mąż mój, i ja, żona twa, na wieki ciałem i duszą złączeni? Co się zaś tyczy naszej ucieczki, to po głębokim zastanowieniu myślę, że Bóg nie chce, abyśmy wykonali ją tak, jak uplanowaliśmy sobie... Zemściłoby się to na nas i skończyło żałośnie jak wtedy, gdy twój ojciec uprowadził ciotkę... Słuchaj, mam inny zupełnie plan... dowiesz się o nim o świcie... Pochwalisz mnie, że tak mądrze wszystko obmyśliłam, aby wierzyciel nie miał żadnych uroszczeń do dłużnika, a równocześnie bym nie należała do żadnego innego mężczyzny, jak tylko do ciebie, którego wobec Boga poślubiłam. Pomóż mi zsiąść z konia, wrócimy pieszo przez las, noc jeszcze długa, a piękniejszej nocy poślubnej nikt życzyć sobie nie może. A teraz ucałuj mnie, bym znowu ujrzała uśmiech na twej twarzy, bo zaprawdę, życie jest zbyt krótkie, by choć przez chwilę zmaćać je sobie zgryzotami i smutkiem.

Uczynił to, czego sobie życzyła; gdy jednak uściśnął ją i ucałował, nie mógł się powstrzymać od pytania:

— Co zamierzasz uczynić, Garcindo? Czy nie powzięłaś zbyt ryzykownego planu? A gdyby się nie powiodł i pogrążył nas w większe jeszcze nieszczęście?

Ona jednak uśmiechnęła się, położyła mai palec na usta i rzekła:

— Jesteś najbardziej zazdrości godnym małżonkiem na bożym świecie, mój panie i mężu: masz bowiem żonę, która umie zachować tajemnicę. A teraz nie nalegaj więcej. Co nas obchodzi jutro? Czyż jesteśmy tak starymi małżonkami, byśmy mieli rozmawiać o rzeczach ważniejszych niż nasza miłość? Powiedz, kochanku, czy podobam ci się naprawdę lepiej niż Agnieszka z Sardynii? Czy ma ona piękniejszą i gładszą twarz niż moja? Nie, nie obejmuj mnie tak gwałtownie: księżyc spogląda tak bezczelnie; wątpię, czy wie, żeśmy małżonkami. Chodźmy do lasu, jestem zmęczona jazdą i chciałabym wypocząć. Znam miejsce, gdzie strumyk płynie wśród mchów; rośnie tam wiele kwiatów... splotę świeże wieńce dla nas, bo te, które mamy od Aiglety, są już pogniecione. Biedaczka... Czy wiesz, że i ona ciebie bardzo kocha? Ale tak już jest na świecie: nie można mieć dwóch żon, prawo boskie zakazuje... Jeśli nie jestem lepsza od niej, to zaprawdę jestem nieszczęśliwsza... a właściwie byłabym nią, gdybym nie była posiadła twego serca...

Tak mówiła, a młodzieńca oszałamiała jej słowa jak najprzedniejsze wino.

Zeszli z pagórka i poszli w las. Koń stapał za nimi, a wreszcie począł się paść, gdy na polance leśnej spoczęli na puszystym mchu. Opodał szumiął strumyk, księżyc świecił tak jasno, że nikt by zasnąć nie mógł, tym bardziej tych dwoje, którzy mieli sobie tyle do zwierzenia, a nie wiedzieli, co ich jutro czeka...

Gdy zaświtało i spadła rosa, młoda kobieta podniosła się i rzekła:

— A teraz pójdźmy do domu...

— Dokąd? — zapytał patrząc na nią zdziwiony.

— Chodź, pokażę ci. Czy mam inny dom niżli ten, w którym ty mieszkasz?

I zaprowadziła go przez most zwodzony do jego izdebki w wieży zamkowej.

— Tu chciałabym wypocząć — rzekła, siadając na łóżku jego matki — rada bym się godzinę przespać, zanim słońce się ukaże. Ale zostaw mnie samą, najdroższy; gdybyś tu był, nie przestalibyśmy rozmawiać i nie mogłabym spać. Podaj mi śpiewnik twego ojca, chciałabym przeczytać kilka wierszy przed zaśnięciem. A teraz ucałuj mnie na dobranoc... i idź! Najdroższy, kocham cię nad życie! Czy nie zazналиśmy tyle szczęścia, że nic więcej nas zasmucić nie może? A gdybyśmy jeszcze sto lat żyli, czyż moglibyśmy zaznać więcej radości, gdyśmy już wychylili puchar wiecznej rozkoszy?

Długo i serdecznie ucałował ją i opuścił izbę.

Wkrótce potem poczęły pisać koguty. Nie obudziły jednak młodzieńca spoczywającego w ogródku i otulonego tylko w płaszcz. Uśmiechał się przez sen.

Dopiero gdy już wysoko wznosiło się słońce na niebie, Aigleta dostrzegła go w ogródku. Przeraziła się, jakby ujrziała widmo, i dopiero, gdy usłyszała jego oddech, pochyliła się nad nim, by go obudzić.

— Jeszcze tu? — szepnęła. — A gdzie Garcinda?

Szybko zerwał się z murawy i nie mówiąc ani słowa powiodł ją w stronę wieży. Gdy otworzył drzwi, krzyknął jakby rażony śmiercionośnym grotem i przypadł do łoża. Leżała na nim jego młoda żona... Jedna ręka była złożona na sercu, z którego płynęła jeszcze cienka struga krwi, druga przytrzymała śpiewnik...

\*

Dopiero około południa odważono się donieść panu de Malaspina o tragicznym zgonie córki. Słuchał, jakby nie rozumiejąc, co mówiono. Również gdy go zaprowadzono do izdebki, w której dziecko jego leżało na łożu niby piękna śnieżnobiała rzeźba marmurowa, nie zdradził swych uczuć; ani jedno słowo nie padło z jego ust, ani jedna łza nie potoczyła się z oczu. Pozostał sam jeden przez całą noc przy zmarłej.

Nazajutrz kazał sporządzić nosze. Chciał dotrzymać słowa i zawieźć narzeczoną do Gaillaku. W milczeniu wykonywała służba jego zlecenia. Geoffroy, który byłby do tego nie dopuścił, leżał nieprzytomny; miał silną gorączkę; rana na czole otwarła się; Aigleta używała wszystkich znanych jej leków, aby go ratować.

Niebawem ruszył z zamku orszak: na czele konno pan Hugo; za nim na wysokich noszach, dźwiganych przez pachołków, martwa narzeczona, potem służba zamkowa i mnóstwo włościan.

Gdy orszak zbliżył się do Gaillaku, pan Hugo wysłał przodem herolda, który trzykroć zatrąbił fanfary, a potem donośnym głosem zawołał:

— Dłużnik spłaca wierzycielowi dług!

Na to wezwanie zjawił się na tarasie swego zamku hrabia Peire de Gaillac. Gdy zoczył żalobny orszak, odwrócił, przerażony, głowę i ręką dawał znaki, by sobie poszli. Potem kazał czym prędzej osiodłać konia i pocwałował w dal. Gdy wrócił po wielu dniach, wypędzał kompanów i kochance; odtąd wiódł na swym zamku żywot pustelnicy i nigdy uśmiech nie zakwitł więcej na jego twarzy.

Pan Hugo przykazał pacholkom, aby zanieśli nosze w poblizę kaplicy. Tu, na ziemi pana de Gaillac, któremu miał zwrócić dług, złożył ciało swego dziecka; nie pozwolił nikomu tknąć się łopaty; sam wykopał grób i sam go zasypał ziemią. Potem przykazał, by wszyscy odeszli. Sam został przy grobie. Gdy nazajutrz jeden z pacholków przybył, by dowiedzieć się, co się z jego panem dzieje, zastał hrabiego nieżywego; pochowano go obok Garcindy.

Geoffroy ruszył na wyprawę krzyżową i nie wrócił z niej. Żadna kronika o nim nie wspomina.

W historii klasztoru Montsalvaire można przeczytać, że pod koniec stulecia żyła przeorysza Aigleta z Malaspiny, zwana Sor Sofrensa — w dzisiejszym języku francuskim: Soeur Souffrance<sup>17</sup> — która dożywszy późnej starości, zakończyła bogobojny żywot.

#### FILOMENA

Na wschód od Meranu prowadzi z wierzchołka góry Ifinger w dolinę Adygi głęboki parów. Środkiem toczy się po wyłomach skalnych i żwirze płytki potok górski, latem zupełnie wysychający; tylko na wiosnę, gdy w górach śniegi topnieją, parów wypełnia się szumiącymi, brudnymi wodami, podmulającymi skały. Staczają się one potem wzdłuż wąwozu w dolinę; słychać wtedy gwałtowny huk i łomot, jakby się ziemia zatrzęsła. Ale niebawem uspokaja się wszystko i aż do jesieni cisza panuje w parowie...

W piękny poranek czerwcowy szedł parowem starszy wiekiem człowiek. Miał na sobie ubranie z szarego, prostego płótna; pomarszczoną twarz, okoloną siwą brodą, osłaniał przed słońcem stary kapelusz słomkowy z szeroką kresą; przez ramię miał przewieszoną żółtą skórzaną torbę, do której wkładał od czasu do czasu jakiś niezwykły okaz minerału lub skamieniałej rośliny, naniesionej z wiosną przez fale. Choć słońce mocno świeciło, nie widać było na nim śladów zmęczenia. Maszerował żołnierskim krokiem, przystając niekiedy, by ciupagą opukać skały i pochylić się nad jakimś kamieniem. Rysy jego twarzy były również jakby skamieniałe, zwietrzałe. Nie zwracał wcale uwagi na ciche piękno przyrody, wspaniałe drzewa kasztanowe i orzechowe; nie spoglądał ani w dolinę ścielącą się u stóp góry, ani na stada owiec pasących się na stokach pokrytych bujną zielenią.

Właśnie dotarł do miejsca, w którym parów się rozszerzał i zaczynała się droga wiodąca do Meranu. Tuż obok wiła się ścieżka obramiona<sup>18</sup> po obu bokach drzewami morwowymi, wiodąca do zbudowanej na stoku przepysznej willi.

W tej chwili do starca zbliżył się, idąc ścieżką z willi, niski, elegancko wystrojony młodzieniec. Stary nie zwrócił wcale na niego uwagi i ruszył w stronę gościńca. A kiedy usłyszał za sobą wołanie młodzieńca, szybko skierował swe kroki na przelaj poprzez krzewy rosnące na zboczu, jakby chciał uniknąć spotkania z kimkolwiek.

— Ucieka pan przede mną, panie pułkowniku, ale to panu nie pomoże — wołał za nim młodzieniec — musi mnie pan wysłuchać! Kogoś przecież muszę znaleźć, kto by mi poradził, komu mógłbym się zwierzyć. Czy pan wie, skąd przychodzę? Tak, może się pan domyślić, bo widział mnie pan na drodze, wiodącej z willi... Ale że po raz ostatni tam byłem, tego pan nie wie. Muszę panu opowiedzieć, dlaczego sobie poprzysiągłem, że więcej noga moja tych progów nie przestąpi.

— Nie jestem wcale ciekaw — mruknął stary, nie zatrzymując się. — Zapewne Węgierka dała panu kosza. Dobrze tak panu. Niech pan podziękuje Panu Bogu, żeś się pozbył tej czarownicy. Lepiej od razu niż potem, gdy byłoby za późno...

— Drogi przyjacielu — odparł młodzieniec melancholijnym, cichym głosem — jest pan wielkim znawcą ludzi. Raz tylko z daleka przypatrywał się pan tej niebezpiecznej kobiecie i już ją pan przejrzał. Ale ta kobieta, która dla pana zawsze była antypatyczna, miała nade mną taką władzę...

<sup>17</sup>soeur (fr.) — siostra; souffrance (fr.) — cierpienie. [przypis edytorski]

<sup>18</sup>obramiony — dziś raczej: obramowany; okolony. [przypis edytorski]

— Proszę pana — przerwał stary — niech mi pan zaoszczędzi tych wyznań; już dość zaprzętał mi pan głowę swymi uczuciami. Pan wie, że przy takich rozmowach łatwo tracę cierpliwość.

— Nie dziwię się panu! — zawołał młodzieniec. — Wszak i ja, pozostając tak długo pod jej urokiem, niejednokrotnie byłem narażony na najcięższe próby. Dziś nadzieja, jutro rozpacz; dziś jagnię niewinne, jutro drapieżna pantera. Jestem optymistą; pan wie o tym. Nigdy nie pojmowałem pańskiej zasady, aby zawsze i o wszystkim myśleć jak najgorzej. Ale tu wreszcie uświadomiłem sobie, że jestem zabawką w rękach złej, przewrotnej kobiety. Wyobraź pan sobie: wczoraj przejeżdża ona na swym mule przed moim domem; za nią służący dźwigający w koszu mnóstwo róż alpejskich; siedzę właśnie na balkonie, palę i przyglądam się ruchowi ulicznemu. Gdy mnie ujrzała, zsiadła ze zwierzęcia i wraz ze służącym weszła do domu; po chwili była przy mnie na balkonie. Uśmiechając się rozkosznie, podała mi rękę, potem rozsypała na stole wszystkie róże i poczęła mi robić wymówki, że tak dawno u niej nie byłem, że zaniedbuję ją... Wyśmiej mnie pan, gdy powiem, że byłem na tyle głupi, iż dziś poszedłem do niej z formalnymi oświadczeniami. Ale pan wcale się nie śmieje! A gdybym panu opowiedział, jaką komedię dziś odegrała, śmiałyby się pan zapewne...

Stary nie odpowiadał. Szli obok siebie w cieniu drzew, pogrążeni w myślach. Młodzieniec jednak nie mógł długo wytrzymać milczenia. Począł znowu:

— Tak, szanowny panie, szczęście, że nie dałem się odstraszyć pańską opryskliwością i staram się dotrzeć do pana, choć pan tak starannie unika ludzi. Chcę, aby mnie pan wziął pod swą opiekę, aby pan wypędził ze mnie tę nieszczęsną wrażliwość i dobroduszość, która naraża mnie na coraz nowe rozczarowania. Chcę być pańskim uczniem, chcę, aby mnie pan nauczył dostrzegania płam na każdym słońcu, węża w kielichu każdego kwiatu. Naucz mnie pan ludzi nienawidzić, pogardzać nimi, a będę panu wdzięczny do zgonu.

Stary chrząknął; nie wiadomo, czy był to wyraz śmiechu, czy złości. Przystanął, zmierzzył młodego człowieka od stóp do głów i rzekł:

— Za naukę trzeba płacić, panie hrabio. Czy pan myśli, że kilka kropli potu, które z powodu jakiejś kokietki sperliły pańskie czoło, to dostateczna zapłata? Nie wie pan sam, co pan mówi.

— O, pan ze mnie kpi; już wiem, że u ludzi nie znajdę pocieszenia, jeśli mnie nawet pan nie rozumie. Będę szukał uspokojenia tam, gdzie i pan je znalazł: w przyrodzie!

Po tych słowach usiadł na murawie obok drogi. Naprzeciw stały wysokie drzewa orzechowe, których listowie przesłaniało stary mur zamkowy okryty powojem; z muru tego padał szeroki cień na drogę.

Stary stanął obok hrabiego i wpatrywał się weń, jak głodny żebrak wpatruje się w wystrojonego dzieciaka, żalącego się, że zepsuła mu się zabawka.

— Uspokojenie?... spokój?... w przyrodzie chce pan szukać spokoju, uspokojenia?... Niech pan szuka, gdzie pan tylko chce, w pracy, w konfesjonale, w butelce — tylko nie w przyrodzie. Chyba żeby pan zwrócił się, tak jak ja, do... kamieni. Ale pańska „przyroda”, która ma pana rzekomo uspokoić, to tylko coś w rodzaju kulis teatralnych: kilka słomianych dachów, zachodzące słońce, fletnie pastusze, beczące jagnięta, poszum potoku, w którym pan łowiłby pstrągi na kolację... A potem, gdy pan już będzie miał te kulisy i orkiestrę, czym prędzej zacznie się pan rozglądać za jakąś primadonną, która zmaci ten pański „spokój”, a właściwie... nudę. Pan jest zanadto zamożny, rozpieszczony, samolubny, by zdobyć spokój tam, gdzie jedynie można go znaleźć i gdzie go święci mężowie faktycznie znaleźli.

— A mianowicie?

— W pustyni.

— W pustyni? Nie, mój panie, to nie są słowa na serio. A dlaczego pan tam się wybrał, aby wielbłądom i szakalom prawić kazania o nienawiści do człowieka, zamiast żyć w tych dość kulturalnych okolicach?

— Powtarzam, że nie rozumie pan, co pan mówi — rzekł stary ponuro. — Tam gdzie ja od lat wielu żyję, między skałami i lodowcami, są warunki gorsze niż na podzwrotnikowych pustyniach. Zszedłem w te doliny tylko po to, by się przekonać, czy łagodniejsze powietrze nie pomoże mi na reumatyzm, srodze mnie trapiący od pewnego czasu. Gdyby nie to, żadna siła nie skusiłaby mnie, bym tu bawił. Jest tu zbyt rojno... motłoch

Asceta, Pustynia,  
Rozczarowanie

ludzki psuje powietrze... Interesować mnie mogą chyba tylko kamienie w parowie... Ale chodźmy już; upał wzmaga się coraz bardziej.

Stary wszedł na stromą ścieżynę, wijącą się tuż obok muru zamkowego między niskimi krzewami. Niski rów biegł koło muru. Nagle stary zatrzymał się i począł wpatrywać się w niewielką kałużę, połyskującą w rowie.

— Co pan tu odkrył?

— Ów spokój w przyrodzie, który pan tak zachwalał. Widzi pan tego czarnego robaka na skraju kałuży? I widzi pan tę pijawkę, która się zakrada... o, patrz pan... chwyciła go... patrz pan, jak się wije z bólu ten ślimak!

— Wstrętne! Podaj mi pan laskę, usunę zbója od ofiary.

— Moją laskę? Czym głupiec, abym pomagał robić głupstwa?

— Panie pułkowniku!

— Obraził się pan? Jak pan uważa... Ale niech się pan najpierw zastanowi, czy ma pan prawo grać na cudzy koszt rolę zbawiciela. Gdyby anioł przechodził obok rzeźni i rzeźnikowi, mającemu ubić wołu, w szlachetnym oburzeniu zdruzgotał mieczem rękę, cóż by pan na to powiedział? A może pan podejmie się żywić wszystkie pijawki w rowach własną krwią lub założyć stację ratunkową dla ślimaków?

— Przynajmniej nie możemy zapobiec wiecznemu stanowi wojny w przyrodzie... Ale winne grona nie jęczą, gdy się je ścina, zboże nie płacze, gdy się je miele, a ludzie, którzy widzą, jak owoce ziemi wokół nich dojrzewają, zyskują taki spokój wewnętrzny, jakiego zaprawdę nie ma na tak zwanym wielkim świecie. Czy przypatrzył się pan twarzom ludu tutejszego? Prawdą, pan odwraca głowę, ilekroć w pobliżu jest twarz ludzka.

— Mam swoje powody — odparł stary głucho i począł iść tak szybko, że hrabia tylko z trudem mógł za nim nadążyć.

Niebawem obeszli dokoła okrągłą wieżę wystającą z muru i przekonali się, że wysokie ruiny zamku tworzą czworobok, nowy bowiem mur prowadził do następnej wieży, jeszcze bujniej obrosniętej powojem. Niemniej obficie listowie pokrywało powierzchnię muru i pustych okien. Całe miejsce to było doskonale chronione przed wiatrem; drzewa orzechowe stały jakby straż dokoła olbrzymiego czworoboku. Gdy wędrowcy dotarli do trzeciej wieży, ujrzeni bramę zabita deskami; było w niej jednak pozostawione niewielkie wejście, tyle tylko, by człowiek mógł się przecisnąć. Naprzeciw bramy znajdowała się niewielka winnica i miniaturowy ogródek warzywny.

— Co za romantyczny zakątek! — krzyknął entuzjastycznie hrabia — jak z bajki! Muszę to zwiedzić... Patrz pan, tam pasie się kilka wieprzy, a w ogródku są kury. Kto tu może mieszkać?

— Nie mam wcale ochoty przekonać się o tym... — mruknął stary.

— A ja nie lękałbym się wcale...

— Lękać się? Nie, mój panie. Dobrze, zobaczymy, co się tu dzieje.

Przedostali się przez ciasne wejście i stanęli na obszernym podwórzu zamkowym. Najpierw uderzyło ich zupełne zaniedbanie tego miejsca. Tu dopiero dostrzegli, że jedno skrzydło zamku jest jeszcze jako tako utrzymane, natomiast reszta znajdowała się w kompletnej ruinie. Nie było wokół żadnego śladu, jakoby tu ludzie mieszkali. Pod niewielkim daszkiem, zbitym z gontów, a przytykającym do muru, leżały wprawdzie rozmaite narzędzia rolnicze, pług, kilka połamanych grabi, jakieś stare deski, żerdzie — ale wszystko to było pokryte warstwą kurzu. Stała tu też stara karoca; miała taki wygląd, jakby co najmniej przez kilkadziesiąt lat sterczała tu nieużywana i narażona na niszczące działanie deszczu i śniegu; żelazne szprychy kół były zardzewiałe, skórzane poduszki popękane i wypłowiałe. Na koźle leżał wielki szary kot i spał.

— Myślę, że zaspokoił pan już swą ciekawość — rzekł stary. — Chodźmy stąd, zanim czarownica, do której należy ten kocur, pojawi się w oknie.

Młody hrabia stał w zamyśleniu.

— Nie — rzekł — mam wielką ochotę zwiedzić wnętrza tych ruin. Jeśli pana, panie pułkowniku, to nie interesuje, pójde sam. Co za rozkoszna cisza. Żaden dźwięk tu nie dolatuje; tylko najwyższe szczyty gór dostrzec można z tego podwórza. Jak malownicze jest wszystko, co tu widzimy! Oto pustynia, pułkowniku, w której mógłbym spędzić życie. Od młodości marzyłem o takim kącie odosobnionym od świata, a pełnym romantycznego

Sprawiedliwość, Wojna,  
Natura, Przemoc



uroku...

Wtem rozległ się z oddali strzał.

— Słyszysz pan? — rzekł stary.

— Ktoś poluje.

— Albo też ktoś strzelił do człowieka lub też do samego siebie.

— Co za romanse pan wymyśla?

— Romanse! — mruknął stary. — Czy mógłby pan na pewno twierdzić, że każda stopa ziemi, po której pan stąpa, nie została kiedyś użyźniona krwią ludzką?

Młody hrabia nie odpowiadał. Zamyślił się nad słowami starca.

— A jednak te ruiny są zamieszkałe... — rzekł wreszcie, rozglądając się dokoła. — Czy nie słyszysz tam na pierwszym piętrze jakichś dziwnych dźwięków?... Zobaczmy, co się tam dzieje...

Przystąpili do na wpół uchylonych drzwi. Ciemne drewniane schody prowadziły na piętro. Oczy z trudem przyzwyczajały się do półmroku panującego na schodach.

Ze zdumieniem rozejrzeli się dokoła siebie. Oto byli w olbrzymiej, bardzo wysokiej, mrocznej sali. Przez szpary zabitych deskami okien wnikało skąpe światło. Ostre zapach suszonych roślin i swądu idącego z jakiegoś pieca kuchennego drażnił gardło.

Na drugim końcu sali były otwarte małe drzwi i przez nie można było zajrzeć do niewielkiej izby, której ściany wyłożone były deskami o wypelzłej już, żółtawej politurze. Obok okna w tej izbie, pod starym krucyfiksem ozdobionym różnymi kwiatami leśnymi siedziała przy kołowrotku młoda dziewczyna i spała. W kącie izby na łóżku leżała jakaś stara kobieta, również pogrążona w głębokim śnie.

— Pułkownik! — szepnęła hrabia — weszliśmy w krainę baśni. Jesteśmy w zaczarowanym pałacu. Ta dziewczyna siedząca na ławce przy kołowrotku to chyba królowa, o której nam w dzieciństwie niania opowiadała, a ta stara, leżąca na łóżku, to czarownica, wiedźma...

— Marzycielu! Czy chce pan odegrać rolę księcia, wyzwajającego tę dziewczynę spod władzy wiedźmy?

Rozmowa ta, acz szeptem się odbywająca, zbudziła jednak „zaczarowaną królowę”.

— Kto tam? — szepnęła drżącym głosem i zwróciła przestraszoną twarz w stronę olbrzymiej hali, starając się poprzez panujący mrok dojrzeć tych, którzy ją obudzili.

— Dwaj obcy, chcący zwiedzić ten zamek — rzekł hrabia i wszedł do izby. — Widzę, że przychodzimy nie w porę... Proszę wybaczyć...

— Babka śpi... ojca nie ma w domu... W zamku nie ma nic do zwiedzania... to opuszczone ruiny...

Hrabia z rosnącym wciąż zdumieniem rozglądał się po izbie. Nędzą wyczierała z każdego kąta. Na stole w popękanej glinianej misie leżały resztki polenty<sup>19</sup>; dzban z mlekiem obsiadły niezliczone muchy; stara, łatana bielizna wisiała na sznurach w pobliżu tynkowanego niskiego pieca. Również i strój dziewczyny świadczył o wielkim ubóstwie; tylko gładko zaczesane ciemne włosy, spięte starym mosiężnym grzebieniem, dowodziły pewnej dbałości.

— Moje dziecko — rzekł hrabia — bardzo mi przykro, że zbudziłem cię ze snu. Ale że już się to stało, czy nie byłabyś łaskawa oprowadzić mnie po zamku? Miałbym ochotę zakupić te ruiny, oczywiście gdyby właściciel się zgodził.

— Ojciec jutro dopiero wróci. Proszę z nim pomówić. On ma klucze od wyższych pięter. A tu są same puste komnaty.

— Czy zamek należy do ojca?

— Nie, panie. Ojciec jest tylko dozorcą.

— A od dawna tu mieszkacie?

— My?... Nie wiem. Może od trzech lat.

— A gdzie byliście przedtem?

— Tego nie wolno mi powiedzieć. Ojciec zabronił!

Twarz jej pokrył silny rumieniec. Dopiero teraz młody hrabia dostrzegł, że twarz jej, mimo zaniedbanego stroju, jest wybitnie piękna. Rysy tej twarzy były jednak jakieś obce, ostrzejsze, cera ciemniejsza niż u kobiet z okolicy Meranu.

<sup>19</sup>polenta — włoska potrawa narodowa przyrządzana z mąki kukurydzianej. [przypis tłumacza]

— Już od trzech lat! — powtórzył. — A ile masz lat, moje dziecko?

— Dwadzieścia, panie, a może i więcej.

Zdziwił się, gdyż nie wyglądała na więcej niż szesnaście.

— Powiedz mi, jak się nazywasz — prosił.

— Filomena — szepnęła.

Przez parę chwil panowało milczenie. Nagle dziewczyna podbiegła do łóżka i szarpnęła rękę śpiącej staruchy.

— Babko — zawołała — jest tu jakiś pan; chce zwiedzić zamek.

Miotając niezrozumiałe wyrazy we włoskim dialekcie, stara podniosła się, odgarnęła chudymi palcami włosy z czoła i, patrząc gniewnie na przybysza, zbliżyła się do niego. Mimo woli hrabia rozejrzał się za swym towarzyszem, gdyż niezbyt pewnie czuł się w towarzystwie tej wiedźmy. Ale pułkownika nie było...

Starucha ręką zrobiła ruch wypraszający go za drzwi. Dziewczyna siadła spokojnie przy kołowrotku i zupełnie nie interesowała się tym, co się rozgrywa w izbie.

Było zgoła niemożliwe porozumieć się ze starą. Czystego włoskiego języka, którym hrabia próbował z nią się dogadać, nie rozumiała; nie chciała również przyjąć pieniędzy, które jej ofiarował za oprowadzenie go po ruinach zamkowych.

— Babka jest głucha — szepnęła dziewczyna. — Porozumieć się umie tylko z ojcem i ze mną.

— A więc dlaczego ją obudziłaś? — rzekł młody hrabia, spoglądając na nią z wyrzutem. — Powiadasz, że ojciec jutro będzie? Dobrze więc, przyjdę tu jutro. A tymczasem do widzenia, Filomeno!

Dziewczyna milczała. Wracając po ciemnych i ciasnych schodach hrabia słyszał skrzek staruchy, gniewnie z wnuczką rozprawiającej.

Odetchnął swobodnie, gdy znalazł się wreszcie na podwórzu zalanym potokiem promieni słonecznych. Również i tu nie zastał pułkownika. Opuścił więc podwórze i opodał zamku, blisko dróżki wijącej się w cie-mu drzew orzechowych, położył się na mchu, by odpocząć przed wyruszeniem w dalszą drogę.

Po pewnym czasie usłyszał zbliżające się kroki i niebawem na dróżce pojawiła się młoda kobieta dźwigająca na grzbiecie wielki kosz.

— Dokąd? — zapytał.

— Roznoszę chleb z miasta po dworkach okolicznych.

— Ciężka to droga w takim skwarze...

— Ha, cóż robić...

— Czy przynosisz chleb również i do tego starego zamku?

— Tak.

— Jak nazywają ludzie te ruiny?

— Planta. Właściciela już od niepamiętnych czasów tu nie było. Mieszka tylko rządcą z córką i matką... diaboliczka ta starucha... szczerzy do każdego dwa zęby, które jeszcze tkwią w dziąsłach... Rzadko rządcę zastać tu można.

— A gdzie się włóczy całymi dniami?

— Jest zawołanym strzelcem. Znaleźć go można na wszystkich turniejach strzeleckich. Usiedzieć nie może w domu. Co prawda, niewiele miałby tu do roboty. Wszystkie pola i winnice są wydzierżawione.

— Czy to chłop tutejszy?

— Nie, panie. Nikt nie wie, skąd pochodzi. Ani on, ani matka i córka z nikim tu nie przestają. Już rok minął, odkąd im dwa razy tygodniowo przynoszę chleb, a wiem tyle o nich, co pierwszego dnia. Co miesiąca punktualnie otrzymuję pieniądze, a reszta mnie nie obchodzi. Żał mi tylko dziewczyny. Piękna, dorodna i jeszcze byłaby ponętniejsza, gdyby miała coś przyzwoitego do ubrania. Nawet w święta idzie na mszę do kościoła raniutko, bo nie ma co na siebie wdziać. No, ale dość gadania, trzeba się śpieszyć, bo przede mną jeszcze daleka droga.

Hrabia wstał, by jeszcze przed porą obiadową dostać się z powrotem do miasta. Przeżycia poranne wywarły na nim silne wrażenie. Zająście, jakie miał z fałszywą, kapryśną kokietką, która go przywabiała, aby go zawstydzić — zeszło na drugi plan. Natomiast na pierwszy wysunął się obraz dziewczęcia, które ujrzał śpiące przy kołowrotku. Odczuwał litość nad tą zaniedbaną istotą, z której jednak promieniował jakiś zagadkowy czar.

Był rad, że nie ma teraz przy sobie pułkownika, starego zrzędy, który swym sarkazmem zmąciłby wrażenia zaznane w ruinach zamkowych. Schodząc po stoku góry, wciąż myślał o fantastycznej romantyce tego opuszczonego zamku i tej zagadkowej istocie przy kołowrotku...

„Szaleństwo — snuło mu się po głowie. — Majaczenia! Pułkownik ma rację; tylko ludzie nadmiernie wyczuleni mogą szukać ukojenia w przyrodzie i u prostych ludzi. Ta niesamowita rodzina, o której nikt nie wie, skąd pochodzi i jaka jej przeszłość — może stanowić dla mnie tylko tło do obrazu fantastycznych ruin, ale naprawdę nie powinna mnie zupełnie obchodzić. Byłoby to również nonsensem, gdybym chciał te ruiny nabyć i odbudować w nich dom mieszkalny. Cóż bym począł ze stu izbami, które można by tam wystawić? Założyć rodzinę i umieścić ją na odludziu? Nonsens!”

Przyszło mu na myśl, że przecież dziwne jest, iż zimna kokietka, która go dziś tak upokorzyła, przez tyle miesięcy wytrzymuje w samotnej willi. Co prawda, piękna Węgierka zebrała wokół siebie towarzystwo, bawi u niej często okoliczna arystokracja, przybywają oficerowie z garnizonu w Meranie. Ale czyż to może jej zastąpić życie towarzyskie wielkiego miasta?

Czy nie uczyniłby lepiej, opuszczając tę okolicę? — przemknęło mu po głowie. Węgierka będzie zapewne wszystkim rozpowiadać, jak okrutnie sobie zakpiła z niego; narazi go na śmieszność, a to jest zabójcze dla młodego człowieka. Wróciwszy do hotelu hrabia kazał sobie obiad przynieść do pokoju; nie miał dziś wcale ochoty spotkać się z ludźmi we wspólnej sali jadalnej. Poleciał też służbie, by nikogo do niego nie wpuszczano.

Hrabia należał do tych ludzi, którym z biegiem czasu coraz bardziej ciężcy poczyna zupełna niezależność i brak zajęcia; szukał jakiegoś stałego punktu, jakiegoś oparcia dla swych myśli i uczuć. Należał do natur nieproduktywnych, nie mających konkretnych zadań w życiu, nie zdążających do żadnego wytkniętego celu; ludzie ci stale żyją jakby podczas wakacji i urlopu, szukają przygodnych wrażeń, wytwarzają sobie sami tysiączne drobne obowiązki, starają się niepokój wewnętrzny opanować przez imanie się różnych mało ważnych zadań lub problematycznych zagadnień.

Zainteresowanie się dumną i kapryśną Węgierką było właśnie jednym z takich przejawów; hrabia wmówił w siebie, że czeka go tu piękne i wdzięczne zadanie: chciał ujarzmić naturę tej przewrotnej kobiety i uszlachetnić ją swym wiernym uczuciem. Ten cel pedagogiczny zajmował go silniej niż sama kobieta, choć nie zdawał sobie z tego należyte sprawy. Wytrzeźwiał dziś rano zupełnie i uczuł pustkę w sercu; i oto znowu ogarnęła go gorączka działania: ledwo spojrział na dziewczę w opuszczonym zamku, powziął jeszcze bardziej fantastyczny plan, który go zaprzętał intensywnie przez całe popołudnie.

Chętnie byłby teraz odszukał pułkownika, by z nim porozmawiać; czuł, że ironia i sarkazm starego zrzędy w tym wypadku nie miałyby takiej pożytki jak rano, gdy mowa była o nieudanych zalotach do węgierskiej kokietki.

Stary pułkownik nie podał mu jednak nigdy swego adresu. Choć w Moranie wszyscy znali tego zagadkowego człowieka, nikt nie umiał o nim powiedzieć nic dokładniejszego; wiadano, że mieszka w jakiejś górskiej wiosce i że od miesięcy z ciupagą w ręku włóczy się po okolicy. Nie znano też jego nazwiska; nieliczni, z którymi w ogóle rozmawiał, nazywali go pułkownikiem, nie wiedząc zresztą, czy ta ranga mu przysługuje. Że był wojskowym, poznać można było od razu z jego postawy i chodu. Hrabia nic więcej o nim nie wiedział.

Wieczorem położył się wcześniej do łóżka i we śnie ujrzał się w ruinach zamkowych...

Nazajutrz po południu wybrał się w drogę. Znał ją doskonale. Przynajmniej do tego miejsca u wylotu parowu, skąd prowadziły dwa odgałęzienia; na lewo do ruin zamku Planta, na prawo do willi kokietki.

Właśnie znalazł się na rozdrożu, gdy z prawej strony nadeszła osobliwa para. Młodzieniec, który prowadził pod ramię uroczą swą towarzyszkę, nosił wytworny, jasny garnitur letni, na głowie miał lekki słomkowy kapelusz. Był średniego wzrostu, smukły i zgrabny. Hrabia spotykał go w Meranie, nie zwracał jednak na niego zbytnej uwagi. Należał do nielicznych elegantów i lowelasów tego małego miasta, którzy dzień spędzają na ulicy lub w kawiarni i regularnie wychodzą na dworzec kolejowy, by przypatrzeć się przyjezdnym. Ojciec jego miał wielki sklep w Meranie i obszerne winnice w okolicy. Młody elegant prowadził pod ramię pokojówkę Węgierki. Nie była już pierwszej młodości; twarz miała przekwitłą, z śladami burzliwych nocy i niejednej miłostki. Obok młodego wytwornego

lowelasa tym bardziej to się uwydatniało.

Na widok młodej pary hrabia skrył się w krzewach gęsto rosnących obok drogi. Dopiero gdy minęli go młodzi, zatopieni w ożywionej rozmowie, poszedł pośpiesznie w stronę zamczyska.

W dolinie leżały już głębokie cienie, ale wysokie pokryte powojem ściany zamku skąpane były jeszcze w potokach słońca. Myśli hrabiego od wczorajszego dnia tak często krążyły wokół tych murów, iż miał teraz wrażenie, jakby tu było stałe jego miejsce pobytu, a teraz wracał znowu po dłuższej nieobecności. Filomenę zastał na podwórzu; rozłupywała siekierą na wielkim pniu jakąś zeschlą deskę; widocznie szykowała opał do kuchni. Teraz, w świetle słonecznym, suknia jej wydała mu się jeszcze nędzniejsza niż wczoraj; sprawiało mu to pewną przykrość, boć przecie w swych snach wystroił ją tak czarownie...

Przez kilka chwil spoglądał na nią w milczeniu i nie zadał pytania, które cisnęło mu się na wargi.

Widocznie przeczuła, o co chce zapytać, gdyż odpowiedziała:

— Nie ma jeszcze ojca w domu. Nie wiem też, kiedy wróci.

Powiedziawszy to, zabrała się znowu spokojnie do swej roboty.

— Jestem zmęczony długim marszem. Czy wolno mi tu trochę wypocząć? — rzekł wreszcie i nie czekając na odpowiedź, usiadł na zbutwiałej ławie pod murem.

— A dokąd ojciec poszedł? — zapytał po chwili.

— Na strzelnicę do Lany.

— Czy często bawi poza domem przez szereg dni?

— Jak się zdarzy. Może z Lany uda się do Bolzano, bo i tam ma się odbyć strzelanie z nagrodami.

— A nie przykro ci tu samej, Filomeno?

Spojrzała na niego, jakby nie rozumiała wcale tego pytania, i nic nie odrzekła.

— Czy babka nie dokucza ci?

— O nie — rzekła i po chwili głęboko westchnęła.

— A nie boisz się być tu z tą starą, głuchą kobietą? Włóczy się przecież często po górach mnóstwo drabów. A gdyby kiedy napadli na was?

— Nie, nie — rzekła. — Nikt tu nie przychodzi, nikt o nas nie dba... jesteśmy biedni... A gdyby przyszedł w nocy, już by babka to zmiarkowała. Babka śpi tylko za dnia, w nocy siedzi przy kołowrotku, widzi w ciemności lepiej niż sowa... Nie, nie, nikt do nas nie przychodzi... Babka zmiarkowałaby to natychmiast... Chyba że by wypila za dużo wina...

Ostatnie słowa wymknęły się jej widocznie mimo woli, gdyż wyraz przestrachu pojawił się na jej twarzy.

— A czy nie masz nigdy ochoty zobaczyć innych ludzi, pójść do miasta, zwłaszcza w dni targowe?

— A cóż bym tam sobie kupiła? — odparła spokojnie.

— Znaleźliby się już tacy, którzy by ci kupili najpiękniejsze rzeczy, gdybyś tylko chciała uprzejmie na nich spojrzeć.

Twarz jej nagle poczerwieniała. Zaczęła tak silnie uderzać siekierą w drzewo, że drzazgi padały daleko od pnia.

— Nie mam doprawdy nic złego na myśli, moje dziecko. Przecież nie spędzisz całego życia w tych murach... Dostaniesz za męża poczciwego chłopaka i zamieszkas z nim w mieszkaniu o wiele lepszym niż ta wasza izba, w której byłem wczoraj. Czy nie chciałabyś tego, Filomeno?

— Nie chcę opuścić ojca — rzekła głuchym tonem.

— A cóż byś na to powiedziała, gdybym kupił ten zamek i kazał w nim odbudować dla siebie i dla was mieszkania? Czy wtedy zostałabyś wraz z ojcem przy mnie?

Zanim zdążyła odpowiedzieć, otwarły się w jednym z okien na piętrze okiennice i starucha poczęła skrzeczącym głosem miotać niezrozumiałe dla hrabiego słowa. Dziewczyna pośpiesznie zebrała do fartucha porąbane na opał drzewo i pobiegła do małych drewnianych drzwi, wiodących do wnętrza tej części zamku, w której znajdowało się mieszkanie rządcy. Hrabia czas jakiś przeczekał na podwórzu, ludząc się, że może przecież dziewczyna jeszcze zejdzie. Gdy jednak po dłuższym oczekiwaniu nie zjawiała się, opuścił teren zamczyska.

Przy najbliższym rozdrożu natknął się na starego pułkownika.

— Dlaczego mnie pan wczoraj opuścił? — zapytał hrabia.

— Nie łażę tam, gdzie nie mam nic do roboty — mruknął stary i ostro wpatrując się w hrabiego, zapytał: — Awantura rozwija się zupełnie normalnie? Czy ptaszek w klatce już obłąkany?

— Pułkowniku, pan mnie krzywdzi! Nie wie pan...

— ...że pan wraca znowu od dziewczyny. Nabrała już trochę zaufania? Rozmówił się pan już może z ojcem?

— Myli się pan, przypisując mi jakieś lekkomyślne zamiary. Wprost przeciwnie...

— O, zapewne — przerwał stary, śmiejąc się ironicznie — jest pan człowiekiem honoru, dżentelmenem, a zresztą udaje pan filantropa... Żał panu dziewczyny... lituje się pan nad jej losem... Kontrast też pana pociąga: wczoraj rano kobieta światowa, trzy razy dziennie zmieniająca stroje, dziś kopcuszek, uosobienie niewinności, nie tknięta dzika różyczka... Życzę panu powodzenia i dużo przyjemności.

Stary uchylił kapelusza, jakby się chciał oddalić, lecz hrabia zatrzymał go i począł żywo rozprawiać:

— Uwziął się pan, aby mi dokuczać, nie mam zamiaru dosłownie brać pańskich słów, gdyż uważam pana za człowieka nieszczęśliwego. Ale bardzo prosiłbym unikać tego ironicznego tonu, gdy chodzi o moją cześć!

— Co? — krzyknął stary. — Cześć? Jaką właściwie cześć ma pan na myśli? Czy chodzi panu o tę cześć, której panu nawet pies nie zazdrości, o cześć ludzką?

Hrabia spojrział nań ze zdumieniem, miał w tej chwili poważne wątpliwości, czy też stary nie jest niespełna rozumu. Z pewnym zakłopotaniem odparł:

— Stawia pan dziwne pytania. Zapewniam pana, że uważałbym się za skończonego draba, gdybym godził na niewinność tego dziewczęcia lub starał się zmącić spokój jej samotnego życia li tylko dla płochy igraszki.

— Tak, tak, pan jest człowiekiem szlachetnym... — rzekł stary tonem na poły ironicznym, na poły zatroskanym. — Szkoda tylko, że ta szlachetność trwa zwykle bardzo krótko. Zależy to przeważnie tylko od... temperatury. Gdy krew dojdzie do punktu wrzenia, wtedy diabli biorą wszystkie surowe śluby, które człowiek poprzysiągł sobie przy temperaturze dziesięciu stopni powyżej zera. Nie mam tu nic szczególniejszego na myśli, panie hrabio, wypowiadam tylko mój pogląd. Niech pan swoją cześć położy na lodzie, jeśli pan chce ją zakonserwować... A teraz żegnam, panie hrabio.

Zbliżył rękę wojskowym ruchem do czapki i szybko się oddalił.

Hrabia wracał powoli do miasta. Przemyślał nad słowami starego, nad zagadką zamczyska, nad własnymi uczuciami. Pułkownik wprowadził dysonans w plany, które sobie tak pięknie ułożył. Miał najszczerze zamiary, ale musiał przyznać, że z czasem przeciw moment pożądania erotycznego począłby odgrywać wybitniejszą rolę. Cóż wtedy? W co przemieniłaby się sielanka? Miałżeby starać się o rękę Filomeny? Nie, nie, to chyba niedorzeczność.

Następnego dnia postanowił urządzić wycieczkę w inną zupełnie okolicę; chciał się uspokoić, skierować swą uwagę na inny pejzaż, przejąć się innymi wrażeniami. Wynajął powóz i pojechał do Vintschgau. Ale choć starał się nie myśleć o przeżyciach ostatnich dni, nie udawało mu się to. Z coraz większą natrętnością myśli jego krążyły dokoła starego zamczyska i jego tajemniczych mieszkańców.

Gdy wrócił, zastał na ławce przed domem barczystego, krępego mężczyznę, który widocznie na niego czekał, gdyż na jego widok wstał i uchylił kapelusza. Człowiek ten nosił ciężką, łataną kurtkę, wysokie, okute buty i szary, wypłowiały pilśniowy kapelusz. Z kościstej twarzy, otoczonej rudawą brodą, przebijała taka ponurość, że hrabia mimo woli sięgnął do kieszeni, by dobyć z niej kilka groszy dla żebraka.

— Nie zajmę panu wiele czasu — rzekł przybysz — ale myślę, że trudno byłoby nam porozumieć się tu, na ulicy...

— Kim pan jest? — zapytał hrabia, ze zdumieniem porównując czysty akcent obcego z jego żebraczym niemal wyglądem.

— Nazywam się Weber i jestem zarządcą zamku Planta. Ponoć pan hrabia chciał ze mną mówić...

— Pan jest ojcem dziewczyny, którą widziałem w zamku?

— Tak, panie, sądzę jednak, że to nie należy do rzeczy. Pan hrabia zwiedził zamek podobno po to, by go kupić. Tylko w tym celu tu przyszedłem.

Hrabia wprowadził rządcę Planty do swego pokoju, posłał służącego po wino i usiadł w fotelu przy oknie. Weber stał na środku pokoju, jakby chciał w ten sposób zaznaczyć, że nie zamierza wdać się w dłuższą rozmowę, a chce tylko jak najprędzej załatwić sprawę.

— Panie hrabio — rzekł wreszcie — przyszedłem po to, by zapytać, czy pan sprawę traktuje serio. Bo wielu już było ludzi, którzy zwiedziwszy zamek oświadczyli gotowość kupienia go, a żaden z nich po zastanowieniu się nie przystąpił na serio do interesu.

Hrabia uważnie mu się przyglądał. Badając, czy między ojcem a córką jest podobieństwo, nie dosłyszał wcale słów rządcy.

— Panie Weber — rzekł — jak długo bawi pan w tej okolicy?

— Co to ma wspólnego z kupnem zamku? — mruknął rządcą. — Nie po to przyszedłem, by mówić o moich sprawach, a tylko by dowiedzieć się, czy pan hrabia chce naprawdę nabyć zamek.

— Drogi panie — uspokajał go hrabia — cóż się panu tak śpieszy? Niech pan siada... Oto przynoszą wino... Przyjemniej omawia się takie sprawy przy lampce...

— Dziękuję... nie piję...

— Widzę, że naprawdę panu się śpieszy. A więc chciałbym nabyć to zamczysko i odbudować części, które uległy zniszczeniu. Ale pojmie pan, że muszę się dokładniej jeszcze przyjrzeć, sprowadzić rzeczoznawcę, który by orzekł, czy stare mury wytrzymają remont; muszę też wiedzieć, ile żądają za swą posiadłość dotychczasowi właściciele; przecież nie można takiej sprawy załatwić od razu, tak jak pan to sobie wyobraża, natychmiast.

— Panie hrabio — odparł brodac i zakłopotany obracał kapelusz w rękę — proszę mi tego nie brać za złe, ale muszę oświadczyć, że nie mogę sobie wyobrazić gorszego interesu niż kupno tych ruin; kto chce tracić pieniądze na te rumowiska, chyba stracił rozum...

— Niech mi pan to wytłumaczy, panie Weber, bo takie ogólnikowe sądy niewiele warte.

— Panie hrabio, za te pieniądze, które trzeba wydać, aby uprzętnąć rumowiska i dotrzeć do fundamentów, można by zbudować piękny dom. A potem, panie, co za kosztą zwiezienia tam na górę materiału budowlanego!

— O tym pomówimy potem, gdy będzie z nami architekt. Ale czy wie pan, jaka jest cena kupna i czy ma pan pełnomocnictwo sprzedaży?

Brodacz wymienił bardzo poważną sumę i z wielkim zainteresowaniem śledził, jakie wrażenie wywrze ta wysoka cena kupna. Gdy jednak jowialna, okrągła twarz hrabiego pozostała nie zmieniona, brodac przeraził się.

— To chodzi nie tylko o pieniądze, panie hrabio — rzekł pośpiesznie — zamek jest położony w niezdrowym punkcie; nigdzie w okolicy nie ma tyle szcurków, węży i skorpionów, jak w ruinach zamkowych. A ile robactwa gnieździ się w murach!

Brodacz rękawem kurtki otarł pot z czoła.

Hrabia nie przestawał go obserwować, ze zdziwieniem stwierdzając rosnący wciąż niepokój rządcy.

— Panie Weber — rzekł, siląc się na najbardziej dobroduszny ton — widzę, że nie życzy pan sobie, abym kupił zamek.

— Mówię tylko to, co jest prawdą. A to, co mówię, mogą potwierdzić również i inni. Zresztą pan hrabia przekona się sam, gdy się bliżej rozejrzy. Wolałbym panu hrabiemu zaoszczędzić fatygi. Po co pana narażać na zwiedzanie tych zatechłych nor i porozwalanych komnat? Wszak pan nie kupi tego zamku, jestem tego pewien; znam wielu, którzy tak samo jak pan gorączkowali się, a potem stracili zupełnie ochotę.

— Ale pan, panie Weber, przecież sam tu wytrzymuje, chociaż, jak pan powiada, okolica jest niezdrowa. Węże, o których pan wspominał, nie zaszkodziły ani panu, ani córce... Prawda, że pan rzadko bawi w zamczysku, ale córka...

— Panie hrabio! — stanowczym głosem zastrzegł się rządcą — po raz drugi muszę prosić, aby osobę mojej córki nie mieszać do tej sprawy. Czy mam córkę, czy nie, to przecież nikogo nie obchodzi, chyba że pan hrabia właśnie...

Uczył ruch, jakby zamierzał opuścić pokój.

— Myli się pan — rzekł hrabia spokojnie. — Gdybym kupił zamek, chętnie zostawiłbym pana na obecnej posiadzie. Chciałbym tam mieć zaufanego człowieka, znającego dokładnie teren; powierzyłbym panu nadzór nad budową i pieczę nad zamkiem w tych miesiącach, gdy mnie tu nie będzie.

— Musiałby się pan hrabia rozejrzeć za kim innym. Nie pozostanę tu ani dnia dłużej po ukończeniu formalności i przekazaniu panu hrabiemu praw własności do zamku.

— Dlaczego?

— To moja rzecz... Mam obowiązek pokazania panu hrabiemu wszystkiego, co jest godne widzenia w zamczysku. Proszę zatem o wyznaczenie terminu, kiedy to się ma odbyć. Ale bardzo proszę: w najbliższych dniach; potem znowu nie będzie mnie przez jakiś czas.

Hrabia zdał sobie sprawę, że nie wydobędzie z mrukliwego i małomównego brodacza żadnych więcej wiadomości, zakończył więc rozmowę słowami:

— Dobrze więc, przyjdę jutro rano. Pokaże mi pan zamek, a potem pomówimy o dalszych sprawach.

Nazajutrz o świcie hrabia wybrał się w drogę i idąc w stronę zamczyska, zastanawiał się, dlaczego Weber tak stanowczo opierał się, by nie zostać na miejscu po sprzedaży zamku. Zapewne coś ponurego w przeszłości zagnało go do tego samotnego kąta, może jakieś ciężkie przewinienie... A może też wyobraża sobie, że uczyni jego samotnię terenem głośnego, wesołego życia i zmaczą ciszę, którą otoczył siebie i córkę...

Po drodze hrabia spotkał owego młodego lowelasa z Meranu, wracającego widocznie z nocnej schadzki, spędzonej w willi owej kokietki, której wspomnienie zupełnie już zatarło się w duszy hrabiego. Minął go obojętnie. Cóż go obchodziło teraz, czy młody elegant wraca od pokojówki, czy też od samej pani?

Wreszcie dotarł do zamczyska. Na podwórzu oczekiwał go Weber. Poczuli zwiedzać szczegółowo przestronne ruiny. Mając w pamięci wczorajsze opryskliwe słowa rządcy, hrabia ani słowem nie wspomniał o Filomenie. Zdziwił się jednak bardzo, że nie zastał jej w izbie, w której ją po raz pierwszy ujrzał przy kołowrotku. Siedziała tam tylko stara wiedźma i łapczywie zajadała polentę.

Hrabia opuścił pośpiesznie ponurą izbę i wszedł po drewnianych zmurszałych schodach na wyższe piętro. Znajdowały się tu jeszcze mury, ale brak było ścian przedzielających poszczególne komnaty. Strop był zupełnie zniszczony; między belkami poprzecznymi wił się powój, poprzez który widać było błękit nieba; olbrzymia hala stanowiła schronisko dla przeróżnego ptactwa gnieżdżącego się pod stropem. Przez okna pozbawione szyb rozciągał się wspaniały widok na pokryte winnicami stoki.

— To trzeba by przede wszystkim odnowić — rzekł hrabia — mam wrażenie, że stosunkowo niewielkim kosztem można by tu urządzić szereg przepysznych pokoi.

Rządca milczał. Twarz jego wyrażała całkowitą obojętność. Stał o kilka kroków od hrabiego i dawał na jego pytania krótkie, ściśle rzeczowe odpowiedzi.

Otworzył drzwi wiodące z olbrzymiej hali do okrągłej wieży narożnej. Hrabia spojrzał: wieża była pusta; brakło w niej schodów wiodących bądź to w górę, bądź w dół.

Obaj zeszli potem po schodach na podwórze.

— Czy to już wszystko? — zapytał hrabia.

Weber wskazał ręką na przybudówkę przylegającą do murowanego parkanu i również gęsto obrosłą powojem.

— I tu też nic nie ma godnego uwagi — rzekł brodacz.

— Zobaczymy.

Weber miał rację. Przybudówka była pusta, stanowiła magazyn gratów i znajdowała się w fatalnym stanie.

Hrabia wpatrywał się w mury zamkowe i nagle twarz jego poweselała. Na piętrze znajdował się w pewnym miejscu w murze wykusz; było w nim niewielkie okno. I tu wychylała się głowa dziewczęcia, które ojciec widocznie w tym miejscu ukrył. Hrabia radośnie skinął głową i dojrzał, że Filomena zarumieniała się, po czym natychmiast znikła.

— Co to znaczy? — zawołał Weber. — Dlaczego daje pan jakieś znaki porozumiewawcze mojej córce? Teraz miarkuję, panie, hrabio, do czego pan właściwie zmierza. Ale myli się pan bardzo. Nie należę do ludzi, którzy przymykają oczy, gdy zawraca się głowy ich córkom. Czy zrozumiano?

— Ależ, drogi przyjacielu...

— Przyjacielu? Między mną a hrabią nie ma mowy o przyjaźni. Zwiedził pan zamek. Stało się więc to, czego sobie pan życzył. Proszę w sprawie ceny kupna zwrócić się wprost do właściciela zamku. Tu nie ma pan hrabia nic więcej do roboty. Żegnam.

Ostatnie słowo poparł wymownym ruchem ręki, wskazując bramę.

Hrabia jednak nie ruszył się z miejsca.

— Panie Weber — rzekł — czy jest w tym coś złego, jeśli powitałem pańską córkę uprzejmym skinieniem głowy?

— Nie życzę sobie tego, panie hrabio. Nie mam wcale ochoty dawać okazji próżniaczemu arystokratom do uwodzenia uczciwych dziewcząt, a już zgoła nie chcę, by moja córka służyła komukolwiek za zabawkę...

— Panie Weber — przerwał mu hrabia z wielką stanowczością — jest pan albo głupcem, albo drabem, jeśli oburzasz się na to, co na całym świecie uchodzi za zwykły akt uprzejmości. Lituję się nad tym dzieckiem, które ma poczciwą, niewinną twarz, a młodość swą musi spędzać tu, na odludziu. Oto wszystko. Zapewniam pana solennie, nie chcę nic ani od pana, ani od pańskiej córki. I zapewniam pana również, że ilekroć ją spotkam, powitam ją z wielką uprzejmością, nie zrażając się wcale pańską srogą miną.

— Zobaczmy... — rzekł stary i poszedł, zostawiając hrabiego na podwórzu.

Przez kilka chwil hrabia zatrzymał się na miejscu, zanim zdecydował się opuścić teren zamczyska. Ciemna głowa dziewczęcia nie pojawiła się więcej w oknie; wokół panowało grobowe milczenie... Przez kilka godzin hrabia, chodząc z kąta w kąt w małej izbie hotelowej, rozważał, jak ma teraz postąpić, gdy wszelki kontakt z zamczyskiem został w tak stanowczy sposób zerwany. Nie ukrywał już wcale przed sobą, że zainteresowanie jego dla dziewczyny nie wypływa wcale — jak to tłumaczył ojcu — tylko z litości; przeciwnie, zdawał sobie jasno sprawę, że oświadczył nim całkiem inne uczucia.

Wreszcie po dniu spędzonym w przykrej rozterce wewnętrznej postanowił na czas jakiś zmienić miejsce pobytu, osiedlić się na kilka dni wysoko w górach, na połoninach, szukać uspokojenia w szalasie pasterskim, z dala od ludzi. Nazajutrz wynajął dwa muły i wraz ze swym służącym ruszył w drogę. Gdy przejeżdżał obok okrytego powojem zamczyska, najchętniej byłby odwrócił twarz. Mimo to oczy jego bystro wypatrywały, czy też nie dojrzą postaci dziewczęcej; zamczysko było jakby wymarłe; wzrok hrabiego nie dojrzał ani śladu żywej istoty... Przez cały czas jazdy hrabia pogrążony był w ponurym milczeniu. Służący próbował kilkakrotnie nawiązać rozmowę lub skierować zainteresowanie swego pana na jakiś przedmiot; widząc jednak, że jego wysiłki nie odnoszą żadnego rezultatu, dał wreszcie pokój. W szalasie, w którym spędzili kilka dni, usposobienie hrabiego było jednakie; dniami całymi włóczył się po skałach i szczytach, jednak spokoju wewnętrznego, jaki mu dać miała przyroda i samotność, nie zyskał. Tyle tylko że znużony wędrówkami zapadał co wieczora w ciężki sen, trwający do świtu.

Wreszcie pewnego poranku kazał służącemu osiedlać zwierzęta i szykować się do powrotu. Zdawał sobie sprawę, że kuracja zupełnie się nie powiodła.

Po drodze zaskoczyła go gwałtowna burza i zmusiła do schronienia się na kilka godzin w nędznej chałupie przydrożnej.

Gdy ją opuszczał, deszcz wciąż jeszcze padał. Hrabia chciał jednak przed nocą stanąć w Meramie i dlatego nie bacząc na niepogodę wracał przez rozmokłe ścieżyny górskie ku miastu.

Gdy znalazł się w pobliżu zamczyska, ujrzał nagle u stóp drewnianego krzyża, wznoszącego się o kilkadziesiąt kroków od muru, jakąś postać kobiecą, przytuloną do krzyża. Dojrzał tylko z oddali część głowy i ramię oplatające pień drzewa. Nie miał jednak ani na chwilę wątpliwości, że jest to Filomena.

— Pojedziesz z mułami naprzód i będziesz mnie oczekiwał u wylotu parowu — rzekł do służącego.

Sam przystąpił do krzyża i pochylając się nad dziewczyną, rzekł:

— Co tu robisz, Filomeno? Dlaczego nie wracasz do izby? Jesteś cała przemoczona...

Nie odpowiedziała. Zakryła twarz rękami.

— Co ci dolega, Filomeno? Drżysz na całym cielem... Pójdź do izby; deszcz cię zmoczył, musisz się przebrać... Nie możesz przecież tu pozostać... Czy ojciec w domu?

— Nie.



— Odprowadzę cię do domu. Jeśli nie pójdziesz dobrowolnie, zaniosę cię na rękach. Powiedz mi, co ci dolega. Może potrafię ci pomóc...

Łzy trysnęły jej z oczu. Oparła głowę na jego ramieniu.

— Chciałabyś opuścić ten ponury zamek? Powiedz szczerze, drogie dziecko. Męczy cię to życie...

— Tak, chciałabym umrzeć... — szepnęła i zatrzęsła się.

Przeraził się tego wybuchu rozpacz.

— Będziesz żyła, Filomeno, jesteś zbyt młoda i zbyt... piękna — chciał powiedzieć i słowo to zamarło mu na wargach.

Dziewczyna znowu przypadła do stóp krzyża i zaczęła głośno łkać.

Pochylił się nad nią i starał pocieszyć.

— Ależ, dziecko, nie ma takiej sytuacji, z której nie byłoby wyjścia, kiedy się ma dobrą wolę. Gdybym wiedział, że masz do mnie zaufanie, że poszłabyś ze mną...

Głośno jęcząc, wypowiadała jakieś niezrozumiałe wyrazy.

— Chodź! — rzekł i podniósł ją — usiądźmy na tym kamieniu. Powiedz mi, co ci dolega. Nie wiesz wcale, jak bardzo cię polubiłem. Od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałem.

Spojrzała mu nagle w twarz, jakby o coś chciała zapytać; jej usta zadrżały; po chwili jednak znowu lęk przeraźliwy strzelił z jej oczu.

— Nie, to niemożliwe! — rzekła, nie patrząc na niego.

— Co nie jest możliwe?

— Abym to przeżyła!

— Oszusz lzy — rzekł i podał jej swą chustkę. — Pomówię z twym ojcem...

— Nie, nie! — wybuchnęła. — Nie z ojcem! Z nikim!... Niech mi pan da spokój. Niech pan idzie i nie wraca nigdy. Wszystko na próżno... Nie przeżyję tego!

— Mena! Mena! — rozległ się nagle skrzeczący głos.

Hrabia i Filomena zwrócili głowy w stronę bramy zamkowej i ujrzeli tu staruchę wciąż powtarzającą imię dziewczyny.

Po chwili stara była przy krzyżu, ujęła ramię dziewczyny i poczęła ją szarpać, zmuszając do pójścia za nią. Hrabia chciał temu przeszkodzić, tłumaczył starej, że przyszedł do rządcy i przypadkowo zastał dziewczynę. Stara zupełnie na to nie reagowała; widocznie nie rozumiała ani słowa. Wciąż mamrotała jakieś przekleństwa we włoskim dialekcie i zmuszała Filomenę do pójścia.

Niebawem hrabia sam został pod krzyżem. Miał przykre uczucie, że interwencja jego tylko pogorszyła los biednej dziewczyny.

Wracając do Meranu, miał głowę zaprzątniętą jedną tylko myślą: jak by dopomóc tej nieszczęśliwej istocie. Bo że jej musi pomóc, uratować, wyzwolić — to sobie już święcie postanowił.

Niedługo bawił w swym pokoju w hotelu. Po burzy powietrze było tak rześkie, że postanowił przejść się.

Pierwsza znajoma twarz, którą spotkał na ulicy, była otoczona siwą gęstą brodą i ocieniona szerokim kapeluszem.

— Pułkowniku! — zawołał uradowany hrabia — nareszcie pana znowu spotykam! Brakło mi pana w tym nieszczęsnym ostatnim tygodniu.

Serdeczność bijąca ze słów hrabiego widocznie podziałała na starca.

— Po cóż mnie pan potrzebował? — rzekł, zatrzymując się, tonem mniej zimnym niż zwykle.

— Szanowny przyjacielu, musi pan wysłuchać mojej relacji. Dobrze mi to robi, jeśli potem pan wedle swego zwyczaju obleje mnie potokiem kpin. Jeśli nie ochłodzi to mej głowy, zrozumieć, że to, co we mnie płonie, nie jest słomianym ogniem, i utwierdzą się jeszcze bardziej w mych zamiarach.

— Tylko nie historie miłosne! — mruknął stary. — Czy nie skończył pan jeszcze z tą węgierską uwodzicielką? A może wdał się pan z kopciszkiem w zaczarowanym zamczysku?

— Dowie się pan o wszystkim, pułkowniku. Ale wstąpmy do jakiegoś szynku. Przez cały dzień byłem w drodze, jestem zmęczony i pokrzepiłbym się chętnie szklanką wina. Bądź pan spokojny, nie zaprowadzę pana między ludzi cywilizowanych; usiądziemy między chłopstwem, gdzie nikt pana nie zna i nikt nie zechce narzucać się. Ot tu mamy małą

winiarnię. Co niedziela przychodzą tu włoscy murarze, śpiewają i piją. Dziś tu mało będzie gości, a już z pewnością nie ujrzymy nikogo z tak zwanego „towarzystwa”, z którym i ja dziś chętnie uniknąłbym spotkania.

Nie zatrzymali się w obszernej szynkowni, lecz weszli do niewielkiego pokoiku za nią, w którym znajdowały się tylko dwa stoły. W szynkowni siedziało niewielu chłopów; burza wypłoszyła ich z miasta; czym prędzej pośpieszyli do swych winnic, by się przekonać, czy nie ma jakowejś szkody; w izdebce za szynkownią przy jednym stole nie było nikogo, przy drugim zaś siedział skromnie, ale po miejsku ubrany człowiek, który przy świetle lampy czytał gazety; tak był zatopiony w lekturze, że nie zauważył wcale, gdy hrabia i pułkownik zasiedli na drugim końcu podłużnego stołu. Kelnerka przyniosła karafkę wina; pułkownik wypił niewiele, natomiast hrabia jednym haustem wychylił całą szklankę. Pułkownik sięgnął do swej skórzanej torby i dobył z niej jakieś kamienie, którym począł się bacznie przypatrywać przez lupę. Nie przerywał tego zajęcia przez cały czas, gdy hrabia zdawał mu sprawę z zaszłych ostatnio wypadków.

— Niech mnie pan zechce zrozumieć — kończył hrabia swą relację (mówił cały czas półgłosem, by siedzący po drugiej stronie stołu jegomość nie słyszał jego słów). — Przede wszystkim muszę się jeszcze dokładniej przypatrzeć temu Weberowi. O niewinności i uczciwości dziewczyny jestem przekonany. Gdyby pan widział, z jaką rozpaczą, kurczowo trzymała się krzyża, przyznałby mi pan rację, że w tym wypadku nie wolno się liczyć z żadnymi innymi względami, że jest wprost obowiązkiem wyzwolić tę nieszczęśliwą istotę z okropnego środowiska, w jakim się znajduje. Zaprawdę, jest to klejnot, który należy tylko oprawić ma nowo, by zajaśniał wspaniałymi barwami!

— Więc ma pan zamiar dać temu klejnotowi oprawę pierścienia i ozdobić nim hrabiowską rękę?

— Cóż by w tym było złego? — zapytał hrabia z wielkim ożywieniem. — Na razie sprawa jeszcze tak daleko się nie posunęła. Coś w każdym razie musi się stać. Przede wszystkim trzeba ją uwolnić spod opieki starej wiedźmy, przekonać się, co to za figura ten Weber, podający się za jej ojca. A gdyby mi się udało umieścić ją w innym środowisku...

— Wtedy zrobiłby pan z niej hrabinę lub co najmniej zaszczyciłby pan ją rolą swej kochanki...

— Pułkowniku! — oburzył się hrabia i twarz jego pociemniała. — Ale dlaczego mam się gorączkować? Niech pan sądzi o moich zasadach i planach, co się mu podoba. Chciałbym tylko, by mi pan poradził, gdzie byłoby najodpowiedniej umieścić na razie dziewczynę. Bo wprost z tej pustaci osadzić ją w jakimś miejskim pensjonacie wydaje mi się zbyt ryzykowne, oczywiście o ile zdołam się w ogóle porozumieć z jej ojcem i uda mi się dojść tajemnicy tej dziwnej rodziny...

Przerwała mu głośna rozmowa kilku osób, które właśnie weszły do pokoju, minąwszy bez zatrzymania się szynkownię. Zajęli miejsce przy drugim stole, było ich trzech. W jednym z nich hrabia rozpoznał młodego eleganta, kochanka węgierskiej pokojówki. Towarzysz jego głośno domagał się wina, a trzeci, po którym można było poznać, że już dziś wychylił niejedną szklankę, obejmował kelnerkę i szeptał jej coś do ucha. Trzej młodzieńcy nie kępowali się zupełnie obecnością innych gości, mówili głośno i bez wstydu o różnych intymnych sprawach, jakby sami byli w pokoju. Wreszcie lowelas wyjął z kieszeni portfel wypełniony banknotami, a z drugiej talię kart i zaproponował swym kamratom partyjkę. Niebawem wszyscy trzech byli pogrążeni w grze.

Jegomość czytający gazety zupełnie nie zwracał uwagi na to, co trzej weseli kompani mówili i czynili; pułkownik studiował obojętnie swoje minerały.

Przez czas jakiś było dosyć cicho przy stole, przy którym siedzieli gracze. Tylko ten, który był najbardziej pijany, interpretował każdą fazę gry swymi uwagami, posługując się wyrazami zarówno włoskimi, jak francuskimi i niemieckimi. Wtedy przystojny lowelas i jego towarzysz strofowali go wzywając, by nie przeszkadzał w grze.

Na zegarze kościoła parafialnego wybiła dziewiąta. Szybko zapadła noc. Na ulicach stawało się coraz ciszej. Czasem tylko słychać było przez otwarte drzwi szynku głosy przechodniów. W pokoiku, w którym przy dwu stołach siedzieli goście, paliły się lampy naftowe, natomiast w przedniej izbie było pusto, panował półmrok; nie zapalono tu wcale lampy, a skąpe światło sączyło się z przyległego pokoju.

Niebawem do szynkowni wszedł jakiś człowiek, usiadł przy stole tuż obok drzwi wejściowych i zażądał wina i chleba. Gdy kelnerka chciała postawić na stole świecę i pozdrowiła go słowami: „Dobry wieczór, panie Weber!” — rzekł szeptem:

— Cicho! Szkoda światła. Trafę i tak do szklanki.

Gdy dziewczyna odeszła, by zająć się gośćmi w przyległym pokoiku, Weber zdjął piśniowy kapelusz i sięgnął do kieszeni, by wyjąć chustkę i obetrzeć spocone czoło. Ale zamiast swej kracastej grubej chustki płóciennej wyjął śnieżnobiałą, batystową. Zgrzytnął zębami i umieścił ją w drugiej kieszeni.

Była to ta sama chustka, którą hrabia wręczył płaczącej Filomenie pod krzyżem, by otarła zapłakaną twarz. Dziewczyna zatrzymała ją mechanicznie w ręce, gdy babka zaciągnęła ją z powrotem do zamczyska. Niebawem wrócił ojciec i rozpoczął dokładną indagację. Kazał sobie opowiedzieć każde słowo jej rozmowy z hrabią. Nie rzekł potem ani słówka, nie kłął, nie gromił, tylko jego krzaczaste, rudawe brwi ściągnęły się ponuro pod głęboko osadzonymi oczami.

— Czy powiedział, że cię kocha?

— Tak, ojczu.

— I że chce ze mną mówić?

— Tak, ojczu.

— *Ladro maledetto!*<sup>20</sup> — mruknęła starucha.

— Cicho, matko... Połóż się do łóżka, Meno. Daj mi tę białą chusteczkę. Chciał mówić ze mną? Pomówię ją z nim...

Po tych słowach wyszedł. Co miał do omówienia i tym wytwornym panem, niejasno sobie uświadamiał. Udał się wprost do pokoju w hotelu, w którym hrabia mieszkał. Nie zastał go. Postanowił poczekać, aż hrabia wróci. Wstąpił więc do szynku, by pokrzepić się szklanką wina. Byłby przystąpił do hrabiego, ale trzeciego jegomościa, siedzącego przy stole i czytającego gazetę, wołał raczej uniknąć. Dlatego usiadł się szynkowni: tędy musi hrabia przejść, gdy będzie wracał do domu...

Przy stole, gdzie trzech młodzi ludzie grali, powstał nagle głośny hałas. Jeden z nich, najbardziej pijany, rzucił karty na stół i począł krzyżeć:

— Jakież tu są cygaństwa! *Corpo della Madonna!*<sup>21</sup> nie będę z tobą więcej grał, Alojzy!

Był to ów przystojny lowelas, którego poznaliśmy już, imieniem Alojzy.

Obruszył się na te słowa i zapytał:

— Co znaczą te niedomówienia? Będziesz łaskaw udzielić mi bliższych wyjaśnień, albo, *sapristi!*<sup>22</sup>, pomówimy ze sobą gdzie indziej...

— *Sangue freddo, amico mio!*<sup>23</sup> Myślę tylko...

— ...że Alojzy ma nie tylko damy, ale i króle, i asy — wtrącił trzeci. — To już tak się trafia przy hazardzie. Dziś ja, jutro ty, jak się zdarzy. Wina, kelnerko!

— *Peste alla fortuna!*<sup>24</sup> — mruknął ograny. — Nie będę więcej grał! *Ecco!*<sup>25</sup> — rzucił na stół resztę monet, które miał w kieszeni. — Jestem *perduto, che il diavolo vi porti!*<sup>26</sup>

— Dobrze — rzetkł Alojzy — nie chcesz grać więcej? Nie zależy mi na tym. Mogę ci dać jutro rewanż. Jest i tak już późno, a tobie dwoi się w oczach, nie rozpoznajesz kart...

— Co? późno? — wtrącił trzeci — chyba nie pójdziesz już do domu?

— O nie — rzekł przystojny lowelas i spokojnie wypił swe wino — muszę jeszcze gdzieś pójść...

— Ha, ha — roześmiał się jego towarzysz i począł śpiewać:

La notte e bella,  
Fa presto, Ninella...<sup>27</sup>

<sup>20</sup>*ladro maledetto* (wł.) — przeklęty złodziej. [przypis tłumacza]

<sup>21</sup>*Corpo della Madonna!* (wł.) — Matko Najświętsza. [przypis tłumacza]

<sup>22</sup>*sapristi* (fr.) — do licha. [przypis tłumacza]

<sup>23</sup>*sangue freddo, amico mio!* (wł.) — zimnej krwi, przyjacielu. [przypis tłumacza]

<sup>24</sup>*peste alla fortuna* (wł.) — co za los. [przypis tłumacza]

<sup>25</sup>*ecco* (wł.) — macie! [przypis tłumacza]

<sup>26</sup>*perduto, che il diavolo vi porti!* (wł.) — [jestem] zgubiony, niech was diabli wezmą. [przypis tłumacza]

<sup>27</sup>*La notte e bella, fa presto, Ninella...* (wł.) — noc jest piękna, chodź szybko, Ninello. [przypis tłumacza]

— *Presto, presto*<sup>28</sup>, oto rzecz główna! He? Wiem, dokąd masz pójść!

— Nie masz pojęcia!

— Założmy się! O flaszkę cypryjskiego! Dobrze?

— Dobrze!

— Do zamku Planta...

Twarz lowelasa pociemniała. Potrząsnął szybko głową i rzekł:

— Nie zgadłeś! Ale wypraszam sobie, abys o tym kiedykolwiek wspominał!

Jakby ukąszony przez skorpionia hrabia zerwał ławki, opanował się jednak natychmiast udając, że sięgnął po stojącą na stole butelkę.

Pułkownik z niewzruszonym spokojem badał swoje minerały.

Tymczasem przy stole karciarzy w dalszym ciągu toczyła się ożywiona rozmowa.

— Co? Czy już uprzykrzyłeś sobie dziewczynę? — zaczął znowu ten, który zaproponował nakład.

— Franku! — krzyknął lowelas — powtarzam raz jeszcze: trzymaj język za zębami!

— Oho, bratku, musisz mi wyśpiewać całą prawdę! Kelnerko! — zawołał w stronę bufetu — litr przedniego wina! Alojzy musi pokrzepić obolałe serce!

— Jesteś pijany, Franku — rzekł Alojzy, wstając z ławki — dobranoc!

— Ależ, do licha, co się dziś z tobą dzieje? Zwykle chlubisz się swymi zdobyczami, a dziś wstydzisz się ich? Czyż nie opowiadałeś mi sam przed dwoma tygodniami, że obłaskawiełeś już sferą wiedźmę? A więc dlaczego ukrywasz przed swym przyjacielem prawdę? Co zrobiła ta Cyganka Filomena, że...

— Że jej imię jest poniewierane przez opoja w szynku? — przerwał wynurzenia pijaka głos hrabiego.

Alojzy odwrócił twarz w stronę mówiącego i siląc się na spokój zmierzył go od stóp do głów wyzywającym wzrokiem.

— Kim pan jest? Nie mam zaszczytu znać pana.

— A ja — odparł szybko hrabia — nie starałbym się wcale o zaszczyt poznania pana, gdybym nie miał powodu żądać wytłumaczenia tych słów, które padły tak głośno, iż wszyscy obecni mogli je słyszeć. Proszę mi odpowiedzieć na pytanie: czy prawdą jest to, co pański przyjaciel właśnie powiedział ujemnego o pewnej dziewczynie?

— A ja panu odmawiam prawa do stawiania takich pytań — rzekł młodzieniec. — Czy jest pan krewnym tej dziewczyny albo czy ma pan inne jakieś prawa do niej?

Hrabia milczał przez chwilę.

— Jestem przyjacielem rodziny... dziewczyna ta jest mi droga... Ale gdybym nawet był obcy zupełnie, nie znał wcale osoby, którą panowie szkalujecie, miałbym również prawo ująć się za spotwarzoną dziewczyną. Wzywam pana, abys natychmiast swemu towarzyszowi oświadczył, że żałujesz tego, iż przechwałkami swymi rzuciłeś podejrzenie na cześć dziewczyny. Abys pan jednak wiedział, z kim będziesz miał do czynienia, gdybyś odmówił memu wezwaniu, oto mój bilet!

Alojzy przyjął spokojnie bilet, schował go do kieszeni i rzekł:

— Oświadczenie, którego pan ode mnie żąda, mogę chętnie dać, a to tym bardziej, że jak pan słyszał, nie ja skierowałem rozmowę na ten temat; słyszał pan też, że starałem się przeszkodzić memu koledze w dalszym poruszaniu tej sprawy. Nie jestem kochankiem tej dziewczyny, niech mnie Pan Bóg przed tym strzeże! Co się zaś tyczy jej czci, nie moją jest rzeczą bronić jej. A jeśli pan jest przyjacielem tej rodziny, czego panu zresztą nie zazdroścę, i żąda dalszych wyjaśnień, stoję do dyspozycji jutro w mym mieszkaniu; sądzę, że tu nie pora i nie miejsce na takie wyjaśnienia. Dobranoc, moi panowie!

Podał hrabiemu swój bilet i opuścił szynk. Towarzysze jego wypadli czym prędzej z lokalu, nie kłaniając się nikomu i nie płacąc kelnerce, której zresztą przez cały czas zajścia nie było w szynku; widocznie zajęta była czymś na podwórzu.

Teraz dopiero okazało się, jak silne było wzburzenie, które hrabia z trudem ukrywał dotychczas pod formą rycerskich zwyczajów. Zdzierzył pole, ale zwycięstwo było właściwie klęską. Wzburzony chodził po pokoju z kąta w kąt, zaglądał do pierwszej izby szynkowni.

— Czy szuka pan tu kogo? — zapytała kelnerka. — Nikogo tu już nie ma. Ostatni wyszedł pan Weber.

<sup>28</sup>*presto* (wl.) — szybko. [przypis tłumacza]

— Weber? — zawołał hrabia z najwyższym zdumieniem. — Jaki Weber?

— Ten z Planty... Przed chwilą wyszedł.

— Dokąd? Nie wie pani?

— Skąd mam wiedzieć?... Czy mam przynieść jeszcze wina, panie?

Hrabia nie odpowiedział, wrócił do stołu i powiedział do pułkownika:

— Ojciec jej był w sąsiednim pokoju. Słyszał wszystko. Cóż pan na to, pułkowniku?

— Może pan sobie pogratulować — mruknął stary. — Wygląda pan, jakby pana wąż ukąsił. Bądź pan kontent. Gdyby nie to ukąszenie, byłby pan poszedł dalej i ugrzązł w bagnie. Teraz pan wie, co o tym wszystkim sądzić. Tak, tak, hrabio, mówiłem panu przecież: przyroda stworzyła cudowne kulisy osłaniające zgniliznę. Tam gdzie są ludzie, wszędzie są bagniska, trujące opary, pleśń...

Hrabia odczytał bilet wręczony mu uprzednio przez młodego eleganta i rzekł:

— Muszę się dokładnie o wszystkim dowiedzieć. Mam głębokie przekonanie, że dziewczyna jest niewinna; a gdybym nawet się mylił, to czyż nie należałoby ratować jej duszy? Gdybym wiedział, gdzie mieszka ten Alojzy! Nie zasnę, dopóki nie dowiem się od niego, czego nie chciał tu powiedzieć.

W tej chwili jegomość czytający przy stole gazetę odłożył ją i odezwał się:

— Mogę panu hrabiemu udzielić wyjaśnień. Młodzieniec ten mieszka niedaleko stąd, wskażę panu dom. Co ma panu do powiedzenia, tego oczywiście nie wiem. Ale o dziewczynie i jej rodzinie jestem naprawdę lepiej poinformowany niż on. Dziwię się w ogóle, że on cośkolwiek wie o tych ludziach. Byłem bowiem dotychczas przekonany, że tylko burmistrz i ja znamy smutną historię tych nieszczęśliwych ludzi. Jeśli prawdą jest, że ten lekkomyślny chłopak wdał się w miłość z Filomeną, to chyba dziewczyna wtajemniczyła go w dzieje swej rodziny. Ja zaś w bardzo prosty sposób poznałem tajemnicę. Zanim zostałem przeniesiony do tutejszego sądu, pracowałem jako młody praktykant sądowy w Trydencie i przesłuchiwałem sam Webera. Miał on wówczas inne nazwisko. Wniósł potem podanie, aby mu pozwolono zmienić nazwisko, na co władze się zgodziły.

Zamilkł i powiódł wzrokiem po twarzy pułkownika, która nagle silnie zbladła.

— Czy panu niedobrze? — zapytał.

Stary podniósł się z trudem z ławki, przewiesił drżącymi rękami torbę i rzekł głucho:

— Nie! Chcę odejść. Dym pańskiej fajki...

— Odprowadzę pana, pułkowniku — rzekł hrabia. — Nie może pan w takim stanie sam iść przez opustoszałe i ciemne ulice. Pan sędzia będzie łaskaw poczekać tu na mnie...

— Do diabła! — krzyknął stary. — Nie potrzebuję niańki. Dobranoc!

Po czym pośpiesznie opuścił izbę.

— Dziwak... — rzekł hrabia po chwili milczenia.

— Znam tego pana tylko z widzenia — odparł sędzia powiatowy.

— Jutro muszę go odwiedzić. Taką straszną miał twarz... taką bladą... Lękam się o jego zdrowie... Gdybym tylko wiedział, gdzie mieszka. Postaram się jutro dowiedzieć... Ale, panie sędzio, obiecał mi pan udzielić informacji o Weberze i jego rodzinie.

— Miej się pan przed nim na baczności. Nieszczęście uczyniło tego człowieka niepoczytalnym. A że mu nikt pomóc nie może, najlepiej go unikać. Proszę wybaczyć, że wypowiadam tak szczerze swoje zdanie, chociaż nie wiem zupełnie, jaki stosunek łączą pana z tymi ludźmi...

— Jest on zupełnie przypadkowy i luźny... Niedawno temu po raz pierwszy ujrzałem to zamczysko; powziąłem plan kupienia go, odbudowania zniszczonych części i osiedlenia się na zamku. Zaproponowałem Weberowi, że zatrzymam go w służbie. Odmówił. W ogóle okazał się zupełnie nieprzystępny i opryskliwie odnosił się do wszystkiego, co mu mówiłem. Dziewczyna wzbudziła we mnie taką litość, że mam i nadal zamiar coś dla niej uczynić, ulżyć jej nieszczęsnemu losowi, nie dać jej zmarnieć w takim otoczeniu. Czy może mi pan poradzić, w jaki sposób dałoby się to najlepiej uczynić?

Sędzia zapalił fajkę, która w trakcie rozmowy, zgasła.

— Niech pan to sobie wybije z głowy — rzekł. — Stary nie wyda dziewczyny, choćby cesarz chciał ją umieścić obok siebie na tronie. Jest to jedyne, co mu pozostało z dawnych szczęśliwych lat; w każdym człowieku, który zbliża się do dziewczyny, widzi wroga i rabusia. Że ten młody drab zdołał się tam zakraść, to wydaje mi się zgoła nieprawdopodobne; bo gdy ojca nie ma w domu, pilnuje skarbu ta stara wiedźma. Zapewne i na pana

wyszczrzyła dwa kły, które jej pozostały w ustach.

Hrabia zrobił przytakujący ruch głową.

— Czy ta ohydna baba jest naprawdę matką owego Webera, czy jak tam się on zwie? Mówi ona tylko jakimś dialektem włoskim, zaś Weber robi wrażenie Niemca, Tyrolczyka.

— Jest to jego teściowa. Za swych młodych lat poślubił w południowym Tyrolu piękną, śniadą, czarnooką Włoszkę, w której się po uszy zakochał. Miała to być zacna kobieta, łagodniejsza od swej matki, która zawsze była nieposkromioną, dziką diabolicą. A że Weber był małżeństwie szczęśliwy, nie raziło go to, że miał stale na karku teściową. Zgodził się też na to, że przeniosła się z córką i zięciem do Val Sugana, gdzie Weber otrzymał posadę leśniczego. Niestety żona jego umarła wcześniej; młodsza córka, Filomena, jeszcze była niemowlęciem, starsza, Anna, chodziła już do szkoły. Ta starsza była prześliczna, ale z temperamentu wdała się w babkę. Natomiast młodsza, Filomena, przypominała z usposobienia nieboszczkę matkę; była łagodna, dobroduszna, a przy tym bardzo wrażliwa i sentymentalna. Prawda, poznał ją pan przecież... oczywiście taką, jaka jest teraz po tylu ciężkich, tragicznych przejściach...

Gdy Filomena miała szesnaście lat, ojciec zaręczył ją z dalekim swym krewnym, człowiekiem już starszym. Dziewczyna zgodziła się; była jeszcze niemal dzieckiem, serce jej milczało, nie znała zupełnie życia; była posłuszna ojcu, któremu się zdawało, że w ten sposób najlepiej zabezpieczy jej przyszłość. Natomiast ze starszą swą córką miał wiele kłopotu; nie godziła się na żadnego z licznych konkurentów, dawała kosza najprzystojniejszym i najzamożniejszym chłopcom. Ale nie była doprawdy z kamienia, jak ludzie przypuszczali. Miała w tajemnicy przed wszystkimi amanta; był to młody gajowy, pracujący u jej ojca, wesoły, zuchwały chłopak, pełen temperamentu Włoch. Weber nie lubił go. Weber z lat swej służby wojskowej zachował wiele cech żołnierskich; cenił przede wszystkim punktualność, dokładność — a młody gajowy był typowym Włochem, gorącej krwi, namiętym, często nawet w służbie dającym folę swemu nieposkromionemu temperamentowi. A kiedy wreszcie ojciec zmiarkował, że młody gajowy bałamuci mu córkę — po prostu go wypędził.

Oczywiście nie oziębilo to stosunku między młodymi; wprost przeciwnie: zbliżyło ich jeszcze bardziej. Około pół godziny drogi od leśniczówki, w głębi lasu, znajdował się szałas, będący w zimie schronieniem dla drwali. Tam nocną porą wykradała się z domu rezolutna dziewczyna i tam przybywał też jej chłopak z Trydentu, gdzie po odejściu od Webera przyjął posadę w tkacza. Nikt nie wiedział o tych schadzkiach. Dziewczyna pilnowała swej cnoty; samotne schadzki nocne w szałasie nie zawróciły jej w głowie; bunt krwi gorącej nie doprowadził jej do upadku... I rzecz dziwna: mimo to chłopak nie zrażał się, latem i zimą odbywał uciążliwą, wielogodzinną drogę z miasta, byle tylko z godzinkę porozmawiać ze swą ukochaną... Była od niego o dwa lata starsza; a że dziewczęta włoskie szybciej przekwitają, zaś chłopak był biedny jak mysz kościelna, przyszłość tych dwojga była bardzo niepewna... Ale mało ich to obchodziło...

Wybuchła wtedy właśnie wojna włosko-austriacka. Austriacy brali rekruta również i w południowym Tyrolu. Wtedy jeszcze chłopcy wyciągali losy, kto z nich ma służyć w wojsku.

Zbliżał się dzień, w którym w Trydencie miało odbyć się losowanie; Anna srodze się trapiła, ale w domu ani słowem nie wspominała o tym, że lęka się o swego chłopaka. Ostatniej nocy przed terminem losowania udała się do szałasu; przybył tam też jej chłopak; był jak zwykle wesoły, kpił z jej zmartwienia, utrzymywał, że z pewnością nie wyciągnie kartki, na której znajduje się fatalny wyraz „wzięty!”, gdyż jakaś stara baba dała mu niezawodny środek na wyciągnięcie pustej kartki. Oto trzeba trzy razy napluć na prawą dłoń, lewą zrobić trzy razy znak krzyża, potem prawą rękę zakopać w ziemi i wyjąć ją dopiero po trzech pacierzach.

Nie uspokoiło to jednak wcale dziewczyny. Rozstali się niebawem. Ona płacząc, on śmiejąc się. Obiecał jej, że bez względu na to, jak wypadnie losowanie, stawi się następnej nocy w szałasie, by ją powiadomić o wyniku.

Proszę sobie wyobrazić przerażenie biednego chłopaka, gdy nazajutrz wbrew swej nadziei i wbrew czarodziejskiej formułce wyciągnął kartkę „wzięty!” Ba, natychmiast po losowaniu usłyszał rozkaz, że żadnemu z nowych rekrutów nie wolno więcej opuścić koszar... Zdarzało się bowiem, że wzięci do wojska chłopcy woleli dezertować niż jako

żołnierze austriaccy strzelać do własnych rodaków. Toteż pobór do wojska przeprowadzano z niezwykłą surowością; ogłaszano młodym rekrutom, że każda próba ucieczki pociągnie za sobą niechybną śmierć przez rozstrzelanie.

Kochanek Anny udawał, że nie ma wcale zamiaru uciekać. Wcześniej wieczorem ułożył się w koszarach na pryczy. Ale gdy rano przy apelu, odczytano jego nazwisko — nikt się nie odezwał słowem „jestem!”... Znikł... Nie natrafiono na żaden ślad, który by wskazywał, w jaki sposób zdołał uciec; prawdopodobnie wylazł kominem na dach i po rynnie wy dostał się poza koszary; możliwe, że chciał tą samą drogą po zobaczeniu się z Anną wrócić.

Niestety, nie powiodło mu się to... Patrole wysłane za nim długo go szukały, aż wreszcie znalazły u stóp skały, o kilka kilometrów od miasta; leżał na wpół omdlały; miał złamaną nogę. W jaki sposób się tam znalazł, czy spadł ze skały — nie można było zeń wydobyć. Możliwe, że zmniejszono by mu karę, gdyby był wyznał, że chciał pożegnać się z kochanką, gdyby był zapewnił, że miał zamiar wrócić o świcie. Ale milczał, odmawiał wyjaśnień: nic go zatem na sądzie doraźnym nie mogło uratować.

Wiadomość o zaszłych wypadkach lotem błyskawicy obiegła okoliczne wsie. Do leśniczówki przyniósł ją sam Weber; choć nie lubił chłopaka, to jednak żał mu było, że miał tak marnie skończyć. Anna wysłuchiwała jego relacji w milczeniu. W pięć minut potem zniknęła z domu. Było to po południu.

Do tego momentu wszystko w tej smutnej historii jest zrozumiałe. Zresztą takie wypadki już się zdarzały. Ale to, co od tej chwili zaszło, jest zgoła niewytłumaczalne! W moim zawodzie dostrzega się raczej ciemne niż jasne strony ludzkich charakterów. *Homo homini lupus*<sup>29</sup>. Na ten temat sędziowie mogliby więcej powiedzieć niż inni ludzie. Ale na to, co w danym wypadku zaszło, nie byłem naprawdę przygotowany!

Oto komendantem oddziału, złożonego z nowych rekrutów, był pewien młody oficer; nie chcę wymienić jego nazwiska, gdyż ojciec jego, również oficer, i to starszy rangą, żyje może jeszcze, choć od owego czasu nie wiadomo, gdzie się obraca i co się z nim stało. Syn robił doskonale wrażenie; często spotykałem go w restauracji wieczorami i chętnie z nim rozmawiałem; był to człowiek skromny, wytworny i inteligentny. W południe tego fatalnego dnia spotkałem go na ulicy; był bardzo zasmucony tym, że nie można wcale pomóc chłopakowi.

O szóstej miano go rozstrzelać. Chłopiec już się wypowiedział i napisał kartkę do jednego z przyjaciół z prośbą, aby udał się do Anny i złożył w jej ręce załączony list pożegnalny. Nie lękał się wcale śmierci; zachowywał się w ostatnich godzinach z wielką godnością.

Gdy w kilka godzin potem usłyszałem salwę — pomyślałem, jak straszną być musiała dla młodego i inteligentnego oficera chwila, w której wydał rozkaz strzelania.

Nie przybył wieczorem, jak zwykle, do restauracji; przypuszczałem, że zbyt silnie wstrząsnęła nim egzekucja. Ach, jakże daleki byłem od tego, by zrozumieć powód jego nieobecności!

Ordynans tego oficera zeznał potem, gdy go przesłuchiwałem, że tego wieczora, w godzinę po egzekucji, pojawiła się w mieszkaniu jakaś smukła, bardzo przystojna dziewczyna. Nie znał jej wcale. Kazał jej poczekać w przedpokoju, a sam poszedł do koszar, by sprowadzić porucznika. Ordynans przypuszczał, że chodzi tu o jakąś miłośćkę jego pana; dziwił się jednak, gdyż młody oficer wcale nie zadawał się z miejscowymi dziewczętami z ludu. Ale gdy taka przystojna panienska sama przychodzi do kwatery — myślał — to pan porucznik chyba nie będzie głupi...

Podслушиwał pod drzwiami, co się dzieje w pokoju oficera; ale ten rozmawiał z dziewczyną tak cicho, że ani słowa nie rozumiał. Gdy jednak pobyt dziewczyny przedłużał się ponad miarę, wszedł pod pozorem jakiegoś meldunku dość obojętnej treści. Dziewczynę zastał siedzącą na kolanach oficera, który ofuknął go i kazał mu natychmiast wynieść się z pokoju.

Po przeszło godzinie dziewczyna wyszła sama; ordynans zauważył, że twarz jej była niezwykle blada. Stała przez kilka chwil w przedpokoju, jakby sobie dopiero teraz przypomniała, gdzie się znajduje. Potem kilka razy ręką potarła czoło. Wreszcie zapukała do drzwi wiodących do pokoju oficera. Nie reagował na to zupełnie; z pokoju nie dochodził

<sup>29</sup>*Homo homini lupus* (łac.) — człowiek jest dla człowieka wilkiem. [przypis tłumacza]

żaden głos. Wtedy poczęła silniej pukać i rzekła wreszcie głośno:

— Niech mi pan wyda kartkę... tę z ulaskawieniem... zostawiłam ją na stole; chcę ją zanieść do niego... muszę ją mieć; nie uwierzą mi przecież, gdy przyjdę z pustymi rękoma...

Drzwi nie otworzyły się; w pokoju panowało milczenie. Dziewczyna zaczęła się jeszcze gwałtowniej dobijać.

Wtedy ordynans zapytał ją, czego właściwie chce i o jakie ulaskawienie chodzi.

Spojrzała na niego bardzo zdziwiona i rzekła:

— Proszę pana, niech pan wejdzie i poprosi go o kartkę.

Gdy się nie ruszał z miejsca, krzyknęła energicznie:

— Muszę mieć kartkę! Warta mnie nie wpuści do niego; po cóż ma całą noc spędzać w śmiertelnym strachu?

— Pani zapewne mówi o tym Włochu? — rzekł ar — dynans i wymienił nazwisko jej ukochanego.

Przytaknęła głową.

— Mój pan zażartował sobie z pani. Ten Włoch nie potrzebuje więcej warty... Stamtąd, gdzie się dostał, nie można zbiec... Czy nie słyszała pani przed godziną strzałów? Jedna krótka salwa... Szkoda chłopaka... Byłby z niego doskonały żołnierz. Ani drgnął, gdy żołnierze ładowali karabiny... A potem runął jak kłoda.

„Ledwo to powiedziałem — zeznał przede mną ordynans — pożałowałem swych słów. Dziewczyna spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakby szatan rozpałił w jej biednej mózgowicy żar piekielny. Cofnęła się o krok; otworzyła usta; zdawało mi się, że chce krzyczeć; nie, zaczęła się nagle śmiać... Chwała Bogu, pomyślałem, nie obchodzi ją ten wypadek, zna się na żartach... Po chwili twarz jej spoważniała; zmarszczyła ciemne brwi — i szybko opuściła nasze mieszkanie...”

Sędzia zamilkł na chwilę; wytrząsnął z wygasłej fajki popiół i począł napychać świeży tytoń. Hrabia otarł chustką czoło zroszone kilku wielkimi kroplami potu.

— Straszne!... okropne! — powtarzał.

— Tak jest — począł znowu sędzia swą opowieść.

— Ale jeśli pana to tak przejmuje, to może przemilczę dalszy ciąg tej tragicznej historii.

— Nie, panie sędzio, bardzo proszę, niech pan mówi dalej! — nalegał hrabia.

Trwało jednak jeszcze dość długo, nim sędzia, przejęty naporem wspomnień, zdołał się tak dalece opanować, by spokojnie dalej mówić.

— Widzi pan — rzekł wreszcie — po dzień dzisiejszy nie mogę sobie zdać sprawy z postępowania tych ludzi i postępku oficera. Stosunkowo najlepiej rozumiem Annę. Zobowiązała swego ukochanego, by do niej następnej nocy przyszedł; uważała się więc poniekąd za winowajczynię, za sprawczynię moralną tej nieszczęsnej nocnej wyprawy. Wiedziała też, że raczej dałby się usmażyć w smole, niżby zdradził, iż wykradał się na schadzkę z nią. Niech pan również uwzględni, że była to dziewczyna o niezwyklej sile woli, i przy tym czysta dusza, zdająca sobie sprawę z całej ohydy postępku owego oficera austriackiego i z ceny, jaką okupić musiała ulaskawienie swego ukochanego... Czyż wiemy, do czego biednego, bezradnego człowieka może doprowadzić lęk? Czyż nie robi on czasem z ludzi słabych bohaterów, i na odwrót: czy nie łamie najsilniejszych natur, tak iż tracą wszelką rozwagę? Pojmuję więc dalsze postęпки tej dziewczyny, umiem je sobie wytłumaczyć. Ale on, uwodziciel, jest dla mnie zagadką! Wiem, że szał nagle ogarniającej człowieka zmysłowości nie daje się ująć żadnymi normami logiki. Ale znałem przecież tego oficera, rozmawiałem z nim wiele razy, spędziłem z nim wiele wieczorów — nigdy nie byłbym przypuszczał, że w jego mózgu mogła powstać taka szatańska, ohydna myśl. Czy przelana świeżo krew biednego żołnierza uczyniła go bestią w ludzkim ciele? Czy jakiś demon nagle go opętał, by zhańbić biedną dziewczynę, której kochanka przed chwilą kazał rozstrzelać? Czy był po prostu pijany? A może zrobił to w przystępie szalu?

Niekiedy byłem skłonny przypuszczać, że rzeczywiście działał pod wpływem ataku szaleństwa. Bo to, co potem nastąpiło, nasuwa poważne wątpliwości, czy panował nad swymi władzami umysłowymi. Następnego dnia wszyscy zauważyli, że jest dziwnie roz-targniony i przygnębiony. Niedbale załatwił swe sprawy służbowe, ni stąd, ni zowąd wydał rozkaz, by kompania nazajutrz odmaszerowała. Pobór nie był jeszcze ukończony,



oddział należało wprzód zorganizować. Pytano go, czy otrzymał rozkazy przyspieszające odmarsz. Zaprzeczył. Mimo to naglił swych podwładnych do pośpiechu; termin zbiórki i odmarszu wyznaczył na dzień następny.

Ordynans jego zeznał, że w południe tego dnia jakiś chłopak przyniósł list, który porucznika bardzo uradował. Posłaniec nie chciał przyjąć napiwku za doręczenie listu; oświadczył tylko, że wróci koło wieczora, by wskazać porucznikowi drogę. Ordynansowi wydało się to wszystko podejrzanym: dnia poprzedniego wizyta dziewczyny, dziś list... nocna wycieczka... Odradzał więc swemu panu wdawać się tuż przed odmarszem w nową przygodę, lecz porucznik ofuknął go i zakazał wtrącać się w nie swoje sprawy.

Gdy zapadł zmierzch, pojawił się znowu ten sam posłaniec i porucznik poszedł z nim.

Nazajutrz rano ordynans zastał pokój swego oficera pusty; porucznik nie wrócił ze swej nocnej wyprawy... Gdy zbliżała się pora południowa, a oficera jeszcze nie było, ordynans przybiegł do mnie (wiedział, że jestem sędzią i że znałem dobrze porucznika) i opowiedział mi o zniknięciu oficera.

Udałem się natychmiast z patrolem policyjnym do leśniczówki. Droga była daleka i uciążliwa; kilka godzin pięliśmy się w górę.

Zastałem całą rodzinę pogrążoną w rozpacz. Leśniczy opowiedział mi, że rano, gdy siedział przy śniadaniu, weszła do izby Anna; spódnicę miała poplamioną i podartą, włosy zmierzwione, wyraz twarzy niesamowity. Zaczęła głośno śpiewać jakieś niezrozumiałe wyrazy i wezwała obecnych, by również śpiewali. A na pytanie, co to wszystko znaczy, odpowiedziała: „Piekło jest poskromione, gad zdeptany, Alleluja!” I znowu zaczęła śpiewać. Wreszcie zamilkła, przerażony wzrok skierowała ku ziemi i poczęła krzyczeć: „Mrówki! mrówki! nie odpędzajcie ich! wykonują tylko swą powinność”. Po czym wybuchnęła śmiechem... Z trudem umieszczono ją wreszcie w izdebce na poddaszu; tam od czasu do czasu śpiewa, a potem wybuchając spazmatycznym śmiechem i powtarza owe niezrozumiałe zgoła wyrazy...

Poszedłem na poddasze wraz z podoficerem, komendantem patrolu. Drzwi do izdebki były zaryglowane; w izbie panowała ciemność, nie mogłem dojrzeć Anny; na moje pytania nie dawała wcale odpowiedzi, wciąż to śpiewała, to śmiała się, to powtarzała słowa: „Mrówki, mrówki! Nie odpędzajcie ich!...”

Zostawiłem kilku policjantów w leśniczówce, a z resztą patrolu i leśniczym zacząłem badać teren; w mieście zaopatrzyliśmy się przedtem w latarnie i pochodnie.

Widzę jeszcze teraz twarz młodszej córki leśniczego, Filomeny. Siedziała obok pieca, osowiała, sztywne, biała. Jej narzeczony na próżno starał się nakłonić ją, by przemówiła. Czy wiedziała więcej niż inni? Czy Anna się jej zwierzyła? Nie mogłem zdać sobie z tego sprawy. Siedziała skulona, jakby przed nią i za nią była przepaść... Narzeczony wreszcie dał pokój naleganiom, by przemówiła, i przyłączył się do nas. Był to spokojny mieszczanin z Trydentu, widziałem, że cała aféra jest mu bardzo przykra; poczuwał się jednak do obowiązku pójść z nami.

Trafnym instynktem wiedzeni, dostaliśmy się do szałas, w którym Anna miewała schadzki ze swym ukochanym. Wewnątrz nie było wiele przedmiotów: w kącie legowisko, na ławie wielki dzban, który leśniczy od razu rozpoznał jako swój; obok dwie szklanki; jedna z nich była pusta, a druga napełniona winem. Pod ławą leżał mundur porucznika... Obok zegarek i portfel, który ordynans od razu poznał.

Natomiast w szałasie ani śladu oficera... Również w pobliżu... Nigdzie śladu krwi, nigdzie śladu jakiegokolwiek walki. Podzieliliśmy się na mniejsze patrole i rozproszyli po okolicy. Leśniczy, ordynans i ja samotrzeć<sup>30</sup> ruszyliśmy w jedną stronę...

Będę się streszczał. Doszliśmy na skraj dość głębokiej przepaści. Księżyc świecił i mogliśmy na wielką odległość wszystko dokładnie widzieć. Kilka drzew rosnęło tuż nad skalistym brzegiem przepaści. „Co tam wisi białego?” — zawołał nagle ordynans i stanął jak skamieniały. Spojrzałem w tę stronę i oniemiałem z przerażenia. Sosna rosła na skraju przepaści; na najniższej jej gałęzi, wznoszącej się nad skałą na wysokości człowieka, wisiał nieszczęsny porucznik; miał na sobie tylko spodnie i koszulę; ręce miał sznurem związane na plecach; nogi, również tuż nad stopami mocno związane, obejmowały gałąź, zaś głowa zwisała się w dół... Włosy sięgały niemal ziemi... I tu właśnie, między korzeniami

<sup>30</sup> *samotrzyć* (daw.) — sam z dwoma towarzyszami; we trójkę. [przypis edytorski]

drzewa, mrówki zbudowały sobie olbrzymie mrowisko... Widać je było łączące po sieniej głowie...

— Dość już!... — jęknął hrabia i zerwał się z ławki. Zaczął biegać po pokoju, wypił duszkiem szklanekę wina. Na czole jego pojawiły się krople potu.

— Jeszcze tylko kilka słów, a skończę moją opowieść — rzekł sędzia. — Muszę stwierdzić, że ta szatańska zemsta nie była wymysłem dziewczyny; jest to prastary zwyczaj, stosowany wciąż jeszcze, acz bardzo rzadko, w odwiecznej walce między kłusownikami a leśniczymi. Ja sam, chwała Bogu, w mej długiej praktyce raz tylko miałem taki wypadek. Anna, uświadomiwszy sobie, jakie łajdactwo zostało przez oficera na niej popełnione, obmyśliła ten rodzaj zemsty, o której zapewne jako córka leśniczego musiała niejednokrotnie słyszeć. Pominę dalsze szczegóły. Trupa przenieśliśmy do leśniczówki. Porucznik zginął w najstraszniejszych mękach. Trudno nam było sobie wyobrazić, jak ta dziewczyna sama mogła dokonać tego okropnego czynu. Stwierdzone jest bowiem, że nie miała żadnego pomocnika. Sama związała oficera, pogrążonego we śnie, sama zawlokła go na kraj przepaści i tu powiesiła głowę w dół.

Bardziej jeszcze przejmującą była chwila, gdy przynieśliśmy zwłoki do leśniczówki. Babka dość obojętnie przypatrywała się, natomiast młodsza siostra, Filomena, z przeraźliwym krzykiem rzuciła się na zwłoki i zemdląła. Ocuciliśmy ją wreszcie. Weber nie dobył z gardła ani słowa. Mimo swej srogości i akurataności w służbie był to w życiu prywatnym wcale miły człowiek, często żartował z swymi dziećmi i chętnie też wiodł rozmowy z przyjaciółmi przy faszce wina. Od tego dnia nigdy uśmiech nie wykwitł na jego twarzy; nigdy nie wziął do ust kropli wina, unikał towarzystwa. Z wielkim trudem zdołałem go nakłonić, by umieścił Annę w zakładzie dla obłąkanych. Musiałem mu tłumaczyć, że pobyt jej w domu fatalnie mógłby oddziaływać na młodszą siostrę; Anna do tego czasu bawi<sup>31</sup> w zakładzie, jest spokojna i cicha, a tylko czasem nagle zaczyna śmiać się i wołać: „Mrówki, mrówki!”... Filomena uspokoiła się po pewnym czasie, jestem przekonany, że mogłaby być jeszcze szczęśliwa, gdyby znalazła męża i wyrwała się ze środowiska, w którym dotychczas tkwi, a więc spod opieki starej wiedźmy i ojca złamanego nieszczęściem. Pierwszy jej narzeczony, ów kupiec z Trydentu, tuż po tej tragicznej aferze wycofał się. Ani ojciec, ani córka nie żalowali tego. Weber zrzekł się posady leśniczego. Wyznaczono mu emeryturę. Chciał gwałtem wydostać się z okolicy, w której spotkało go tyle nieszczęść. Nie przyjął żadnej z ofiarowanych mu posad. Nie chciał mieć do czynienia z ludźmi, którzy by mu przypominali przeszłość. Wreszcie otrzymał stanowisko zarządcy w pustym zamczysku Planta. Zmienił też za zgodą władz nazwisko. Przybył tu z dalekich stron; nikt go nie znał; nikt prócz wójta i mnie nie wiedział, jaka tragedia przeobraziła tego pogodnego dawniej człowieka w mruka i odludka. Zaczął interesować się głównie konkursami strzeleckimi. Nie bez kozery. Opanowała go bowiem *idée fixe*<sup>32</sup>, że najlepiej uczyni, jeśli z córką wyemigruje do Ameryki; tam może Filomena zdoła zapomnieć o tragicznych przeżyciach swej młodości. A że nie ma żadnego majątku, postanowił zebrać na kosztą podróży zdobywaniem premii na konkursach strzeleckich. Odmawia też sobie i swej rodzinie wszystkiego, byle tylko zaoszczędzić potrzebną sumę. Zauważył pan zapewne, jaka nędza tam u nich w domu panuje. Ludzie ci żyją tylko chlebem, polentą i nabiałem. Nigdy nie jedzą mięsa, Weber ani kropli wina do ust nie bierze.

— Ale stara pije. Mówiła mi to Filomena — zauważył hrabia.

— Widocznie po kryjomu skądś sobie sprowadza wino. Bo Weber nigdy nie sięga do szklanki. Oszczędza na wszystkim, jedzeniu, ubraniu, byle tylko zebrać potrzebną gotówkę. Nie wiem, kiedy będzie gotów do wyjazdu, ale jestem pewien, że z chwilą, w której będzie miał dosyć gotówki, ruszy w świat wraz z córką. Wziąłby chętnie z sobą również i starsze swe dziecko, ale Anna, nieuleczalnie chora w zakładzie, w którym jest umieszczona, zemrze wreszcie; obecnie już nikogo ze swej rodziny nie poznaje...

Teraz pan pojmie, dlaczego Weber z niechęcią patrzy na każdego, kto zbliża się do jego córki, dlaczego stroni od ludzi. Życzę mu z całego serca, by jak najprędzej zdołał wykonać swój plan i wyjechał do Ameryki. Może podróż i pobyt w odmiennych warunkach zdołają tych poczciwych i zacnych ludzi przeobrazić, tchnąć w nich otuchę, chęć nowego życia.

<sup>31</sup>bawić — tu daw.: przebywać. [przypis edytorski]

<sup>32</sup>*idée fixe* (fr.) — jakaś myśl nieustannie kogoś zaprzatająca, często sprzeczna z rozsądkiem. [przypis tłumacza]

A może tam za oceanem znajdzie Weber również towarzysza niedoli. Bo, jak już panu wspomniałem, także i ojciec porucznika przepadł bez wieści. Najpierw szukał on śmierci podczas wojny. Potem wniósł prośbę o dymisję, odmówił przyjęcia zasłużonego orderu i poszedł na emeryturę jako pułkownik.

— Jako pułkownik? — przerwał hrabia. — Mój Boże, co za przypuszczenia nasuwają mi się! Zauważył pan, jak szybko opuścił nas ten starszy pan, który ze mną siedział, i to w chwili, w której pan począł opowiadać? Tak, tak, jego dziwaczne poglądy, stronienie od ludzi, ucieczka przed światem...

— Może pan ma rację, panie hrabio. Jeśli tak jest, jak pan przypuszcza, nie ujrzy pan już zapewne starego pułkownika; będzie on pana unikał. Ale jeśli można panu służyć radą: niech pan również nie zadaje sobie więcej trudu spotykania się z Weberem. Po dzisiejszej scenie będzie on zapewne bardziej jeszcze rozdrażniony i podejrzliwy; niech Bóg ma w opiece tego lekkoducha, za którym Weber przedtem poszedł; da on mu już porządną lekcję. Jeśli bowiem ojciec przekona się, że ten chłopak nie chępił się tylko, a naprawdę skrzywdził dziewczynę, lękam się, że będziemy świadkami nowej katastrofy. Bo Filomena to niejako jedyne jagnię, które biedakowi pozostało; kto ośmieliłby się tknąć ją tylko, na tego Weber rzuciłby się z drapieżnością dzikiego zwierzęcia.

Hrabia nie ukrywał wcale wielkiego lęku. Przypomniawszy sobie scenę u stóp krzyża i słowa rozpachy wypowiedziane przez Filomenę.

— Chodźmy! — zawołał — mam bardzo złe przeczucia. Kto wie, czy nie przyjdziemy zbyt późno, by zapobiec nieszczęściu.

— Dokąd mielibyśmy pójść? — odparł sędzia spokojnie.

— Ma pan rację — westchnął hrabia. — To byłoby szaleństwo... A zresztą rzecz pana nie jest zapobiegać winie, lecz osądzać ją...

— Przejdziemy się po mieście, panie hrabio. Taka przechadzka uspokoi pańskie nerwy.

Opuścili oberżę i szli wzdłuż górskiego potoku, toczącego z poszumem swe wody.

— Bardzo pana proszę, panie sędzio, pójźmy jednak w pobliże zamczyska. Jestem taki niespokojny... Czuję, że tam stanie się coś okropnego... Coś mnie ciągnie w tę stronę...

— Dobrze. Chodźmy! Ale tylko na krótką przechadzkę. Nie ma zgoła sensu, byśmy teraz włóczyli się po tych bezdrożach.

\*

O tej samej godzinie do mostu wiodącego nad parowem w pobliżu zamczyska dotarli dwaj inni wędrowcy.

Przystanęli koło mostu, wypoczywając po uciążliwej drodze. Żywo z sobą rozmawiali.

— Teraz wróć do miasta, Franku — rzekł przystojny lowelas — ja mam tu jeszcze coś do załatwienia, a nie chciałbym mieć świadka. Ale pamiętaj: to, co ci powiedziałem, musi pozostać między nami!

— *Sapristi* — odparł jego towarzysz — że też dziewczyna ci to wszystko wypaplała...

— Tak jakoś się złożyło. Wiesz przecież, Franku, że umiem się obchodzić z kobietami. Zwykle nudzą mnie, gdy się przez czas jakiś z nimi zadaję. Pozwalają zajrzeć do swoich wszystkich kart i od razu gra staje się nudna... Ale z tą biedaczką było całkiem inaczej. Musiałem odbyć czas próby; najgorszemu wrogowi nie życzę tego! Mnóstwo par butów zdarłem, włócząc się zimą i latem, dniami i nocami, zanim od czasu do czasu ujrzałem jej twarzyczkę. Byłem jakby oczarowany. I co najgorsze, że się doprawdy bardziej bałem samej dziewczyny niż tego starego wilka, którego zwie ojcem, i tej okrutnej wiedźmy, która ponoć jest jej babką.

— A jakże się to stało, że przecież zdołałeś ją omotać, że uległa ci wreszcie?

— Stała przede mną uciekała. Czasem przez całą noc do świtu czatowałem, by tylko spojrzeć jej w oczy, gdy szła do studni zaczerpnąć konewkę wody. Na mój widok zatrzymywała się i wracała do zamku. Powtarzało się to wiele razy. Wreszcie powiedziałem sobie: zaprzestanę tej włóczęgi, tego łażenia za nią, tego narzucania się. Przez trzy tygodnie nie pojawiłem się ani razu. Głupio się czułem przez ten czas, irytowałem się, ale

przetrzymałem! Wreszcie poszedłem. Zastałem ją tuż obok bramy; niosła dzieżę z pokarmem dla wieprzy. Spojrzała na mnie i — nie uciekła.

— A co powiedziała?

— Ani słowa. Wysłuchiwała jednak, co do niej mówiłem. A wcale wtedy nie błagowałem. Słowa płynęły mi z serca. Bo też była przecudna, urocza. Byłem na tyle sprytny, że nie tknąłem jej wtedy. Począłem przychodzić co dzień i wtedy dopiero... Ale trudno mi było przecież tak w jasny dzień... Toteż wyszukaliśmy sobie kryjówkę. W jednej z piwnic zamkowych... Poradziłem sobie też ze starą wiedźmą, czuwającą po całych nocach. Dałem dziewczynie proszek nasenny, by go wsypywała do flaszki z winem, którym stara w nocy się raczyła. Mieliliśmy potem zawsze kilka godzin spokoju... Opowiadała mi różne rzeczy, ale nigdy nie chciała powiedzieć, skąd pochodzi jej rodzina i w jaki sposób dostała się do tych okolic. Byłoby doprawdy lepiej, gdybym o to wcale nie był pytał! Ale coś mnie kusiło, że wciąż rozmowę na to skierowywałem. Wreszcie zagroziłem jej, że nie przyjdę więcej, jeśli mi nie wyzna całej prawdy. Przestraszyła się i opowiedziała to, co ci już mówiłem poprzednio. Gdy skończyła swą relację i zauważyła, jak okropne wrażenie to wszystko na mnie wywarło, zaczęła jęczeć, narzekać, że zapewne przestanę ją kochać, że chociaż jest niewinna, to przecież nie zechcę poślubić dziewczyny, której siostra zabiła człowieka i jest w zakładzie dla obłąkanych. Siedziałem obok niej w milczeniu... Odchodząc zdawałem sobie sprawę, że wszystko między nami skończone...

Zamilkł na parę chwil, rozejrzał się dokoła i zapytał:

— Czy nie słyszałeś?

— Co?

— Zdawało mi się, że słyszę czyjeś kroki w pobliżu... Od tej nocy, gdy dziewczyna opowiedziała mi tę okropną historię, wciąż mi się zdaje, że prześladują mnie jakieś widma. Przedtem, gdy szliśmy w górę, miałem wrażenie, jakby ktoś szedł za nami; obejrzałem się kilka razy — nic... Tak, tak, Franku, żal mi biedaczki, ale nie mogę więcej pójść do niej. Wciąż mam przed oczyma jej siostrę wołającą: „Mrówki! mrówki!...” Również i w Filomenie jest coś niesamowitego, budzącego lęk. Kto wie, co by zrobiła, gdyby się dowiedziała, że ją zdradzam... Toteż postanowiłem raz na zawsze z nią zerwać, nie pokazywać się jej na oczy. Przecież nie pójdzie sama, by mnie szukać, nie powie też ojcu, że była moją kochanką... A tobie, Franku, powiadam: trzymaj język za zębami! Powiedziałem ci wszystko tylko po to, byś umiał przemilczeć to, co potrzeba, gdyby ten hrabia, z którym mieliśmy w szynku spór, wdał się z tobą w rozmowę. Dobranoc, Franku!

— Dobranoc, łobuzie. Z jedną skończyłeś, a już śpieszysz do drugiej... Hrabina węgierska czy pokojówka? *Corpo della Madonna!* Uczyc się u ciebie, jak korzystać z młodości!

Dopiero gdy Franek znikł w mrokach nocy, Alojzy ruszył w stronę mostu.

Wtem uczuł, że jakaś ciężka ręka dotknęła jego ramienia. Odwrócił się przerażony...

— Weber! — krzyknął mimo woli i cofnął się o krok.

— Tak, to ja. A kim ty jesteś, wiem teraz także. Jesteś drabem, którego zabiłbym jak parszywego psa, gdybyś nie był moim zięciem... Mam szczęście do zięciów, drugi jest wart pierwszego... A może przecież potrafię z ciebie zrobić uczciwego człowieka. Jeśli nie tu, to za morzem, gdzie już niejeden łajdak przemienił się w porządnego obywatela.

Młodzieniec prawą ręką trzymał się poręczy mostu, a lewą ścierał pot z czoła.

— Panie Weber... — dobył wreszcie głosu z gardła — czego pan... chce... ode mnie?

— Chcę krótkiej i jasnej odpowiedzi: o której godzinie jutro rano pojawi się u mnie twój ojciec, prosząc o rękę mojej córki dla swego syna? Na to chcę odpowiedzi.

— Przykłada mi pan nóż do gardła... Mój ojciec?... ma prosić?... pomyśl pan...

— Już pomyślałem — przerwał stary. — Pomyślałem, że muszę moje jedyne dziecko wydać za człowieka, który niewart jest całować jej podartych trzewików, jakie się rzuca na śmietnik; pomyślałem też, że ojciec tego draba chętnie oddałby pół majątku, byle nie dostać mojej córki za synową; pomyślałem również, że chętnie dałbyś mej córce dawkę trucizny zamiast zwrócić jej cześć, którą podstępnie zrabowałeś. Wszystko to pomyślałem. Ale to nie zmienia faktu, że musisz wykonać, czego żądam!

Zamilkł, jakby chciał młodzieńcowi dać czas do namysłu. Chłopak nie rzekł ani słowa. Wtedy stary zaczął nim potrząsać; trzymając w zaciśniętej pięści połę jego surduta, mówił ze wzmagającą się pasją:

— No, otwórz usta, człowieku, i powiedz głośno „tak”, a potem poprzysiąż na wszystkie świętości, że naprawisz krzywdę, jakąś wyrządził dziewczynie! Czy słyszysz? Czego się namyślasz? Bo gdybym ja zaczął się namyślać, jak podle postąpiłeś z mym dzieckiem, to tą pięścią...

— Precz z ręką! — krzyknął młodzieniec, usiłując strząsnąć z siebie przytrzymującą go rękę leśniczego. — Napadł pan na mnie jak morderca. Przekona się pan, że nie jestem drabem, za jakiego mnie pan ma. Żałuję sam bardzo, że to się stało; jeśli pan podsłuchał moją rozmowę z kolegą, wie pan wszystko. Zastanowię się, jak sprawę załatwić. Ale siłą nie dam się przymusić, rozumie pan?

— Tak, to prawda — rzekł stary po chwili namysłu — zapominam, że to mój zięć... muszę po ojcowsku i obchodzić się z tobą... A więc, paniczu? — pytał ochryplym głosem — czy zastanowiłeś się już nad odpowiedzią? Wiem, że niezbyt to dla ciebie wygodne spełnić moje żądanie. Ale moja córka... Sam przecież powiedziałeś, że nie jest taka jak inne; mogłeś różne dziewczęta bałamucić bezkarnie, ale z moją Filomeną źle żartować... Zważ zresztą: mam już jedną córkę w szpitalu wariatów, a nie chcę doprawdy, by i druga tam się dostała.

Spokój, z jakim te słowa wypowiadał, zwiódł widocznie młodzieńca, gdyż odetchnął swobodniej, wyjął z kieszeni zegarek i rzekł:

— Już zbliża się północ, a nie mam wiele czasu... Muszę jeszcze gdzieś pójść... Odroczmy naszą rozmowę na kilkanaście godzin; gdy się prześpimy, spokojniej i rozważniej będziemy o wszystkim mówili. Doprawdy, mnie samemu zależy bardzo na tym, by tę smutną sprawę jakoś załagodzić. A jak to zrobić, o tym jeszcze pomówimy.

— Pomówimy teraz albo nigdy! — krzyknął stary. — Po raz ostatni zapytuję: czy poślubisz moje dziecko, czy nie?

— Nie obiecywałem jej tego wcale... A gdybym nawet był obiecał, żałuję bardzo, ale nie mógłbym dotrzymać.

— Nie mógłbyś?

— Nie. Stanowczo nie. Krzykiem czy pięścią nie dam się straszyć. Dam panu odszkodowanie...

— Odszkodowanie! — roześmiał się gorzko stary.

— Tak, i to wcale pokaźne. A jeśli nie chce pan go przyjąć, to ma pan przecież możliwość zastrzelić mnie przy lada sposobności. Ale póki żyję, nie dam się do niczego przymusić; nie mam też żadnej ochoty zostać pańskim zięciem i pacholkiem.

Stary przez czas jakiś w milczeniu weń się wpatrywał, a potem zapytał:

— Masz już inną kochankę... idziesz właśnie do niej... czy tak?

— A gdyby i tak było! Cóż to pana obchodzi?

— Czy to pokojówka, czy sama hrabina?

— Nie ma pan prawa o to pytać. Ale by wreszcie to wszystko skończyć... idę do hrabiny...

— Ani słowa więcej! — przerwał stary. — Nie pójdziesz do niej! Bo...

— Daj mi pan dokończyć zdanie. Co Bóg złączył...

— Bóg? Ośmielasz się, łotrze, w tej strasznej chwili powoływać się na imię tego, o kim ze zgrozą myśleć powinieneś?

— Postradał pan zmysły, panie Weber. Może oprzytomnieje pan, gdy powiem to, czego jeszcze nikt nie wie: hrabina jest moją żoną. Wzięliśmy potajemnie ślub...

Wypowiedział to kłamstwo z całym spokojem, przekonany, że nagły pomysł poprawi jego chwilową sytuację i pozwoli mu na razie wycofać się z przykrego położenia.

Stary stał przed nim w milczeniu; z głębi parowu szedł poszum spienionych fal; księżyc przedarł się przez zwały chmur i oświecał twarze obu wrogów, tak że mogli dokładnie przypatrzeć się sobie. Widocznie w rysach twarzy leśniczego młodzieniec wyczytał coś strasznego, gdyż nagle zbladł, cofnął się o krok, kolana zatrzęsyły się pod nim. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł dobyć słowa z gardła. Chciał uciekać, ale czuł, że nogi są jakby zdrętwiałe.

— Bóg złączył? — krzyknął stary. — Szatan, chciałeś powiedzieć! Hahaha! Jego żona! A ja mam pójść do córki i powiedzieć: przepadło, on ma już żonę... A potem kiedyś będziesz przechodził z żoną obok zamczyska, a jaśnie pani zapyta: czy znasz tę dziewczynę? a ty powiesz: jakaś Cyganka, upadła dziewczka... i śmiejąc się opowiesz, jak to

za kawalerskich czasów tarzało się z dziewczką na słomie w piwnicy... Jeśli szatan twoim patronem, drabie, to ruszaj do piekła!

— Weber! — nieludzkim głosem ryknął młodzieniec.

Ale już leśniczy podniósł go w górę i przerzucił przez poręcz mostu w dół, w głęboki parów, między złomy skalne, po których szeroką strugą z szumem przewalały się wody.

Morderca i mściciel zbladł, ale żaden nerw w nim nie zadrgał.

— Czy nie krzyknął ktoś? — szepnął sam do siebie. — Nie, nikogo nie ma... Jestem sam...

Rozejrzał się.

— Stało się! — snuło mu się po głowie — gdy go znajdują, pomyślą, że po pijanemu chodził w nocy po moście i runął w przepaść... Biedna Filomena... Jakże przetrzyma śmierć kochanka? Ale lepiej tak, niż gdyby żył, a ona miała znosić pogardę, przecierpieć ból rozstania, czuć się poniżoną, porzuconą...

Ruszył w stronę zamczyska.

Gdy przestąpił próg izby, stara siedziała koło okna czuwając. Podszedł do łóżka, na którym leżała córka. Przez chwilę wsłuchiwał się w jej niespokojny oddech, potem pochylił się nad nią, by w półmroku przyjrzeć się jej rysom. Nagle otworzyła oczy, wyskoczyła z łóżka i przestraszona zapytała:

— To ty, ojczy?

— Tak, Meno! Czy lękasz się ojca, dziecko?

— Nie, miałam takie jakieś dziwne sny... Skąd wracasz? Czy mówileś z nim?

— Z hrabią? Nie. Nie zastałem go. Opowiem ci jutro. Połóż się znowu i zaśnij.

— Nie mogę spać. Ubiorę się i siądę do kołowrotka.

— Usiądź koło mnie na ławie. I ja również nie jestem śpiący. Co to chciałem powiedzieć... Podoba ci się hrabia? Robi wrażenie porządnego człowieka.

Nie odpowiedziała, pogrążona w myślach.

Siedzieli więc na ławie pod krucyfiksem; on oparty o ścianę, a ona przytulona do jego piersi. Nie mówili ze sobą ani słowa. Od czasu do czasu głaskał szeroką ręką jej włosy; pieszczota ta uspokajała ją; lekki uśmiech wykwitał na jej twarzy. Wreszcie zamknęła oczy. Wtedy ojciec ułożył ją wygodniej na ławie, opierając jej głowę na swej nodze. W tej pozycji zasnęła.

Cisza panowała wokół. Na duszę starego Webera spływał spokój i pocieszenie. Miał obok siebie tę, dla której w ogóle jeszcze żyć się oplać. Poczuli siły do stoczenia dalszej walki życiowej. Postanowił miłością ojcowską powetować klęskę, jaką w zaraniu życia zadał jej uwodziciel. Żle strzegł swej córki; winę swą okupił, obciążając sumienie zbrodnią morderstwa. Teraz nie zostawi jej już ani na chwilę samej. Jutro czy w dniach najbliższych pocznie starania o wyjazd za morze. Tam rozpoczną nowe życie... Z czasem zablizni się rana w jej sercu; może nowa miłość w nim zakwitnie... Dlaczegoż by się nie miało to udać? Wszak bardziej nieszczęśliwi, obarczeni winą, tam, za morzem, od nowa rozpoczynali życie...

Mijały godziny, a stary wciąż siedział na ławie, obok niego spała córka. Twarze tych dwojga nieszczęśliwych ludzi stawały się coraz spokojniejsze; opromieniać je poczyniła cisza i ukojenie snu. Również i oczy starego zamknęły się niebawem...

\*

Po przechadzce z sędzią hrabia nie mógł przez dłuższy czas zaznać spokoju. Opowieść sędziego, ujawnienie tajemnic rodzinnych Webera, splot tragicznych wypadków — silnie wzburzyły nerwy hrabiego. Dopiero o świcie zdołał zasnąć.

O ósmej wszedł do jego pokoju służący i zameldował, że jakiś obcy pan chce się z nim widzieć.

Zebrał się szybko, przekonany, że chyba jakieś nowe nieszczęście sprowadza o tak wczesnej porze przybysza.

Do pokoju wszedł sędzia.

— Przybywa pan ze złymi wiadomościami! — powitał go hrabia. — Mów pan: co się stało? Weber? Młodzieniec?...

— Przychodzę o tak wczesnej porze, gdyż nie chciałbym, aby się pan dowiedział o zaszyłych faktach od osób postronnych. W godzinę po naszym rozstaniu, gdy już ułożyłem się na spoczynek, posłyszałem gwałtowne dobijanie się do drzwi. Gdy je otworzyłem, ujrzałem jakąś dziewczynę, za nią kilku żandarmów i kilku włościan. Dziewczyna zaalarmowała ich wszystkich, a komendant posterunku żandarmerii sprowadził ich natychmiast do mnie. Ze słów dziewczyny dowiedziałem się o okropnym wypadku. Jest to roznosicielka pieczywa w Obermais. Zwykle około północy idzie do miasta, by o świcie z koszami świeżego chleba rozpocząć wędrówkę po górskich osiedlach i szałasach na połoninach. Gdy zbliżyła się do mostu, ujrzała na nim dwóch mężczyzn. Byli tak zajęci sobą i tak żywo rozmawiali, że wcale jej nie zauważyli. Ukryła się za pniem drzewa. Nagle rozległ się okropny krzyk; młodszy i smuklejszy został przerzucony przez barierę mostu w przepaść... Wtedy wydarł się z jej gardła lekki okrzyk; człowiek stojący na moście zaczął się rozglądać i wówczas poznała, że jest to zarządca zamku, Weber z Planty. Księżyc świecił jasno; może przysiąc, że nie był to nikt inny, jak tylko pan Weber... Przeżona, pobiegła do miasta i natychmiast doniosła o wszystkim posterunkowi żandarmerii...

Udałem się — mówił dalej sędzia — wraz z dziewczyną i żandarmami na miejsce wypadku. Niezbyt długo przyszło nam szukać nieszczęsnego chłopaka, ofiary mordu. Leżał na dnie parowu... Zaoszczędzę panu opisu, w jakim stanie znaleźliśmy zwłoki. Była to zniekształcona masa... Wszystkie kości miał, biedak, potrzaskane... czaszka zdruzgotana o skały... Kazałem odnieść ciało na noszach do miasta, a sam udałem się do zamczyska; za mną szli okoliczni chłopci, których coraz więcej zbierało się na miejscu zbrodni. Chętnie byłbym ich trzymał z dala i nie pozwolił im iść za sobą, ale wzburzenie między nimi było zbyt wielkie. Zresztą nie spodziewałem się, że zastanę Webera w domu. Nakazałem więc wszystkim, by zatrzymali się na podwórzcu, a sam w towarzystwie jednego żandarma udałem się do izby zamieszkałej przez rządcę.

Wyobraź pan sobie: wchodzę i zastaję Webera siedzącego spokojnie na ławie... był pogrążony we śnie... obok niego, oparłszy głowę o jego kolana, leży Filomena...

Spali tak mocno, że nie obudziło ich nasze wejście.

Dopiero gdy potrząsnąłem nim, obudził się. Wstał z ławki, a ruch ten obudził również i córkę.

— Panie Weber — rzekłem w możliwie najspokojniejszym tonie — musi pan pójść ze mną... Wpłynęło doniesienie... Spodziewam się, że zdoła pan wykazać swą niewinność, ale na razie muszę pana aresztować.

Nie spuszczałem zeń oka. Stał nieporuszony, twarz jego ani drgnęła.

— O co mnie oskarżają?

— Dowie się pan o tym później. Tu... — wskazałem mu ruchem ręki córkę stojącą obok niego — nie jest miejsce do przesłuchiwania...

— Nie ma pan prawa w nocy wdzierać się do mego domu — odparł hardo — jestem niewinny.

— Niewinny? — krzyknęła za nami dziewczyna, która zaalarmowała żandarmerię; mimo mego zakazu dostała się niepostrzeżenie do izby. — To znaczy, że ja złożyłam fałszywe zeznania? Na własne oczy widziałam, jak pan stał na moście, mocował się z Alojzym, wreszcie podniósł go w górę i przerzucił przez barierę. Zastaliśmy też nieszczęsną pańską ofiarę na dnie parowu tak zniekształconą, że rodzona matka nie rozpozna twarzy biedaka. I pan śmie mówić, że to nieprawda! Że jest pan niewinny!

Zamilkła, gdyż nagle Filomena zaczęła się głośno, przeraźliwie śmiać. Był to okropny widok, panie hrabio. Oczy dziewczęcia gorzały niesamowicie, śmiech stawał się coraz bardziej szaleńczy, spazmatyczny, nieprzytomny.

Stary Weber odezwał się:

— A więc i ta także... Tak jak tamta... Ha, po cóż ukrywać więcej? Tak, panie sędzio, to ja zrobiłem.

Hrabia przesłonił twarz rękami; siedział nieporuszony, niezdolny do wypowiedzenia choćby jednego słowa.

— Kazałem odprowadzić Webera do aresztu — mówił dalej sędzia. — Przed godziną otrzymałem meldunek, że rządca nie żyje... Powiesił się w celi... Zdjął z nóg owijacze... zrobił pętlicę i na kłamece... Kazał na razie Filomenę umieścić w szpitalu miejscowym, opiekują się nią zakonnice. Trzeba ją będzie odesłać do zakładu, w którym bawi jej starsza

siostra... Gdyby pan chciał ją zobaczyć... Wprawdzie nie poznaje nikogo...

Hrabia szepnął:

— Nie, nie mógłbym... nie miałbym sił...

Sędzia opuścił pokój.

W godzinę potem hrabia wezwał służącego i kazał mu poczynić przygotowania do dalszej podróży.

Najbliższym pociągiem wyjechał do Szwajcarii.

LOTKA<sup>33</sup>

Nie miałem jeszcze siedemnastu lat; znajdowałem się w owym kłopotliwym okresie, gdy się już nie jest dzieckiem, a bardzo niepewnie kroczy śladami ludzi dorosłych. Z bujną wyobraźnią, a głupawym sercem, ulegając to wybujałemu samopoczuciu, to dziewczęcej niemal wrażliwości — młodzieniec stara się uchylić zasłony ukrywającej tajemnice życia; myśli, że „zjadł wszystkie rozumy”, by przekonać się nazajutrz, że właściwie bardzo niewiele wie; jest pretensjonalny, nieznośny i chyba pociechą jest wtedy, że i inni rówieśnicy są tak samo bezradni.

Przyjaźniłem się wówczas z pewnym kolegą starszym ode mnie o kilka lat, ale również zmuszonym jeszcze do dyscypliny szkolnej w najwyższej klasie gimnazjalnej. Nie uczęszczał do tej samej szkoły co ja, nie znałem też jego rodziny, mieszkającej gdzieś na prowincji. Nie potrafiłbym powiedzieć, w jaki sposób to się stało, że zaprzyjaźniliśmy się z sobą tak, iż nie mijał dzień, by nie przestępował stromych schodów wiodących do mego mieszkania. Również gdyby trzecia osoba przysłuchiwała się naszym rozmowom, nie potrafiłaby zupełnie zgadnąć, co uczyniło nas właściwie tak nierozłącznymi przyjaciółmi. Wchodził do mego pokoju, przez czas jakiś odbywał po nim wędrowną, przemierzając go miarowym krokiem od ściany do ściany, tam i na powrót, potem siadał w starym fotelu zastępującym kanapę. Mógł w tej pozycji przesiedzieć bez słowa szereg godzin czekając, aż uporam się z zadaniem łacińskim. Jeśli podnosiłem oczy i rozglądałem się po pokoju, spotykałem jego wzrok, wpatrzony we mnie; a miał łagodne, marzycielskie oczy. Byłem wtedy bardzo rad, że jest w pobliżu. Ilekroć przychodził, gdy nie pracowałem, słuchał w skupieniu opowiadań, również i to uważne przysłuchiwanie się moim słowom było mi miłe. Tylko gdy mowa była o muzyce, ożywał się i wtedy wszczynaliśmy namiętne dyskusje. Miał piękny i głęboki głos basowy, dobrze harmonizujący z jego męską postawą, ciemnymi oczami i śniadą cerą. A ponieważ z wielką gorliwością studiował teorię muzyki, z łatwością mu przychodziło zwalczać rzeczowo moje dyletanckie, uczuciem podyktowane poglądy na muzykę. Ale gdy mnie już zapędził w kozi róg, żałował wprost mojej klęski. Przypominam sobie, że raz zadzwonił o północy i wyciągnąwszy mnie z łóżka zaczął przeproszać, że po południu w gorącej dyspacie ze mną nazwał *Cyrulika* Rossiniego — którym się zachwyciałem — marnym golibrodą w porównaniu z *Cyrulikiem* Mozarta i że arie Rossiniego określił jako mydliny na misce trzeciorzędnego golibrody prowincjonalnego.

Prócz tej niezwyklej dobroduszości dwie rzeczy mocno mnie do niego przywiązały: wtajemniczył mnie w sztukę palenia papierosów i dorobił muzykę do moich pierwszych wierszy.

Przyjaźń

Było to w lipcu i zbliżały się ferie, gdy pewnego popołudnia mój przyjaciel Bastel wszedł do mego pokoju niezwykle wzburzony. Nie zapalił, jak zwykle, papierosa, nie siadł, jak zwykle, w fotelu, lecz przez kwadrans stał przy oknie, wypukując na szybie takt *non più andrai farfallon amoroso*<sup>34</sup> i wzdychając od czasu do czasu tak silnie, jakby na sercu miał ciężar wagi co najmniej cetnara.

— Bastel — rzekłem — co się stało?

Milczenie.

— Czyś chory? Czy miałeś jakieś zajście w szkole z profesorem? Albo może na wczorajszym komersie<sup>35</sup> przytrafiło ci się coś nieprzyjemnego? (Należał do związku studenckiego, choć był jeszcze uczniem gimnazjum, i nosił w kieszeni kamizelki szarfę studencką,

<sup>33</sup>Lotka — nowela *Lottka* została wydana w 1871 r. w zbiorze *Ein neues Novellenbuch*. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>*non più andrai farfallon amoroso* (wł.) — już nie będiesz więcej latał, motylku zakochany. Pierwsze słowa arii Figara z I aktu *Wesela Figara*. [przypis tłumacza]

<sup>35</sup>*komers* — regularne spotkania studentów, połączone z piciem piwa lub wina. [przypis tłumacza]



którą przepasywał pierś tylko po kryjomu, gdy niejako *incognito* brał udział w komersach studenckich).

Dziwny człowiek wciąż milczał i zaczął silniej jeszcze bębnić, aż szyba groźnie zadźwięczała.

Dopiero gdy zauważył, że przestałem się nim zajmować, rzekł jakby sam do siebie:

— Są rzeczy między niebem a ziemią...

Nie skończył zdania.

Podszedłem i ująłem jego rękę.

— Bastel — rzekłem — co znaczy ta poza? Miarkuję, że coś cię trapi. Powiedz szczerze, a zobaczymy, jak na to poradzić. Albo nie mów wcale, ale miej litość nad moimi szybami i zachowuj się rozsądnie. Czy nie chcesz zapalić papierosa?

Potrząsnął głową przecząco.

— Jeśli masz czas — rzekł — pójdz ze mną; mogę ci to powiedzieć tylko na dworze. W pokoju jest tak duszno...

Wyszliśmy z domu. Z cichej uliczki, w której znajdowało się mieszkanie moich rodziców, dostaliśmy się w jedną z najbardziej ożywionych ulic miasta. Dopiero w zgiełku ulicznym, w tłumie ludzi i pojazdów Bastel poczuł się widocznie lepiej. Zatrzymał się, oparł rękę na mym ramieniu i rzekł:

— Nic nie zaszło niezwykłego, Pawle, zdaje mi się tylko, że jestem zakochany... Tym razem na całe życie.

To zakończenie wyznania wcale mi się nie wydało śmieszne. Gdy się ma lat siedemnaście, wierzy się w nieskończone trwanie uczuć.

— Kim jest ta szczęśliwa? — zapytałem.

— Zobacysz ją — odparł i oczy jego bezmyślnie rozglądały się po tłumie zalegającym ulicę. — Zaraz cię do niej zaprowadzę, jeśli w ogóle chcesz ją zobaczyć.

— Ale czy można tak zniecka, w zwykłym ubraniu? Zapomniałem wziąć ze sobą rękawiczki...

— Ona nie jest hrabiną — odparł i śniada jego twarz pokryła się lekkim rumieńcem. — Wczoraj przypadek albo moja dobra gwiazda zaprowadziła mnie do malej cukierenki i tam...

Przerwał. Natomiast ja dokończyłem:

— ...tam zastałeś ją, zjadając ciastka z kremem. A że sam przepadasz za ciastkami, od razu się w niej zakochałeś. Dla słodkiej słodycze... Gratuluję, mój drogi. Ale czy doszedłeś już z nią do porozumienia, tak że możesz liczyć, iż ją tam znowu spotkasz?

Nie odpowiadał. Widocznie uraził go mój ironiczny ton. Żał mi się go zrobiło, ale mimo to tonu nie zmieniłem. Wtedy jeszcze akordami „mol” posługiwałem się jedynie w wierszach lirycznych; w rozmowach używałem tylko tonacji „dur”, zimnej, ironicznej.

Przez czas jakiś w milczeniu szliśmy ulicami, gdy nagle Bastel skręcił w jedną z uliczek podmiejskich. Stały tam wtedy jeszcze małe, jednopiętrowe domki, nieliczne tylko sklepy, ruch uliczny mało ożywiony, turkot dorożki stanowił taką rzadkość, że zaciekawione kobiety podchodziły do okien, a bawiące się na jezdni dzieci uciekały w popłochu.

Prawie na końcu tej uliczki zatrzymaliśmy się przed domkiem pomalowanym na zielono; nad szklanymi drzwiami widniała brudna, ciemna tablica, na której złoconymi, mocno już rdzawymi literami umieszczony był napis: „Cukiernia”. Na prawo i lewo widać było okna przesłonięte szczelnie starymi ciemnobrunatnymi frankami. Drzwi wejściowe chyba od dziesięciu lat nie były myte; pokrywała je gruba warstwa kurzu.

Byłem niezmiernie zdziwiony, gdy Sebastian Bastel zatrzymał się przed tym domkiem i ujął za klamkę; nie chcąc go jednak znowu urazić, milczałem i z niemalym napięciem i ciekawością podążylem za nim do środka „cukierni”.

Wewnątrz panowała słodka, duszna atmosfera (w innych okolicznościach byłbym natychmiast wybiegł z tego lokalu); czuć było zjełczałe masło i zapach soku malinowego pomieszany z wyziewami wanilii i taniej czekolady; chyba tylko namiętny zwolennik ciastek lub człowiek zakochany mógł tu wytrzymać. Izba była poza tym niska, a wietrzenie odbywało się chyba tylko wtedy, gdy ktoś z wchodzących otwierał drzwi.

Niebawem pojąłem, co skusiło mego przyjaciela do odwiedzenia tego obskurnego lokalu. Za niską ladą, na której umieszczone były w bardzo skąpym doborze i z wyglądu niezbyt zachęcające ciastka — siedziała młoda dziewczyna w zwykłej perkalowej sukni;

gęste, czarne włosy miała gładko zaczesane i nad szyją obcięte; w rękę trzymała robótkę, którą dopiero wtedy odłożyła, gdy przystąpiliśmy do lady i zamówiliśmy dwa kawałki placka z czereśniami.

Mój przyjaciel, który ani słowem się nie oderwał, a nawet nie miał odwagi spojrzeć na dziewczynę, udał się do sąsiadującej ze sklepem izdebki; był to mały pokój, o jednym oknie; przy ścianie stała wypłowiała kanapa, a przed nią okrągły stół, na którym leżał jeden dziennik i jedno pismo ilustrowane; miało to upozorować „czytelnię” tej „cukierni”. Na ścianie wisiało niewielkie lustro, gęsto upstrzone śladami much; po obu jego stronach dwa landszafty<sup>36</sup>, a w kącie brązową farbą pociągnięte popiersie, wyobrażające jakiegoś cesarza czy wodza (na to przynajmniej wskazywały liczne orderki).

Sebastian szybkim, nerwowym ruchem opadł na jeden kąt kanapy, ja zająłem miejsce w drugim kącie — gdy weszła dziewczyna z dwoma talerzykami, na których leżały dwa kawałki placka z czereśniami. Postawiwszy talerze na stole zajęła się zapalaniem lampy gazowej (już mrok zapadł i trudno byłoby czytać bez światła); mogłem tedy lepiej się jej przypatrzeć. Postać jej, niezbyt duża, była harmonijna i odznaczała się tak idealną smukłością, że oko z zachwytem śledziło każdy jej ruch. Nogi miała drobne jak u dziesięcioletniego dziecka; białe paluszki jej rąk tak delikatne, jakby zawsze tylko spoczywały na jedwabnym fartuszk. Wszystko, co na sobie miała, odznaczało się niezwykłą czystością; śnieżnobiały kołnierzyk i fartuszek stanowiły silny kontrast z poplamioną tapetą, wypełzłym Obiciem mebli i całą szpetotą otoczenia.

Powinienem zrobić również próbę naszkicowania jej twarzy; nie zdołałbym jednak tego uczynić. Nie dlatego, iżby jej rysy były tak nieporównanie piękne, by ich zgoła nie można było opisać. Ale dlatego, że twarz jej tchnęła jakimś uduchowieniem, z którego na razie nie mogłem sobie zdać należytej sprawy: głęboka zaduma, wyraz to załężniony, to groźny, słowem, twarz, w której trudno rozeznalby się dojrzały mężczyzna, a cóż dopiero siedemnastoletni chłopak.

— Jak pani na imię, jeśli wolno zapytać? — starałem się nawiązać rozmowę, widząc, że mój przyjaciel nie ma odwagi spojrzeć na dziewczynę i pochylony nad stołem z niezwykłą gorliwością zajada plack z czereśniami.

— Lotka — odparła i nie spojrzawszy nawet na mnie wyszła do sklepu.

— Czy byłaby pani łaskawa przynieść szklankę czerwonego wina? — rzekłem głośno, by dosłyszała w sąsiednim pokoju.

— Natychmiast! — odparła.

Sebastian począł studiować ogłoszenia na ostatniej stronie dziennika, jakby szukał tam uczciwej znalazczyni swego zagubionego serca. Ja przeglądałem pismo ilustrowane. Ani słowo nie padło między nami.

Po trzech minutach weszła znowu, niosąc na talerzu szklankę z ciemnoczerwonym winem. Nie mogłem odwrócić spojrzenia od jej białych precudnych rąk; czułem, że bije mi serce; wreszcie zdobyłem się znowu na odwagę przemówienia do niej.

— Czy nie chciałaby pani przysiąść się do nas? Proszę usiąść na kanapie, ja przyniosę sobie krzesło ze sklepu.

— Dziękuję panu — rzekła z niemal obrażającą obojętnością. — Moje miejsce jest tam, w sklepie.

— Proszę chwilę tu zostać... — prosiłem i dotknąłem jej ręki, którą natychmiast cofnęła. — Te gazety są strasznie nudne. Pozwoli pani, że się przedstawimy. Mój przyjaciel, pan...

W tej chwili otwarły się drzwi sklepu. Weszła mała dziewczynka trzymając w rączce kilka miedziaków, za które chciała kupić łakoci. Lotka skorzystała z tej sposobności, by uniknąć zaznajomienia się z nami, a gdy wręczyła dziecku torebkę z cukierkami, zasiadła znowu z robótką za ladą.

Nasza sytuacja stawała się coraz przykrzejsza.

Placki były już dawno zjedzone, szklankę wina wychyliłem jednym haustem; siedziałem na kanapie, podniecony i zmieszany obojętnością dziewczyny, i wpatrywałem się w muchy lażące po gładkich ścianach szklanki i upijające się ciemnymi kroplami wina.

Sebastian siedział w milczeniu jak indyjski fakir...

<sup>36</sup>landschaft (z niem.) — pejzaż. [przypis edytorski]

— Chodźże, milczku — rzekłem. — Zapłacimy za ciastka i wino i wyjdziemy na świeże powietrze. Ciężko mi tu oddychać. Trzeba być chyba muchą, by wytrzymać w tym zaduchu.

— Do widzenia, piękna pani — rzekłem, stając przed ladą. — Spodziewam się, że innym razem będzie pani mniej zajęta i bardziej skora do rozmowy.

Byłbym może wygłosił dłuższą przemowę, ale spojrzała na mnie wzrokiem wyrażającym kompletny brak zainteresowania tym, co mówię, więc złożwszy głęboki ukłon czym prędzej opuściłem cukiernię. Sebastian wyszedł za mną; nie odważył się nawet spojrzeć na dziewczynę za ladą.

— A więc? — zapytał, gdy znaleźliśmy się na cichej, już zupełnie ciemnej uliczce. — Co powiesz?

— Wino było niezłe, ale placek wyglądał fatalnie. Nie pojmuję, jak mogłeś przełknąć swoją porcję, a potem i moją. Mam podejrzenie, że w tej cukierni sprzedaje się stare ciastka, które przedtem odleżały się przez kilka dni w jakimś wielkim śródmiejskim lokalu.

— Co mnie to obchodzi? — mruknął. — Nie o to pytałem. Chciałbym wiedzieć, co powiesz o niej...

— Drogi przyjacielu — rzekłem, przyjmując ton niemal ojcowski. — Cóż powiedzieć o dziewczynie, która może oddychać w takim powietrzu! Wiesz przecież, że niewiasta jest istotą zagadkową...

Westchnął głęboko. Uważał mnie — sam nie wiem dlaczego — za wielkiego znawcę kobiet; użyłem też, wypowiadając swe poglądy, wyrazu „niewiasta”, co brzmi niemal mistycznie, gdy się ma siedemnaście lat.

— Nie mogę zaprzeczyć — mówiłem dalej — że ta milcząca osóbką jest śliczna. Ale ostrzegam cię przed nią, Bastel! Wierz mi, ona nie ma serca...

— Sądzisz więc... — przerwał i spojrzał na mnie przerażony.

— Sądzę, że albo nigdy nie miała serca, albo skamieniało w jej piersi. Bo czyżby mogła zachować się tak zimno wobec moich słów? Ta niewiasta ma przeszłość, powiadam ci, ale nie ma przyszłości.

Aforyzm ten, bezmyślnie przeze mnie wygłoszony, wywarł na mego towarzysza nie spodziewane wrażenie. Zatrząśł się, jakby ukąszony przez węża, i rzekł:

— Sądzisz więc, że ona... że nie jest... jednym słowem: wątpisz w jej cnotę?

Zrozumiałem, że rozpełtałem burzę.

— Spokoju, mój drogi — rzekłem i objąłem go ramieniem. — Chodźmy, po co się irtować? Jak już powiedziałem: jest kobietą, a więc zagadką. Co się tyczy jej charakteru, nie mam żadnych podstaw, by się o nim ujemnie wyrażać. Chciałem tylko powiedzieć: zważ, zanim wdasz się w przygodę, z której nie przewiduję nic dobrego. Bo ona doprawdy nie wygląda tak, aby łatwo wypuściła tego, kogo zdoła usidlić. Jeśli chcesz, będę ją bacznie obserwował; obiecuję ci pomoc, jaką przyjaciel świadczyć winien przyjacielowi.

Właśnie doszliśmy do rogu ciemnej, pustej ulicy. Nagle ucałował mnie, potem silnie uściśnął moją rękę — i szybko się oddalił. Po chwili znikł w mrokach nocy.

Powoli wracałem do domu; wciąż myślałem o tym dziwnym zjawisku w obskurnej cukierce. Przy kolacji zachowywałem się tak dziwnie, że matka moja zaniepokoiła się, dotknęła mego czoła, by się przekonać, czy nie mam gorączki, i kazała mi się wcześniej niż zwykle położyć do łóżka.

Gdy następnego dnia poszedłem do szkoły, byłem zupełnie nieprzygotowany z języka greckiego, a nauczyciel historii wypowiedział pod moim adresem kilka ironicznych, kąśliwych uwag, gdyż pomyliłem się co do daty bitwy pod Kannami o kilkaset lat.

\*

Byłem na wieczór zaproszony do znajomych, miałem jednak jeszcze godzinę czasu. Zdawało mi się, że najlepiej go użyję, jeśli udam się na uliczkę, przy której mieści się cukierka; przyszedłszy tam stanąłem na chodniku naprzeciw drzwi wejściowych i śle dziłem pod osłoną parasola, a również i zapadającego mroku, wszystkich wchodzących i wychodzących z cukierni. Byli to przeważnie ludzie z najniższych sfer, poza tym dzieci

Młodość, Dzieciństwo,  
Dorosłość

kupujące łakocie. „Niebezpiecznych” ludzi, to jest młodzieńców, nie widziałem ani między wchodzącymi, ani między wychodzącymi; widocznie nie przeczuwali, że za ladą siedzi przecudnej urody młoda dziewczyna...

Uspokojony tym spostrzeżeniem, przeszedłem przez środek ulicy na drugą stronę chodnika i starałem się zbadać, czy z zewnątrz można zobaczyć, co się dzieje w cukierni. Lampy gazowe w obu pokojach były zapalone, ale okna sklepu miały tak gęstą roletę, że nie sposób było nic dojrzeć. Natomiast w firance, opuszczonej w oknie izdebki obok sklepu, była dość szeroka szpara. Zbliżyłem głowę do samego okna; przyznaję, że w tej chwili wstydzilem się mej roli szpiega, ciekawość jednak przemogła.

I oto widzę: w tym samym kącie co wczoraj siedzi mój Sebastian przed pustym talerzem, obłożonym przez roje much; wzrok jego błądzi po brudnych tapetach ścian. Dziwne uczucia mną owładnęły w tej chwili: na poły zazdrość, na poły satysfakcja, że jeszcze zaloty jego nie wyszły poza to stadium, w jakim były wczoraj. W chwilę potem wstał z kanapy i wziął do ręki kapelusz. Cofnąłem się ze swego posterunku i jak złodziej, którego omal nie przychwycono na gorącym uczynku, uciekłem.

Wieczorem w towarzystwie byłem weselszy niż zwykle, umizgałem się z nonszalancją siedemnastoletniego światowca do obu panien, dałem się nawet nakłonić do odczytania najnowszych moich wierszy i wypilem kilka kieliszków mocnego wina węgierskiego, przez co nie stałem się ani trochę skromniejszy i mądrzejszy. O godzinie dziesiątej pożegnałem się pod pozorem, że mam jeszcze spotkanie z jednym z moich przyjaciół; zdawało mi się, że taka pora jest właściwa dla młodego poety, zbierającego wrażenia w „nocnych lokalach”. Gdyby wiedziano, że właściwie miałem jeszcze przepisać na czysto zadanie matematyczne — cały nimb byłby się niechybnie rozwiął...

Faktycznie też nie przepisałem na czysto tego nieszczęsnego zadania matematycznego! Noc była przecudna, powietrze po długim deszczu tak czyste jak serce ludzkie pogodzone dopiero co ze starym wrogiem (mimo woli wpadam znowu w ton liryczny owych czasów)... Mimo późnej nocy przechadzały się po ulicach kobiety i dziewczęta bez kapeluszy i chustek, skuszone pogodną nocą, poświętą księżycą, roziskrzonym gwiazdami niebem — opuściły swe mieszkania, by po pracy dnia używać rozkoszy przechadzki. Niemal wszystkie okna były otwarte; dolatywał z nich silny zapach kwiatów doniczkowych; tu i ówdzie słychać było dźwięki fortepianu lub piękny głos kobiecy wyśpiewujący jakąś arię.

Jak to się stało, nie wiem, ale nagle znalazłem się przed cukiernią i nie zastanawiając się wcale, otworzyłem drzwi.

Gdy wszedłem, Lotka podniosła głowę znad lady. Leżała na niej jakaś książka.

— Przepraszam, że przeszkadzam — rzekłem. — Zaraz sobie pójdę. Przechodziłem właśnie tą ulicą, a że noc taka piękna... nie widziałem pani od wczoraj... Czy mogę prosić o szklankę wina, panno Lotko?

Dziwne, że moja swada opuszcza mnie stale wobec tej skromnej, cichej, tak mało-mównej istoty! — przemknęło mi po głowie.

— Co pani tu czyta? — rzekłem po chwili. — Książkę z wypożyczalni? Chętnie służę pani moimi książkami... mam ich wiele w domu... także romanse...

— Nie mam czasu na czytanie romansów — rzekła spokojnie. — To jest francuska gramatyka.

— Uczy się pani języka francuskiego? Sama? Bez pomocy?

— Już nawet trochę mówię. Chciałabym ten język dobrze opanować.

Zajęła się nalewaniem wina z butelki.

— Panno Lotko — rzekłem po chwili — czy wolno mi o coś zapytać?

I nie czekając wcale na jej zgodę, zapytałem:

— Czy czuje się pani szczęśliwa w tej sytuacji, w jakiej się pani tu znajduje?

Spojrzała na mnie swymi wielkimi oczami tak zdumiona, jak dziecko w bajce na ptaka, który nagle zaczyna mówić.

— Co znaczy to pytanie? — rzekła.

— Proszę sobie tylko nie tłumaczyć pytania tego jako zwykłą ciekawość. Niech pani wierzy: odczuwam dla pani szczerze zainteresowanie. Gdyby pani potrzebowała przyjaciela... życie jest takie poważne, panno Lotko...

Byłem coraz bardziej zmieszany i czułem, że krople potu występują mi na czoło.

W tej chwili otworzyły się drzwi za ladą i weszła właścicielka sklepu, otyła, starsza kobieta, która z wielką uprzejmością, ale i nie mniejszą stanowczością oświadczyła, że już jest za kwadrans jedenasta, sklep zaś zwykle zamyka się o wpół do jedenastej. Zapłaciłem więc szybko za szklankę wina, spojrzałem wymownie na milczącą dziewczynę i opuściłem cukiernię.

W domu zasiadłem do mego zadania matematycznego, ale cóż mnie obchodziły równania drugiego stopnia i logarytmy? Na marginesie zeszytu zacząłem pisać wiersze, których melodia podziałała na mnie tak kojąco, że wkrótce po północy zasnąłem w krześle i i obudziłem się dopiero nad ranem; w wierszach napisanych przed zaśnięciem wyznałem, że znowu się zakochałem i że moją nową bogdanką jest umiłowana mego przyjaciela...

To było też pierwszą moją myślą po przebudzeniu się. Zdawałem sobie jednak równocześnie sprawę, że to nieszczęście właściwie wcale nie czyni mnie nieszczęśliwym, przeciwnie, wzmacnia dobre samopoczucie i budzi pewną dumę, gdyż oto mam we własnej osobie doznać tego wszystkiego, co wyczytałem w przeróżnych romansach. Wyobraźnia moja wysnuwała niezmordowanie dramatyczne, burzliwe sceny, które niechybnie spowoduje taka komplikacja; wszystkie moje myśli zajęła bezbrzeżna litość dla siebie samego, poczciwego Sebastiana i niewinnej sprawczyni naszych cierpień.

Zamiast pójść do gimnazjum, gdzie musiałbym się pojawić bez zadania matematycznego, udałem się do parku, by na samotnej ławce w jakimś odludnym zakątku przelać na papier swoje najświeższe udręki sercowe. Około południa stwierdziłem, że kajet, którego wierzch zdobił napis *Nowa miłość*, wypełnił się rymowanym słowem do ostatniej kartki.

Po południu, gdy siedząc w mym pokoju starałem się z pamięci odrysować na arkuszu papieru profil ukochanej, usłyszałem na schodach kroki Sebastiana. Szybko ukryłem rysunek, położyłem na stole jakiś zeszyt i udawałem, że opracowuję właśnie szkolne zadanie. Gdy wszedł do pokoju, nie miałem odwagi spojrzeć mu w twarz.

Również i on przywitał się nie patrząc mi w oczy, rzucił się wedle swego zwyczaju na fotel i zapalił papierosa.

Upłynęło pół godziny, zanim wyrzekł pierwsze słowa:

— Czy byłeś tam znowu?

— Tak — odpowiedziałem i zacząłem bardzo gorliwie przewracać kartki łacińskiego słownika.

— A co myślisz o niej... teraz?...

— Co myślę? Nie odgadłem jeszcze zagadki. O ile mi się zdaje jednak, nie jest to zwykła młoda dziewczyna, lecz coś w rodzaju rusalki, boginki... zimnokrwista istota... kto wie, czy dolna połowa jej ciała nie jest podobna do ryby... *desinit in piscem*<sup>37</sup>...

Zerwał się z fotela.

— Proszę cię, takie słowa!...

— Uspokój się, mój drogi! — rzekłem. — Nie sądz, że chcę ją oczernić. Że ta kobieta ma jakąś przeszłość, to pewne. Ale czy wina spada na nią? Możliwe, że było to jakieś nieszczęście, jakiś wielki ból albo jakaś wielka miłość...

— Sądzisz więc?...

Spojrzał na mnie wzrokiem pełnym lęku.

— Jej spokój, jej oczy zasnutę mgłą smutku — rzekłem — czyż nie dowodzą, że przeszła już piekło rozczarowania miłosnego? W jaki sposób biedaczka dostała się do tej dusznej jaskini, w której tylko muchy mogą się dobrze czuć, Bóg to raczy wiedzieć. My dwaj zapewne nie zdołamy jej stamtąd wyzwolić.

Ledwo te słowa wypowiedziałem, Bastel wybiegł te pokoju.

Niebawem i ja opuściłem mieszkanie. Nie miałem właściwie żadnego celu przed sobą; chciałem zażyć ruchu i uspokoić w ten sposób podniecone nerwy.

Po godzinie wałęsania się po mieście znalazłem się niepostrzeżenie w pobliżu owej fatalnej uliczki. Kusiło mnie, by wejść do cukierni, a równocześnie coś mnie od tego kroku wstrzymywało. Miałem wrażenie, że wczoraj wieczorem nie odegrałem tu pięknej roli. Byłem przekonany, że Lotka powita kpiącym uśmiechem obcego młodzieńca, który tak natrętnie ofiarował jej swe rycerskie usługi. Tym bardziej powinienem postarać się

<sup>37</sup>*desinit in piscem* (łac.) — zakończona rybim ogonem. [przypis tłumacza]

o to, by nabrała o mnie lepszego przekonania. Ostatecznie więc postanowiłem: wstąpię do cukierni.

W tej chwili spostrzegłem mego przyjaciela i rywala, zmierzającego wielkimi krokami również w stronę małego domku. I on mnie poznał, jakby na komendę obaj zatrzymaliśmy się i w następnej sekundzie zrobiliśmy (jak podczas musztry wojskowej) „w tył zwrot”.

Serce biło mi silnie; czuwałem głęboki wstyd, a równocześnie i gniew, że jeden drugiemu włazi w drogę. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli tak dalej pójdzie, znenawidzę z całego serca mego najlepszego przyjaciela.

Miotany sprzecznymi uczuciami, szedłem ulicą i zastanawiałem się, czy nie byłoby najwłaściwiej wrócić i popробować znowu zbliżyć się do fascynującej istoty, choćby nawet legion przyjaciół starał się przegrodzić drogę. Czyż nie miałem tego samego prawa co każdy inny umizgać się do pięknych dziewcząt? Czyż mam wycofać się tchórzliwie, gdy wczoraj wziąłem rozmach i zaproponowałem zagadkowej tej osobie przyjaźń? Nigdy, przenigdy! Natychmiast pójść do niej, choćby cały świat się zawalił!

Szybko obróciłem się i — natknąłem się na Sebastiana. W swym wzburzeniu nie dostrzegłem wcale jego pośpiesznych kroków ani nie zauważyłem, że stara się mnie dogonić.

— Ty tutaj? — zawołałem z udanym zdumieniem.

— Pawle — rzekł; głos jego drżał silnie — po co ta komedia? Zbyt przecież się lubimy... Wiem, dokąd zamierzałeś pójść; i ja również tam szedłem. Ale wierz mi: gdyby tak dalej być miało, nie wytrzymałbym w tej głupiej sytuacji... I ty ją kochasz... Nie usiłuj przeczyć...

— A gdybym ją kochał? — rzekłem z pewną przekorą, a równocześnie trochę zawstydzony. — Przyznaję: wrażenie, które na mnie wywarła...

— Chodźmy stąd do jakiejś bramy. Mówisz tak głośno, że ludzie zaczynają zwracać uwagę. Widzisz, że miałem rację, i dziwiłbym się, gdyby było inaczej. Ale pojdziesz, że to niemożliwe. Jeden z nas musi ustąpić.

— Tak jest — rzekłem i usiłowałem przybrać minę twardą i wrogą. — Jeden z nas musi ustąpić. Nie wiem tylko, dlaczego właśnie ja... Czyżby dlatego, że jestem młodszy?... dwa lata chyba nie stanowią różnicy... zresztą za rok będę studentem uniwersytetu, tak samo jak ty.

Zaledwo te słowa wypowiedziałem, począłem ich żalować. Przemknęło mi po głowie: jesteś bez serca, a w dodatku samochwał! Toteż starając się zatrzeć wrażenie poprzednich słów, rzekłem szybko:

— Nie o to chodzi, kto z nas ma mieć pierwszeństwo, lecz o to, kogo ona wybierze. Na razie mamy obaj równie małe szanse...

— To prawda — odparł. — Mimo to nie mogę się z tym pogodzić, by z tobą rywalizować... a zresztą: jesteś wymowniejszy, odważniejszy... z góry byłbym pewny przegranej, gdybyśmy obaj przed nią nasze uczucia... wiesz przecież, co chcę powiedzieć...

— Jeśli tak się rzecz ma — rzekłem — jeśli nie masz odwagi, to jest to tylko dowód, że nie jesteś tak bardzo zakochany, jak ci się zdaje. Spędziłem bezsenną noc, zmarnowałem dziś cały dzień, sądzę więc...

Nie mogłem dokończyć zdania. Bładość, jaką pokryła się jego dobronudna twarz, świadczyła, że o wiele głębiej przejmuję się tą naszą rozmową niż ja. Zrozumiałem znowu, jak bliski jest mi ten człowiek.

— Słuchaj — rzekłem — tak nie dojdziemy do żadnego rezultatu. Dobrowolnie, sądzę, żaden z nas nie ustąpi. Niech więc rozstrzygnie los.

— Los?

— Albo przypadek, jeśli wolisz. Rzucam tę dziesięciogroszówkę na ziemię. Jeśli na górze będzie orzeł, ty zwyciężyłeś, jeśli reszka...<sup>38</sup>

— Dobrze! — rzekł półgłosem. — Chociaż o wiele piękniej byłoby...

— A więc zgoda?

— Zgoda!

Dziesięciogroszówka padła na ziemię. Pochyliłem się, by w mroku panującym w sieni domu, w którym toczyliśmy tę rozmowę, dojrzeć, jaki jest rezultat „losowania”.

<sup>38</sup>Rzucam tę dziesięciogroszówkę na ziemię. Jeśli na górze będzie orzeł, ty zwyciężyłeś, jeśli reszka... — tłumacz, zgodnie z dawniejszym obyczajem, zmienił nieco realia, zastępując monetę używaną przez niemieckich bohaterów opowiadania polską dziesięciogroszówką. [przypis edytorski]

— Co jest na górze? — mruknął; nie miał odwagi sam spojrzeć.

— Bastel! — rzekłem. — Przygotuj się na najgorsze. Na górze jest reszka... Pojmiesz, że kiedy już zdecydowaliśmy się na losowanie...

Nie ruszył się z miejsca; z ust jego nie dobył się żaden dźwięk. Gdy powoli wyprostowałem się i monetę chowałem do portmonetki, widziałem, że ma oczy zamknięte i oparty jest o ścianę.

— Nie przejmuj się tym — rzekłem. — Jestem pełen, że za kilka dni przyjdę i powiem ci, że ona mnie nie chce, że masz wolną drogę, że...

— Dobranoc! — mruknął nagle i wypadł z sieni.

W tej chwili, jakby mi łuski z oczu spadły: zrozumiałem, że uczucia moje dla tej zagadkowej dziewczyny ani mierzyć się nie mogą z głębią uczuć mego przyjaciela, że popełniłbym łajdactwo, gdybym chciał skorzystać z przypadku, który rozstrzygnął na moją korzyść.

Szybko wybiegłem i dogoniłem go. Musiałem siłą go zatrzymać, gdyż gwałtem chciał mi się wyrwać.

— Słuchaj — rzekłem — powziąłem inną decyzję. Musisz mnie wysłuchać, jeśli mam uwierzyć, że byłeś kiedyś szczerze moim przyjacielem. Przysięgam, Bastel, przysięgam uroczyście, że odstępuję ci ją. Zrzekam się jej raz na zawsze. Teraz dopiero zdaję sobie sprawę z krzywdy, jaką chciałem ci wyrządzić. Ja sobie jakoś dam radę... wiesz przecież, że się nie umiera, gdy nie wszystkie marzenia się spełniają... Podaj mi rękę, Sebastianie, i nie mówmy o tym więcej!

Rzucił mi się na szyję; w tej chwili wydałem się sobie samemu wcieleniem szlachetności, miałem wrażenie, jakbym wyrzekł się tronu na rzecz kuzyna z „bocznej linii”.

Szliśmy ramię w ramię, przejeżdżąc głęboką idealną zgodą, jaka między nami zapanowała.

Uparłem się, by odprowadzić go do drzwi cukierni. Chciałem pokazać, że ofiara nie jest ponad moje siły.

— Życzę ci szczęścia — rzekłem, gdy ujął klamkę, i starałem się przybrać najbardziej pogodny wyraz twarzy.

Potem opuściłem go, dumny, że cnota i przyjaźń odniosła triumf, że zdobyłem się na taki heroizm.

Przespałem noc tak dobrze, że nazajutrz wstydziłem się niemal, iż nawet nie śniłem o odstąpieniu przyjacielowi bogdance. A więc tak szybko, nie zostawiając nawet iskier, zgasł płomień tej „nowej miłości”? Nie chciałem wyznać tego przed sobą, by nie umniejszać we własnych oczach ciężaru „tragicznego konfliktu”, właśnie tak bohatercko przebytego.

A że była właśnie niedziela i nie musiałem pójść do szkoły, popełniłem na temat wczorajszych zajęć... wiersz liryczny.

\*

Przez najbliższych czternaście dni spotykałem szczęśliwego rywala tylko przygodnie i przelotnie. Z wielką subtelnością, którą u niego bardzo ceniłem, unikał codziennego przychodzenia do mnie; gdy spotkaliśmy się na ulicy, wymienialiśmy kilka obojętnych słów i szybko żegnaliśmy się uściskiem dłoni.

Gdy jednak zaczął się trzeci tydzień, postanowiłem położyć kres stanowi niepewności i zaspokoić swą ciekawość. Mieliśmy wakacje, dzień za dniem włócił się monotennie i nudnie, panowały wielkie upały, zniechęcające zarówno do pracy, jak i dalszych spacerów. Teraz dopiero odczułem, że stałe wizyty mego przyjaciela stały się dla mnie niemal potrzebą, i zacząłem coraz bardziej za nim tęsknić.

Postanowiłem więc odszukać go.

Mieszkał daleko ode mnie, na przedmieściu, u jakiegoś krawca, gdzie zajmował mały, ciemny pokoik. Gdy wszedłem, krzyknął radośnie, ujął moją dłoń w obie ręce i serdecznie i długo nią potrząsał. Potem zmusił mnie, bym usiadł na twardej otomanie, służącej mu za łóżko — uraczył mnie papierosem i szklanką piwa, które przyniosła na jego prośbę żona krawca z pobliskiego szynku.

Z początku wedle zwyczaju milczeliśmy, często tylko spoglądaliśmy na siebie i uśmiechaliśmy się, radzi serdecznie z tego spotkania.

— Sebastianie — rzekłem wreszcie, otaczając się możliwie najgęstszymi kłębamii dymu — muszę ci wyznać: co się tyczy owej wiadomej sprawy, nie krępuj się wcale... Rana, którą mi zadały owe oczy (styl liryczny siedemnastoletniego poety!)... albo nie była tak głęboka, jak mi się początkowo zdawało, albo też dłuższe rozstanie zdziałało cuda. Słowem: jestem uleczony, a jeśli ty byłeś przez te ostatnie tygodnie szczęśliwy, wierz mi, będę się szczerze, bez wszelkiej zazdrości radował...

Spojrzał na mnie błyszczącymi oczyma.

— Czy to prawda? — rzekł. — Kamień spada mi z serca. Sto razy czyniłem sobie najcięższe wyrzuty, że przyjąłem twą ofiarę; najlepsze chwile zatruwa mi myśl, że ciebie ich pozbawiłem. Nie wiem oczywiście, czy ty byłbyś zadowolony z tego, co mnie już wprawia w stan błęgiego uszczęśliwienia... Jakże to pięknie, że zdołałeś opanować swe uczucia!

Uściskał mi znowu mocno rękę; radość jego była tak wzruszająca, że wydałem się sobie samemu komediantem, sztucznie rozdymającym fantasmagorie do szczytnej roli uczuć.

Teraz zaczął mi dokładnie opowiadać o tym, co w tych dwóch tygodniach zaszło. Zaiste: musiała to być głęboka miłość, a poza tym nie lada skromność, by się kontentować tymi nikłymi sukcesami, jakie zdołał dotychczas osiągnąć pocziwy Sebastian! Co wieczora przychodził do cukierenki i przeszło godzinę przesiadywał w małej izdebce. Widocznie ten cichy, pokorny hołd wzruszył dziewczynę, gdyż wreszcie zdecydowała się na to, by usiąść naprzeciw niego i pogawędzić przez kilka chwil. Pewnego razu nawet, gdy się o kilka godzin spóźnił, powitała go z widocznym niepokojem i przyznała, że dziwiła się jego nieobecności. „Już się przyzwyczaiłam — rzekła — że mogę z panem porozmawiać, gdyż nie mam nikogo, kto by się mną w ogóle interesował...” Tu przerwała, widocznie spłoszona wybuchem jego radości, może nazbyt żywo objawionym. Opowiedział jej wszystko, co się tyczyło jego życia, stosunków, planów. Ona natomiast ani słowem nigdy nie wspomniała o sobie, o swej rodzinie, swej przeszłości, raz tylko powiedziała, że chciałaby bardzo wydostać się z tego środowiska i najchętniej wybrałaby się gdzieś w dalekie kraje. Od roku robi oszczędności, by zebrać na kosztą podróży, uczy się też języka francuskiego i angielskiego, by przy pierwszej sposobności ruszyć w świat.

— Gdybyś mógł ją widzieć — zakończył Sebastian swą relację — gdybyś mógł, Pawle, słyszeć, z jakim smutkiem i rezygnacją ona to opowiada, i ty przysiągłbyś, że nigdy zła myśl w jej mózgu nie powstała, że jest tak czysta i niewinna jak anioł; jestem też zdecydowany wyteńczyć swe siły, by uczynić ją szczęśliwą.

— Więc na serio myślisz o poślubieniu jej?

— Czy możesz w to wątpić? Oczywiście, jeśli ona mnie zechce. Że mam uczciwe zamiary, wyraźnie dałem jej do poznania, chociaż... co ludzie zwą formalnie oświadczeniami... wiesz, że nie mam odpowiedniej swady ani daru poetyckiego... Zresztą nie mam się czego śpieszyć. Jeszcze długo potrwa, zanim będzie mogła porzucić swą obecną posadę, a ja, gdybym nawet był bardzo pilny, czyż przed czterema, pięcioma laty...

— Cztery lata? Albo pięć? Zaledwo zdołałbyś wtedy otrzymać absolutorium prawa.

— Nie, nie mam zamiaru kończyć studiów prawniczych. Sądzę, że łatwiej i prędzej muzyka da mi jakieś stanowisko. W najgorszym razie, gdybym widział, że jako kompozytor mam wielkie trudności, próbowałbym szczęścia w Ameryce i wyemigrowałbym z nią...

Patrzyłem na niego z podziwem. Nagle wydał mi się o dziesięć lat starszy; pomyślałem, że ja nie umiałbym powziąć tak stanowczych i daleko sięgających planów.

— A ona? — zapytałem — czy zgodziłaby się na to?

— Nie wiem... — odparł i zamyślił się na chwilę. — Jeszcze nie mogłem jej o to zapytać. Raz tylko mówiliśmy z sobą o małżeństwie. Bardzo stanowczym głosem oświadczyła, że nigdy nie wyjdzie za mąż. „Nawet wtedy, gdyby się trafił ktoś bardzo odpowiedni?” — zapytałem. „Właśnie wtedy nie!” — odparła i głęboko westchnęła.

— Komedial! — zawołałem. — Tak mówią wszystkie, a potem stają się doskonałymi żonami.

— Zresztą ona jest o rok starsza, niż myśleliśmy; jest ode mnie młodsza tylko o cztery tygodnie. A propos... miałbym prośbę do ciebie... to znaczy, jeśli mógłbyś...

— Tylko bez wstępu! Powiedz śmiało, o co ci idzie.



— Jutro są jej urodziny. Dowiedziałem się o tej dacie przypadkowo. Onegdaj powiedziała mi, że czuje się już bardzo stara, zmęczona życiem; gdyby miała umrzeć w dzień swych urodzin, ani na chwilę nie żałowałaby tego... Właśnie gdy przyszedłeś, spisywałem melodię, skomponowaną do słów twego wiersza: *Ach, gdybym mógł ciebie zdobyć!* Pieśń tę poświęcę jej. Ale boli mnie to, że nie mogę jej ofiarować na urodziny nic lepszego. Mała broszka z pewnością bardzo by ją ucieszyła, niestety... nie mam grosza... a co gorsza, nie mam co sprzedać... któż by mi dał co za te łachy, które wiszą w szafie?

— Poradzimy na to, musimy poradzić! — rzekłem. — Rozumie się, że jej urodziny muszą być uczczone jakimś okazańszym podarunkiem. I ja nie mam przy sobie większej gotówki, ale w domu jest sporo zbędnych rzeczy! Ot na przykład czterotomowy słownik. Jest właściwie zupełnie niepotrzebny. Chodź, pójdziemy do antykwarni<sup>39</sup> i postaramy się jak najlepiej i go sprzedać.

Po kilku słabych próbach nieprzyjęcia ofiary złożonej przeze mnie na ołtarzu przyjaźni, poszedł ze mną do mego mieszkania, gdzie każdy z nas obładował się dworna tomami grubego słownika. W godzinę potem, bogatsi o pięć talarów, wstępaliśmy do sklepu jakiegoś trzeciorzędnego jubilera, gdyż nie mieliśmy odwagi przestąpić progu wielkiego magazynu jubilerskiego, jakich wiele znajduje się na głównych ulicach.

Jubiler pokazał nam małego złotego węża, zwiniętego w kłębek i spozierającego na nas drobnymi, czworokątnymi oczkami z rubinu; zażądał dziesięć talarów, przyjął jednak po długich targach siedem, choć doprawdy broszka nie była warta ani połowy...

Całą tę transakcję musiałem przeprowadzić sam. Sebastian był bardzo zakłopotany i tak uporczywie wpatrywał się w inne złote przedmioty, ułożone na ladzie, że kupiec nabral podejrzania i bacznie mu się przyglądał, jak gdyby miał do czynienia ze złodziejem.

— Oto masz klejnot — rzekłem, gdy znaleźliśmy i się znowu na ulicy. — Możesz jej jutro pogratulować również i w moim imieniu. Zresztą myślę, że już mnie nie pamięta... A przyjdź kiedyś do mnie i opowiedz, jakie wrażenie wywarł ten wąż w waszym raj, ty szczęśliwy Adamie...

Potem pożegnałem się z nim i poszedłem do domu. Czulem bowiem, że na dnie mej duszy tli<sup>40</sup> przecież jakaś iskierka zazdrości.

\*

Następnego wieczoru siedziałem z rodzicami przy kolacji, gdy weszła służąca i powiedziała, że przyszedł kolega i czeka w moim pokoju; było już około dziesiątej; byłem bardzo zdziwiony tymi późnymi odwiedzinami.

Gdy wszedłem do mojego pokoju, zastałem Sebastiana jak zwykle siedzącego w fotelu. Przeraziłem się wyglądem jego twarzy: była blada, zmizerowana, ponura.

— Co się stało? — zawołałem..

— Pawle — rzekł, nie ruszając się z miejsca, jakby unieruchomiony ciężkim ciosem — wszystko skończone. Jestem zgubionym człowiekiem.

— Jakoś cię odnajdą! — odparłem żartobliwie. — Pomogę cię poszukać. Ale przede wszystkim opowiadaj!

— Bez kpin, jeśli nie chcesz, bym natychmiast sobie poszedł! Powiadam ci, sytuacja jest bardzo poważna. Dopiero teraz zrozumiałem, jaką ona jest anielską istotą, i to właśnie teraz, gdy ją po raz ostatni widziałem!

— Co? Uciekła? W świat daleki?

Zaprzeczył ruchem głowy. Dopiero po dłuższym czasie i wielu korowodach wydobyłem zeń przyczynę rozpacz i dowiedziałem się, co zaszło.

O zwykłej porze, pod wieczór, zjawił się w cukierence i zjadłszy, jak zwykle, placek czereśniowy, zaczął wręczać swej bogdancie dary urodzinowe. Najpierw wręczył jej mały bukietik róż; podziękowała przyjaznym spojrzeniem i natychmiast przyniosła szklankę z wodą, w której umieściła róże. Potem wręczył jej swą kompozycję i półgłosem zanucił pieśń. Słuchała uważnie, potem podała mu rękę i serdecznym tonem powiedziała:

— Dziękuję panu uprzejmie za piękne kwiaty i śliczną piosenkę. Kwiaty i śpiew to największa radość, która, niestety, tak rzadko spotyka mnie w życiu...

<sup>39</sup>antykwarnia — dziś: antykwariat. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>tlić — dziś popr.: tlić się. [przypis edytorski]

Przez dłuższą chwilę nie wypuszczał jej ręki z swojej dłoni, a potem, ośmielony serdecznością jej słów, wyjął z kieszeni pudełko z broszką i podał jej.

— Oto jeszcze coś dla pani — rzekł — skromny upominek... byłbym szczęśliwy, gdyby pani raczyła go przyjąć i nosić...

Spojrzała na niego zdziwiona, przez chwilę wahała się, czy ma otworzyć pudełko, a kiedy to wreszcie zrobiła i ujrzała błysk złota, rzuciła broszkę na stół, jakby dotknęła się żarzącego metalu.

— Dlaczego pan tak postąpił? — rzekła i szybko wstała z krzesła. — Nie zasłużyłam sobie na takie traktowanie. Zdaje mi się, że nie zachowałam się wobec pana tak, abys się ośmielił mi ofiarować coś takiego. Widzę, że omyliłam się bardzo, uważając pa za człowieka nie takiego jak inni. I pan nie zastanowił się, że mnie to obraża? Tylko dlatego, że jestem biedna? Nie przeczę, że bardzo mnie to boli, iż właśnie ze strony pana mnie to spotyka... A teraz proszę: opuść mnie pan natychmiast, i to raz na zawsze!

Po tych słowach wręczyła mu manuskrypt pieśni i i kwiaty i mimo jego próśb i zaklęć opuściła nie tylko izdebkę, ale również i sklep.

Na próżno oczekiwał jej powrotu. Siedział przeszło godzinę, pogrążony w rozpaczy — potem zapłacił za placek grubej gospodyni, która po pewnym czasie zjawiła się za ladą — i wybiegł na ulicę, zmiął i podarł na kawałki manuskrypt, cisnął na środek jezdni bukiet róż.

— I oto masz twą broszkę — zakończył swą relację Sebastian — to nieszczęsne złoto, które spowodowało całą katastrofę. Weź je, podaruj, komu chcesz...

— To wszystko? — rzekłem spokojnie, gdy zamilkł.

Zerwał się z fotela.

— Widzę, że mógłbym być sobie zaoszczędzić przyjścia do ciebie. Dobranoc.

— Czekaj! — zawołałem. — Bądź rad, że przynajmniej jeden z nas zachowuje równowagę i może zebrać myśli. Cała ta historia z broszką to drobnostka. Bóg raczy wiedzieć, dlaczego jej nie przyjęła. Nie widzę powodu do rozpaczy. Przeciwnie: przekonuję się, że jest to zacna, czysta osoba, której nie przekupisz świecidełkami. Jestem pewien, że jeśli jutro pójdziesz do niej, tak jak gdyby nic nie zaszło, i wytłumaczysz jej...

— Zapominasz, że zabroniła mi...

— Głupstwo! Założę się, że ona już teraz żałuje. Tak wiernego chłopca nie tak prędko znajdzie! Jestem pewien, że gdybyś przestał co dzień przychodzić do cukierenki, poczęłyby za tobie tęsknić. Znam ja kobiety! — zakończyłem, nie zdając sobie oczywiście sprawy, jak śmieszne są takie słowa w ustach siedemnastoletniego sztubaka.

— Mógłbyś mi wyświadczyć wielką przysługę... — rzekł Sebastian po dłuższym wpatrywaniu się w lampę. — Gdybyś jutro poszedł do niej ze mną... gdybyś jej w moim imieniu wytłumaczył...

— Niech i tak będzie! Powiem jej takie rzeczy, które by z kamienia lzy wycisnęły...

Z pewną ulgą, a jednak mimo to bardzo przygnębiony, uściśnął moją rękę i opuścił pokój.

\*

Ułożyłem sobie piękne i wzruszające przemówienie, gdyśmy wieczorom następnego dnia rozpoczęli wspólną wędrówkę; mój przyjaciel nie przeszkadzał mi w układaniu tej oracji, gdyż szedł obok mnie w milczeniu. Gdy zbliżyliśmy się do cukierni, dojrzałem, że zaczyna drzeć.

Również i ja nie byłem zupełnie spokojny. Miałem ją ujrzeć po tak długim niewidzeniu i wygłosić przemówienie na rzecz mego przyjaciela — uświadamiałem sobie, że nie lada zadania się podejmuję...

Gdy weszliśmy do cukierni, nie była sama. Po raz pierwszy zastaliśmy jakiegoś eleganckiego pana, który przysunął krzesło tuż do lady i widocznie umizgał się do pięknej sprzedawczyni. Smagła twarz Sebastiana na ten widok pociemniała bardziej jeszcze, choć spokój na twarzy dziewczyny i jej krótkie, chłodne odpowiedzi dowodziły, że rozmowa z tym lowelasem nie sprawia jej żadnej przyjemności.

— Już sobie z nim damy radę — szepnąłem, zamówiłem wino i ciastka i wraz z milczącym towarzyszem usadowiłem się na kanapie w izdebce za sklepem.

Ale obcy pan, który teraz przyciszonym głosem rozmawiał z Lotką, nie miał widać wcale ochoty ustąpić z pola. Mogłem go spokojnie obserwować. Miał krótko ostrzyżoną głowę, rudawe, już siwiejące kępkę włosów wzdłuż policzków, na grubym nosie złote okulary; twarz ta była odrażająca. Właśnie przemyślałem, jak by pozbyć się stąd natręta, gdy uczułem ból w ramieniu: to palce Sebastiana wbiły się kurczowo w moje ciało.

— Czy zwariowałeś? — rzekłem.

Zamiast odpowiedzi wskazał ręką na ladę, po czym nruknął:

— Bezcelność! Nie dopuszczę, aby po raz drugi...

Obcy pochylił się nad ladą i ujął ręką dziewczynę pod brodę. Mój przyjaciel skoczył do sklepu i stanął obok jegomościa. Oczy jego płonęły, a twarz była czerwona jak burak.

— Jak pan śmie? — krzyknął. — Jakim prawem odważa się pan dotknąć dziewczynę, która...

Był tak wzburzony, że nie mógł z gardła dobyć głosu, by dokończyć zdania. Stał z groźnie wyciągniętą ręką przed nieznanym, który cofnął się o krok i mierzył niespodziewanego obrońcę cnoty kelnerki wzrokiem na poły zdziwionym, na poły kpiącym.

— Widocznie nie służy panu czerwone wino, młody przyjacielu — rzekł nieznanomy.

— Idź pan do domu i przestań pleść głupstwa. Zwracam panu uwagę, że kto inny zareagowałby energiczniej na pańskie zuchwałe wścibstwo... Co to chciałem powiedzieć, Lotko? Zwrócił się do dziewczyny, która blada, z zamkniętymi oczyma stała oparta o ścianę.

Podszedłem do Sebastiana i szepnąłem mu, aby się dobrze zastanowił, zanim coś powie lub uczyni. Mój przyjaciel nie zwrócił wcale na mnie uwagi. Przemówił natomiast do Lotki:

— Chciałbym tylko zapytać panią, czy dzieje się to za jej wolą, że ten pan ośmiela się zachowywać tak nieprzyzwoicie, czy pani zna go tak dobrze, iż wolno mu nazywać ją po imieniu i czy w ogóle sprawia pani przyjemność towarzystwo tego człowieka...

Nie odpowiedziała. Spojrzała tylko na mego przyjaciela takim wzrokiem, jakby go błagała, by dał pokój dalszym badaniom. Sebastian jednak wzroku tego nie zrozumiał.

— Kim jeat ten młodzieniec, który tu gra rolę twego rycerza, Lotko? — rzekł obcy.

— Zaczynam rozumieć, że zmaćilem tkliwy stosunek. Żałuję bardzo, ale chcę ci poradzić, moje dziecko, byś na przyszłość była wybredniejsza w wyborze swych wielbicieli. Deklamacje sztubaków są niekiedy bardzo mile, prowadzą jednak do zgoła niepożądanych następstw. Ile jestem winien?

Rzucił na ladę talara.

— Resztę otrzymam innym razem. Nie chcę dziś przeszkadzać...

Wziął kapelusz i ruszył w stronę drzwi.

Sebastian zastąpił mu drogę.

— Nie puszczę pana — rzekł — zanim pan w mej obecności nie przeprosi panny Lotki i nie da słowa, że więcej pan nie dopuści się wobec niej podobnego nietaktu. Spodziewam się, że pan mnie zrozumiał.

— Zupełnie, mój młody chłopcze — rzekł obcy głosem wzburzonym. — Zrozumiałem, że pan jest marzycielem; nie mającym jeszcze pojęcia o życiu. Cenię w panu entuzjazm młodzieńczy, ale proszę, niech się pan odczepi i nie prowokuje mnie, gdyż w przeciwnym razie...

Uczynił swą laseczką niedwuznaczny ruch. Wtedy uznałem, że najwyższy jest czas, bym położył kres tej scenie. Przystąpiłem i rzekłem:

— Mój panie, proszę o pański bilet. Omówimy tę sprawę na innym miejscu.

Roześmiał się głośno, wyjął z portfela swą wizytówkę i głęboko się kłaniając, wręczył mi ją. Potem poufale skinął głową dziewczynie i wcisnąwszy kapelusz głęboko na czoło wyszedł z cukierni.

Dopiero po pewnym czasie zdołałem ochłonąć z wrażenia i przemówiłem do Lotki, nieruchomo stojącej od ściany:

— Na miłość boską, kim jest ten człowiek? Jakim prawem tak się wobec pani zachowuje? Czy zna go pani od dawna? Błagam panią — dodałem szeptem — przemów pani. Wszak widzisz, jak piorunujące wrażenie wywarło to wszystko na moim przyjacielu, może pani sobie nie zdaje sprawy, że osoba jej jest dla niego nietykalną, świętą...

Sebastian, który dotychczas stał jakby gromem rażony, poruszył się nagle, podszedł do lady i rzekł ochryplym głosem:

— Tylko jedno słowo, Lotko... Czy zna pani tego zuchwalca? Czy dała mu pani kiedy powód do takiego zachowania się wobec siebie? Tak czy nie, Lotko?

Milczała. Widziałem wyraźnie, że z jej zamkniętych oczu spływają dwie wielkie łzy.

— Tak czy nie, Lotko? — powtórzył Sebastian natarczywiej. — Nie chcę wiedzieć nic więcej. Niech pani nie sądzi, że pierwszy z brzegu łobuz mógłby zachwiać moją wiarę w panią. Ale dlaczego pani go nie ofuknęła? Dlaczego pani milczy teraz?

Zadrżała na całym ciele.

— Proszę pana — rzekła ledwo dosłyszalnym głosem — niech pan o nic więcej nie pyta... niech pan odejdzie i nie wraca nigdy... Jeśli to pana uspokoi, zapewniam pana... jestem niewinna... ale taka nieszczęśliwa... Proszę wierzyć: byłoby lepiej, gdybym była winna... Idź pan, dziękuję panu za wszystko... ale idź pan i zapomnij, że istnieję na świecie...

— Lotko! — krzyknął i chciał się do niej zbliżyć.

Ona jednak wyciągnęła ręce i broniła przystępu za ladę.

Zdawałem sobie sprawę, że zarówno dziewczyna, jak i mój przyjaciel zanadto są w tej chwili podnieceni, by mogli spokojnie ze sobą pomówić; toteż oświadczyłem, że jutro wrócimy, i wprowadziłem Sebastiana z cukierni.

Szliśmy obok siebie w milczeniu. Nie mogłem przecież Sebastianowi wyznać, że cała ta scena głęboko wstrząsnęła moją wiarą w dziewczynę.

Dopiero przed moim mieszkaniem odezwał się Sebastian:

— Musisz mi wyświadczyć przysługę i jutro rano pójść do niego... Daję ci całkowite pełnomocnictwo.

(Odczytaliśmy na wizytówce nazwisko; człowiek ten był asesorem sądowym; adres był wydrukowany na bilecie).

— Słuchaj — rzekłem — rozumie się, że jestem, gotów do wszelkich usług, ale nie byłem jeszcze nigdy sekundantem... prawdopodobnie nie obejdzie się tu bez pistoletów... Gdybyś miał kogoś lepiej się na tych sprawach rozumiejącego... zważ, że wobec tego człowieka traktującego nas jak uczniów trzeba wystąpić z całą powagą.

— Masz rację. Ale nie mogę przecież wtajemniczać trzeciej osoby w tę sprawę. Możliwe, że ten człowiek złoży jakieś zeznania, powie jakieś oszczerstwa... Musi to pozostać między nami... Będę jutro całe rano w domu. Wprost od niego przyjdiesz do mnie, dobrze?

Obiecałem mu to i rozstaliśmy się.

Co moi rodzice o mnie pomyśleli, gdy przy kolacji na wszystkie pytania udzielałem bezsensownych odpowiedzi — nie wiem.

Tej nocy spałem bardzo niewiele. Myślałem o tym, co niebawem zajdzie, słyszałem strzały rewolwerowe, widziałem mego przyjaciela padającego na ziemię. Przemysliwałem również wiele nad Lotką i upewniałem się coraz więcej w przekonaniu, że dziewczyna ta nie jest warta, by pocziwy chłopak narażał dla niej życie.

O świcie byłem już na nogach. Ubrałem się bardzo starannie, włożyłem czarne ubranie i wzięłem nowe rękawiczki. Zajrawszy do lustra nabrałem przekonania, że wyglądam bardzo uroczyście i poważnie.

O godzinie dziewiątej wybrałem się w drogę. Dozorca domu, w którym mieszkał nasz przeciwnik, powiedział mi, że o tej porze jeszcze za wcześnie do pana asesora, gdyż zwykle wstaje o wiele później. Mimo to zadzwoniłem do drzwi jego mieszkania. Otworzył lokaj, który mnie wprowadził do eleganckiego gabinetu i poprosił, bym poczekał, aż pan asesor się ubierze.

Im dłużej czekałem, tym głupszą mi się wydawała moja sytuacja. Porównywałem wytworny gabinet z gołymi ścianami pokoiku mego przyjaciela — i dochodziłem do wniosku, że wdaliśmy się w bardzo nierówną grę. Z jednej strony człowiek dojrzały, na stanowisku — z drugiej dwaj chłopcy przykuci jeszcze do ławy szkolnej... Czułem, że odgrywam bardzo niewdzięczną rolę i mimo mego młodzieńczego idealizmu byłem mocno strapiony prozaiczną rzeczywistością, którą teraz coraz wyraźniej sobie uświadamiałem.

Po dziesięciu minutach otworzyły się drzwi i ukazała się w nich twarz pana asesora, który mnie poprosił, bym cierpliwie czekał; niebawem ukończy swą toaletę... na stole są

papierosy...

Po pięciu minutach wszedł, powitał mnie uściskiem dłoni, jakby starego znajomego, i poprosił, bym obok niego usiadł na otomanie. Musiałem zapalić papierosa, odmówiłem jednak spożycia śniadania, które lokaj wniósł na srebrnej tacy. Nalewając sobie herbaty pan asesor począł mówić:

— Bardzo mi miło, że pan mnie odwiedził, domyślałam się, co pana do mnie sprowadza, i muszę wyznać, że wczorajsza scena, której zawdzięczam poznanie pana, wywarła na mnie fatalne wrażenie. Pojmie pan, że nie należy do rzeczy przyjemnych, gdy jakiś młodzieniec napadnie i obrzuci człowieka inwektywami. Ale znam na tyle ludzi, że mogę sobie wyobrazić przyczyny tego zajścia. Pański przyjaciel jest po prostu zadurzony w dziewczynie, czemu zresztą zupełnie się nie dziwię. Przeczytał kilka romansów i zdaje mu się, że poznał świat i ludzi. Ta iluzja zwykle kończy się rozczarowaniem... Ale cóż to mnie właściwie obchodzi? Bardzo mi przykro, że zmaćilem idyllę... Sądzę, że pański przyjaciel zadowolony jest tym oświadczeniem; zresztą życzę mu przyjemnych marzeń i możliwie łagodnego przebudzenia się... Ale pański papieros źle się pali, może pan pozwoli innego?... Na jaki fakultet uczęszcza pan?

Czułem, że się rumienię. Przez sekundę zastanawiałem się, czy mam wyznać prawdę.

— Jesteśmy jeszcze w ósmej klasie gimnazjalnej — rzekłem.

— Tacy młodzi — rzekł, potrząsając dobrodusznie głową — a już tacy donżuani? Rokuje pan piękne nadzieje, mój młody przyjacielu...

— Proszę wybaczyć — przerwałem — ale muszę raz jeszcze poruszyć wiadomą sprawę. Mój przyjaciel poważnie kocha tę pannę i czuje się obrażony lekceważącym traktowaniem jej przez pana. Sądzę, że zadowoliliby się pisemnym oświadczeniem ze strony pańskiej, iż żałuje pan swego nietaktu wobec panny Lotki. W przeciwnym bowiem razie...

Spojrzał na mnie z ukosa, tak dziwnie, że przerwałem swe wywody.

— Czy pan mówi to na serio? — rzekł. — Wygląda pan na zbyt rozsądnego chłopca, bym mógł uwierzyć, że godzi się pan z tym zleceniem swego przyjaciela. Moje „zachowanie się” wobec panny Lotki? Nie, mój drogi, nie mam zgoła chęci ośmieszania się. Czy zastanowił się pan nad swą propozycją? Cenię poczucie honoru pańskiego przyjaciela, ale czy na serio ten student przypuszcza, że otrzyma ode mnie satysfakcję za to, że w cukierni kelnerkę pogłaskałem po buzi...

Począł się głośno śmiać.

— Wątpię — rzekłem, wstając z otomany — czy taka odpowiedź wystarczy memu przyjacielowi. Gdyby pan przynajmniej oświadczył, że nie wie pan nic o pannie Lotce, co by rzucało cię na jej dobrą sławę...

— Niech pan siada i wysłucha — przerwał. — Widzę, jak poważnie pan rzecz traktuje, toteż winienem panu całą prawdę powiedzieć. Czynię to zresztą również w interesie pańskiego przyjaciela, aby sprawy nie brał tragicznie i w końcu nie popełnił jakiegoś głupstwa. Przed przeszło dziesięć laty miałem przyjaciółkę... Była to przepiękna kobieta, którą uwiódł jakiś szlachcic i zostawił z dzieckiem na bruku... Kobieta ta zdołała się szybko pocieszyć, otoczyła się rojem wielbicieli, żyła zbytkownie, urzędowała huczne przyjęcia dla tak zwanej złotej młodzieży, utrzymywała tajny dom gry; przypominam sobie, jak dziwne na mnie wywarło wrażenie, gdy pierwszego wieczora, wprowadzony świeżo do salonu tej damy, ujrzałem przy stole około ośmioletnią dziewczynkę wpatrzoną zaspianymi oczętami w złoto, rozglądającą się obojętnie po twarzach graczy... Pamiętam, że dla żartu dawano tej dziewczynce pić szampana, aż zasypiała na kanapie wśród śmiechu, brzęku złota i bardzo frywolnych rozmów. Żał mi było biednego dziecka; widziałem, że odnosi się z wielkim lekceważeniem do własnej matki, która się zresztą wcale nie krępowała obecnością swej córki. Po kilku latach zerwałem stosunek z matką i słyszałem potem od osób trzecich, że nadal pędzi ten sam sposób życia, tylko że nie polega więcej na uroku własnej, przekwitłej już piękności, a posługuje się młodszymi pomocnicami... Pytałem też o córkę, ale nikt mi o niej nie mógł nic powiedzieć...

Wczoraj przypadkowo przechodzę ulicą, w której znajduje się ta nędzna cukierenka, i widzę jakąś damę wsiadającą do dorożki stojącej przed samą cukiernią. Kelnerka właśnie wynosi ze sklepu paczki i torebki i wręcza je owej damie. Proszę sobie wyobrazić moje zdziwienie, gdy w tej kelnerce poznałem owo dziecko, które przed dziesięć laty zasypiało

Kobieta "upadła"

w szulerni, gdzie złota młodzież spędzała wesołe noce... Ponieważ nie miałem nic lepszego do roboty, wszedłem do cukierni, przypomniałem jej naszą znajomość i byłem bardzo zdziwiony, że była w tym samym stopniu nieprzystępna, w jakim jej matka była zawsze... jak by to powiedzieć, uprzedzająco grzeczna. Jako prawnik i sędzia mam wielką rutynę w przesłuchiwanie ludzi, mimo to nie zdołałem z niej wydobyć więcej niż to, że przed trzema laty rozstała się z matką. Co w tych trzech latach robiła, przez ile rąk przeszła, czy udaje tylko tak zimną, czy jest nią w istocie — nie mogłem odgadnąć, zwłaszcza, że *Orlando Furioso*<sup>41</sup>, pański przyjaciel, nagle przerwał naszą rozmowę. A teraz, kiedy panu dałem te wyjaśnienia, niech pan sam powie, czy nie jest absurdalne pańskie żądanie, abym tej panience wystawił świadectwo moralności lub bym pojedynkował się z obrońcą cnoty panny Lotki, a pańskim przyjacielem.

Mój drogi, jeśli ma pan wpływ na swego przyjaciela, proszę go ostrzec, by się nie posuwał zbyt daleko. Bo gdyby nawet córka była zupełnie niewinna, to czyż życie matki nie rzuca na nią pewnego cienia? Pański przyjaciel jest synem przyzwoitych rodziców. Przelotna miłostka... *à la bonne heure!*<sup>42</sup> Ale przejmować się, dobywać pałasza... *allons donc!*<sup>43</sup> Spodziewam się, że wyperswadowuje mu pan to wszystko. A teraz proszę wybaczyć, mam termin w sądzie i nie wolno mi być niepunktualnym.

Wstał, zadzwonił na służącego i pożegnał się ze mną z wielką serdecznością. Schodziłem ze schodów jak pijany.

\*

Dopiero w godzinę potem — długo kołowałem po przedmieściach, by jako tako oprzytomnieć — zapukałem do drzwi pokoiku Sebastiana. Zastałem go leżącego w ubraniu na kanapie; z rozmiarzonej czupryny i pogniecionego ubrania wywnioskowałem, że w tej pozycji spędził całą noc.

Zanim mogłem się odezwać, podał mi list leżący obok niego na krześle. List ten przyniósł mi wczesny rankiem jakiś chłopak.

Nie pamiętam już oczywiście dosłownie tego listu. Treść jego była mniej więcej taka: „Zaledwo mnie pan opuścił, gdy uświadomiłam sobie, że zajście, którego byłam przyczyną, może spowodować straszne następstwa. Piszę, by pana prosić, by zakląć pana, jeśli pańskie uczucia dla mnie są szczerze, abyś zaprzestał wszelkich dalszych kroków w tej nieszczęsnej sprawie. Niech pan wierzy: nie jestem warta (słowa te były dwa razy podkreślone), byś się dla mnie poświęcał. Jestem biedną, nieszczęśliwą istotą, a wyzwolić mnie może tylko śmierć. Nie umrę jednak tak prędko; bądź pan o to spokojny. Spróbuję gdzieś urządzić sobie życie w ten sposób, by mnie moja fatalność nie prześladowała na każdym kroku. Dziękuję panu za jego dobroć i miłość; nie zapomnę pana nigdy... Niech pan nie stara się mnie odnaleźć. Jestem zdecydowana nie zobaczyć pana więcej nigdy, zwiększyłby pan tylko mój ból, gdybyś pan nie uszanował mej prośby i starał wymusić spotkanie”.

List nie miał ani nagłówka, ani podpisu, pismo było czytelne i żaden wyraz nie był błędnie napisany.

W milczeniu zwróciłem mu list; nie chciałem od razu wyznać, że w danych warunkach najwłaściwsze jest stanowcze zerwanie. Potem jednak zrozumiałem, że w całym liście nic dla niego nie jest tak ważne, jak wzmianka o tym, że go nie zapomni. Wszystko inne było mu obojętne.

Toteż uznałem za wskazane jasno postawić sprawę i opowiedziałem mu swą rozmowę z asesorem. Ku memu zdziwieniu nie wywarło to na nim tak piorunującego wrażenia, jak się obawiałem.

— Sam przypuszczałem coś takiego — rzekł, gdy skończyłem moją relację. — Żałuję, ale wszystko to nie może zmienić moich uczuć; przeciwnie: moja miłość jest teraz jeszcze głębsza, bo dołącza się do niej wielki respekt, jaki mam dla Lotki, że stara się wydostać z bagna i usamodzielnąć. Cenię ją też za to, że ma odwagę i stawia czoło nieszczęściu, które przecież nie z jej winy hańbi jej nazwisko. Wiem, że nie bez walki zdołałam osiągnąć

<sup>41</sup> *Orlando Furioso* (wl.) — Orland Szalony. [przypis tłumacza]

<sup>42</sup> *à la bonne heure!* (fr.) — proszę bardzo, i owszem. [przypis tłumacza]

<sup>43</sup> *allons donc!* (fr.) — cóż znówu. [przypis tłumacza]

swój cel; poświęcę dla niego wszystko: rodzinę, przyjaciół, ojczyznę. Od chwili, w której sama w liście przyznała, że nie jestem jej całkiem obojętny, nie powstrzymają mnie żadne przeszkody; mam nadzieję, że zdołam jej powetować krzywdy wyrządzone przez fatalny los.

Mówił z takim przejęciem i entuzjazmem, że jego odwaga porwała również i mnie; nie tylko nie wystąpiłem z zastrzeżeniami, które sobie po drodze w myśli wystylizowałem, ale nabrałem przekonania, że jedynie ważną rzeczą jest teraz odszukanie dziewczyny i przeszkodzenie jej w wykonaniu tych planów, o których pisała w liście.

Siadłem do dorożki i kazałem się zawieźć do cukierenki. Sebastiana zostawiłem w domu; powiedziałem, że wobec jej zakazu nie ma prawa szukać jej, mnie natomiast jej zakaz nie dotyczy.

Postanowiliśmy, że spotkamy się w południe. Niestety, wróciłem z kiepskimi wiadomościami. Właścicielka cukierni dowiedziała się o zniknięciu swej kelnerki rano, gdy na ladzie zastała krótki list Lotki. W sąsiedztwie nikt nie zauważył, kiedy i dokąd się oddaliła. Zastawiła niemal wszystkie swoje rzeczy z wyjątkiem kilku sztuk bielizny i małej walizki. Właścicielka sklepu powiadomiła policję o zniknięciu Lotki, lecz i to nie doprowadziło do odnalezienia zaginionej.

Dopiero teraz nastąpił u mego przyjaciela silny wybuch rozpacz. Zachowywał się początkowo tak, że lękałem się o jego zdrowie. Po raz pierwszy w życiu miałem przed sobą żywiołowe zmagania prawdziwej i głębokiej namiętności.

Pozostałem u niego przez cały dzień i część nocy; dopiero gdy stwierdziłem, że jest zupełnie wyczerpany — nie zmrzążył oczu poprzedniej nocy — opuściłem go, zresztą na jego nalegania; poleciłem jednak gospodyni, by od czasu do czasu zaglądała do jego pokoju, gdyż jest ciężko chory. Wiedziałem, że nie ma broni przy sobie; spodziewałem się, że sen go pokrzepi i nieco uspokoi.

Następnego poranku nie zastałem w domu spokoju; robiłem sobie wyrzuty, że zostawiłem go samego; ubrałem się pośpiesznie i czym prędzej udałem się do jego mieszkania.

Nie zastałem go. Gospodyni wręczyła mi krótki list: donosił, że wyjeżdża na jakiś czas. Nie spocznie, aż ją znajdzie; obiecuje, że nie zrobi żadnego szaleństwa, gdyż zdaje sobie sprawę z innych swych obowiązków; prosi, bym spokojnie oczekiwał jego powrotu.

Gospodyni, żona krawca, opowiedziała mi, że o świcie spakował swą walizkę i pożegnał się. W nocy przespał kilka godzin.

Musiałem się z tym faktem pogodzić. Niebawem i ja też wyjechałem; spędziłem z rodzicami kilka tygodni na wsi. Pisywałem kilkakrotnie listy i wysyłałem je pod jego adresem; nie otrzymałem jednak odpowiedzi. Toteż gdy po powrocie z wakacji udałem się do jego mieszkania, byłem pewien, że go nie zastanę. Jakież było moje zdziwienie, gdy sam otworzył mi drzwi! Miał wciąż jeszcze zatroskaną twarz, ale nie było na niej owego wyrazu chorobliwej rozpacz, która mnie tak przeraziła przed kilku tygodniami.

Domyśliłem się od razu, że Lotki nie znalazł. Owładnęła nim jakaś obojętność pełna melancholii; na wszystko się zgadzał, co mu proponowano, ale co najdziwniejsze: zamiłowanie do muzyki zupełnie go opuściło. Nigdy więcej nie zanucił melodii, nigdy nie wspomniął o nowych kompozycjach; najchętniej wyrzekłby się udzielania lekcji, gdyby miał inne środki utrzymania.

Zasadniczy akord jego duszy był nieuleczalnie rozstrojony; pękła struna, której nie sposób było uzupełnić...

Gdy następnego roku zapisaliśmy się na uniwersytet, widywaliśmy się niemal codziennie. Uczęszczał pilnie na wykłady i wyrabiał się na bardzo poważnego prawnika.

Niespodziewanie zaszły wypadki, które znowu otworzyły wszystkie zabliznione już — jak się zdawało — rany.

Opowiem wszystko pokrótce w kolejności zdarzeń, a nie tak, jak się od niego w długich przerwach dowiadywałem.

\*

Było to w czas Bożego Narodzenia. Zamiast pojechać do rodziców Sebastian został w mieście; chciał ferie świąteczne wyzyskać dla nauki; przygotowywał się właśnie do eg-

zaminu. Na próżno starałem się go nakłonić, by przyjął zaproszenie do nas na wieczór wigilijny. Unikał towarzystwa, a gdy przypadkowo znalazł się w większym gronie osób — zwłaszcza gdy były kobiety — milczał zawzięcie i raził wprost ponurym wyrazem twarzy.

Owego 24 grudnia przesiedział cały dzień w pokoju przy pracy; około piątej, gdy już poczynało się ściemniać, oświadczył gospodyni, że wychodzi na krótką przechadzkę; wróci za godzinę, by dalej pracować.

Gdy znalazł się na ulicy, orzeźwiło go zimne, świeże powietrze. Mróz, panujący w ostatnich dniach, zelżał, padał gęsty śnieg.

Powoli szedł głównymi ulicami miasta. Ruch był jeszcze bardzo wielki; czyniono ostatnie zakupy przedświąteczne. Tu i ówdzie pojawiały się w oknach światełka na choinkach. Samotny student przemykał się między ciżbą, nie odczuwając wcale nostalgii, która opanowuje każdego, jeśli nie może wieczoru wigilijnego spędzić w towarzystwie bliskich mu i drogich osób. Przed kilku dniami wysłał pocztą dla rodziców i rodzeństwa kilka upominków; sam zaś nie spodziewał się ich od nikogo. Nie przywiązywał zresztą żadnej wagi do takich zewnętrznych objawów uczucia, odkąd stracił jedyną istotę, która zdołała rozpuścić w nim burzę namiętności.

Na wielkim placu znajdowało się mnóstwo bud i stołów, na których porozmieszczane były świecidełka ozdabiające choinki, mnóstwo tanich zabawek, lalek i innych przedmiotów uszczęśliwiających dzieci. Nagle Sebastian zobaczył coś bardzo interesującego. Oto przed jedną z bud stała dama w eleganckim futrze i gęstej woalce na twarzy; mufkę położyła na stole i rękami zgarniała różne zabawki; rozdawała je dzieciom, które z wszystkich stron placu zbiegały się w coraz większej ilości i radosnymi okrzykami kwitowały podarunki nieznaney, a tak szczodrej damy.

— Ile mam zapłacić za wszystko? — zapytała wreszcie dama otyłą handlarkę, rozdawaną tym niespodziewanym pozbyciem się całego zapasu świątecznych podarunków.

Sebastian, zaintrygowany tą sceną, podszedł bliżej. Głos damy podziałał na niego jakby silny prąd elektryczny.

— Lotka! — szepnął.

Dama szybko obróciła się i podała mu rękę.

— To pan! — rzekła nie zdradzając szczególniejszego przejęcia się. — Nie myślałam, że ujrzę pana jeszcze kiedyś. Tym bardziej jestem temu rada... Dokąd pan teraz idzie? Czy oczekują pana gdzieś wieczorem? Więc proszę mi podać ramię. I ja też jestem wolna, zupełnie wolna... — dodała z naciskiem. — To tak pięknie przechadzać się, gdy śnieg pada, i oglądać tyle szczęśliwych twarzy. Czy nie zgadza się pan ze mną?

Nie odpowiedział. Niespodziewane spotkanie formalnie odurzyło go; sposób, w jaki się poruszała i mówiła, był mu obcy. Wsunęła rękę pod jego ramię, gdy dawniej unikała wszelkiego zetknięcia, i szła obok niego, jeszcze piękniejsza niż ongiś.

— Panno Lotko... — rzekł wreszcie. — Nie wie pani... nie uwierzyłaby pani... jak szukałem, jak starałem się.

— Dlaczego nie miałabym wierzyć? — odparła spokojnie, nie patrząc na niego. — Czy sądzi pan, że nie wiedziałam, że jest pan jedynym na świecie człowiekiem, który mnie naprawdę kocha? Właśnie dlatego musiałam się rozstać z panem. Zasługuje pan za swą dobroć i miłość na coś lepszego niż nieszczęście, którego bym panu przysporzyła. Dosyć, że jedna egzystencja idzie na marne... Ale po co mówić o tak smutnych rzeczach? Proszę mi powiedzieć, jak się panu przez ten czas powodziło. Wie pan: wygląda pan jeszcze lepiej niż wtedy... Zmężniał pan, spoważniał, a ma pan przy tym wciąż te same niewinne oczy, pasujące raczej do twarzy dziewczęcej...

Zamilkła i jakby pogrążona we wspomnieniach szła u jego boku.

— Proszę wybaczyć — rzekła wreszcie — że może o zbyt wiele rzeczy pytam. Ale nie przeczuwa pan nawet, jak długo milczałam; właściwie zawsze... odkąd rozstaliśmy się. Natomiast wiele myślałam... Z tym jednak uporałam się i odtąd jestem zupełnie szczęśliwa. Nie od dawna; właściwie od dziś rana; przedniej nocy jeszcze trapiły mnie straszne myśli. Powiedziałam sobie jednak: musisz z tym skończyć! Nie można żyć, gdy się jest nękaną takimi myślami! Ulżyło mi to... i oto: mogę znowu mówić... Ale pan za to oniemiał, jak widzę... Dlaczego? Czy nie cieszy się pan, że idziemy ze sobą i śnieg pokrywa wszystko bielą i tyle ludzi śpieszy do domów, by radować się światłem i śpiewem, weselić się i wzajem się obdarowywać? I ja chciałam sobie zrobić święto i oddać kilka



ostatnich moich talarów na improwizowaną wilię. Widział pan, w jaki sposób ten pomysł zrealizowałam. Ale nie powiem, by mi się to całkowicie udało. Rozdawanie upominków sprawia przyjemność tylko wtedy, gdy się kocha tych, których się obdarowuje. Żałuję teraz, że nie mam więcej pieniędzy. Chętnie bym i panu też coś podarowała.

— Lotko — rzekł — najpiękniejszym darem jest to, że panią odszukałem... że pani jest taka dla mnie serdeczna... że pani wie, jak bardzo kocham...

— Cicho! — przerwała. — Nie należy o tym mówić. Bo sytuacja nasza jest dziś tak samo smutna jak wówczas i tak samo beznadziejna...

Przystanął i wlepił w nią oczy.

— Beznadziejna? — rzekł głucho. — Ale czy wiadomo ci, że ja wiem o wszystkim? Że robię sobie z tego tyle co z historii rozgrywającej się na księżycu? Że nie dbam o nikogo na świecie, a gdyby nawet mój ojciec i moja matka...

— Na miłość boską, nie kończ pan! — krzyknęła i położyła mu rękę na usta. — Nie zdaje pan sobie sprawy, co chciałeś powiedzieć, jak okropne to jest i jak bardzo kiedyś żałowałbyś tych słów... Ma pan matkę, którą wolno ci kochać i szanować, matkę, która cię kocha i jest dumna z ciebie: miałabyś jej przysporzyć zgryzoty i hańby... Gdybyś pan mógł się zastanowić, co to znaczy... ale nie mówmy więcej o tym. Chodźmy! Muszę się przyznać, że jestem głodna. Od wczorajszego wieczoru nie jadłam. Ze wstępu... Myślałam, że nigdy więcej bez odrazy nie będę mogła przełknąć kęsa chleba... Ale to nasze nagłe spotkanie przejmuje mnie taką radością... Niech mnie pan zaprowadzi do jakiejś restauracji. Będziemy mogli przez kilka godzin porozmawiać z sobą swobodnie; ale będzie pan musiał za mnie zapłacić; jak już wspomniałam, ostatni grosz wydałam na zabawki dla dzieci.

Zaprowadził ją do małej restauracyjki, która — jak się spodziewał — tego wieczora była niemal pusta. W kącie sali siedział tylko stary kelner i drzemał.

Ze zdziwieniem spoglądał na parę, która zablądziła w wieczór wigilijny do tego skromnego, przeważnie przez studentów odwiedzanego lokalu, i oddalił się, by z kuchni przynieść zamówione przez Sebastiana potrawy.

— Uważa nas za rodzeństwo — szepnęła Lotka.

— Albo za parę małżeńską w podróży poślubnej... — odparł Sebastian i ujął jej rękę.

Odpowiedziała serdecznym uściskiem dłoni.

— Jest tu bardzo pięknie — rzekła. — Bardzo się cieszę, że jeszcze raz mogę być z panem, zanim...

— Co? — zapytał przerażony. — Chyba nie mówi pani na serio, że to ostatni raz...

— Niech pan mnie o nic nie pyta. I niech się pan zupełnie o mnie nie niepokoi. Wtedy, gdy napisałam do pana, nie wiedziałam jeszcze, co z sobą począć. Tylko kilka pierwszych tygodni spędziłam spokojnie. Podczas gdy pan, a też i inni, szukali mnie, siedziałam w pobliżu cukierenki, na poddaszu, w małej izdebce u starej przyjaciółki, jedynej, którą miałam; była to szwaczka, suchotnica, kupowała u nas często karmelki słodowe i polubiła mnie, gdyż czasem raczyła biedaczkę ciastkami. Bywały tygodnie, w których nie mogła zupełnie pracować. Owej nocy zapukałam do drzwi jej pokoiku i pozostałam u niej przez dłuższy czas; pomagałam jej w robocie i gotowałam dla nas na małej kuchence; wreszcie nie mogłam dłużej wytrzymać w tej ciasnocie, u kaszlącej wciąż suchotnicy. Miałam niewielkie oszczędności, chciałam przedostać się przez granicę do Francji, gdzie mnie nikt nie znał. Od dawna już o tym marzyłam; byłabym sobie jakoś dała radę. Ale po drodze zatrzymała mnie policja; coś było w moim paszporcie nie w porządku, odstawiono mnie ciupasem z powrotem do Berlina i tu... ale wolę o tym nie mówić. Czuję, że wstręt mnie znowu ogarnia, a tu podają właśnie dla nas wieczerzę wigilijną...

Nalał wina i trącił się z nią kieliszkiem.

— Może reńskie wino nie smakuje ci? — rzekł. — Czy mam kazać podać szampana?

Potrząsnęła przecząco głową.

— Nie mogłabym wypić ani kropli. Zbyt wcześnie piłam szampana, i to w złym towarzystwie. Ale proszę, jedz ze mną, bo mnie samej potrawy nie będą smakowały.

Wzięła na talerz odrobinę ryby, nie mógł jednak przełknąć ani kęsa; wciąż się wpatrywał w nią i radował, że zajada z wielkim apetytem.

— Nie dziw się — rzekła — że tyle jem; byłam bardzo głodna. Jak tu dobrze... Jak się cieszę, że raz jeszcze siedzimy obok siebie. Gdyby wszystko mogło się ułożyć inaczej

i gdybyśmy oboje mogli ruszyć razem w świat... Ale to niemożliwe; będzie ci kiedyś dobrze z inną kobietą, a jej z tobą... Nalej mi jeszcze wina. Tak... A teraz... za zdrowie twojej matki!... Więcej nie będę piła.

Wychyliła kielich do dna i rzekła:

— Chodźmy już!

Zapłacił kelnerowi i podał jej ramię. Gdy wyszli na ulicę, dostrzegli, że pada gęsty śnieg; po kilku krokach mieli twarze zupełnie mokre.

— Dokąd pójdziemy teraz? — zapytał.

— Wszystko mi jedno — odparła. — Nie mam więcej domu. Myślałam wprawdzie... Czy daleko do twego mieszkania?

— Wciąż jeszcze mieszkam tam, gdzie uczyłem się do matury... Wtedy, kiedy ciebie poznałem... Niedaleko stąd... chodźmy?

— Co powiedzą ludzie... — zastanawiała się i zwolniła kroku — co pomyślą w domu, gdy nagle sprowadzisz dziewczynę?

— Masz przecież twarz zasłoniętą woalką...

— Nie o mnie chodzi. Ja jutro będę Bóg wie gdzie, nic sobie nie robię z plotek. Ale ty... Żli ludzie mogliby donieść twojej matce... Nie chciałabym, by się martwiła...

— Nie obawiaj się. Do mojej izdebki prowadzi osobne wejście. Nikt cię nie zobaczy.

Nie mówili więcej z sobą, aż przyszli do domu.

\*

Otworzył ostrożnie drzwi. W małej izdebce panował półmrok; skąpe światło padało tylko z żarzących się węgli na kominku i z poświaty księżycy wnিকającej przez niewielkie okno.

Zarygłował drzwi i rzekł:

— Obok jest kuchnia, ale o tej porze nikogo w niej nie ma. Możemy zatem rozmawiać głośno.

Nie rzekła ani słowa, usiadła na krześle koło okna i wpatrywała się w śnieżycę szalejącą na dworze.

Gdy Sebastian podszedł do stołu i zapalił lampę naftową, zauważył pudło owinięte starannie w gruby brązowy papier i obwiązane szpagatem.

— Patrz — rzekł — oto co mi z domu przysłali na gwiazdkę. Czy nie chciałabyś zdjąć kapelusza i futra i usiąść tu na kanapie? W futrze będzie ci za gorąco.

Posłusznie zdjęła kapelusz i płaszcz futrzany.

— Czy nie otworzysz pudła? Chciałabym wiedzieć, co w nim jest.

— Nie ma pośpiechu — rzekł uśmiechając się. — Mam tu w pokoju kogoś, na kim mi więcej zależy...

— Wstydz się pan — odparła, nagle przestając mówić mu „ty”. — Niewart pan, że istnieją ludzie, którzy starają się panu zrobić przyjemność. Gdyby mnie matka posłała upominek na gwiazdkę... Proszę mi dać to pudło, otworzę je.

I poczęła szybko rozcinać scyzorykiem sznury oplatające pudło.

— Lotko — rzekł — a gdybyśmy byli w Ameryce i to pudło nam przez morze posłano...

— Nie posłano by nam wcale...

— Dlaczego, Lotko? Gdyby moja matka cię znała, tak jak ja cię znam, czy sądzisz, że nie pokochałaby cię? Ma ona naturalnie swoje przesady. Ale wiem, że bardziej niż wszystko na świecie kocha mnie...

Lotka przerwała wypakowywanie pudła, zamyśliła się i rzekła wreszcie, nie patrząc na niego:

— Czy nazywa pan to... przesadami? Czy chciałby pan jeść jabłko znalezione na ulicy w błocie? Może je pan dziesięć razy umyć, odraza jednak pozostanie. Kto wie, czy brud nie przeniknął skorupy, choć pestka wewnątrz jeszcze jest czysta... Nie, nie, nie! Tak jest, i kwita. Bardzo źle, że tak jest, ale cóż na to poradzić?

Objął ją ramieniem i rzekł:

— Lotko, to niemożliwe, by tak miało zostać. Nie możesz zmarnować twego życia dlatego tylko, że...

Kobieta "upadła", Córka,  
Matka

Przerwał; nie znalazł bowiem od razu takich wyrazów, które by jej nie uraziły.

— Zmarnować? — powtórzyła i spojrzała na niego. — O nie, wcale tego nie chcę! Powiedziałam już panu, byś był zupełnie spokojny o moją przyszłość. Nie jestem zresztą tak samotna i opuszczona, jak by się to na pozór zdawało... Mogłabym zresztą, gdybym tylko chciała, wyjść za mąż. Starano się już znaleźć dla mnie męża; miałam do wyboru bogatych i młodych konkurentów, niektórzy z nich chcieli naprawdę minie ippoślubić, w kościele wobec księdza... A jednak... nie mogłam...

— Dlaczego? — zapytał szybko.

— Po co o tym mówić? Albo... nie, powiem panu, abyś nie sądził mnie fałszywie. Wie pan, co budzi we mnie wstręt do wszystkich mężczyzn? Z wyjątkiem chyba pana... Powiem panu do ucha: nigdy nie wiem, czy narzeczony nie był kochankiem matki, zanim począł się ubiegać o córkę.

Odwrócił się i szybko podszedł do okna.

Po chwili wrócił i objął ją ramieniem.

— Mój Boże, ile ty wycierpiałaś... — szepnął zdławionym głosem.

— Więcej, niż może znieść młoda dziewczyna... Przed siedmiu laty wszystko zrozumiiałam... Sądziłam, że zdołam się uratować, wyzwolić. Opuściłam natychmiast dom... ten dom... wystarałam się o posadę, obcięłam sobie moje piękne, długie włosy, by wyglądać jak najskromniej, nosiłam tylko bardzo skromne suknie, by uchodzić za przyzwoitą dziewczynę. Sam wiesz, że niewiele mi to pomogło. Gdy chciałam się wydostać za granicę, sprowadzono mnie, jak ci już opowiadałam, z powrotem do domu, do tej, która, jak mówią, ima prawo do opieki nade mną. He, he... opieki! Ona moja... opiekunką! Powiedziałam jej jednak od razu, że zabiję się, jeśli nie dadzą mi spokoju ci... ci goście... klienci... Prawie przez rok cały siedziałam w swoim pokoju, starannie zawsze od wewnątrz zaryglowanym... Musiałam jednak czasem przecież wyjść na ulicę, po prostu, by się przejść, przespacerować; toteż różni bywalcy w domu mej matki wiedzieli, że jestem... Czasem natrętnie dobijali się do mych drzwi... A ona... ona udawała, że mnie bardzo kocha... Unikałam jej, nigdy słowem nie odzywałam się do niej... Ostatecznie stanowczością swą okupiłam sobie spokój; aż wczoraj przyniosła mi do mego pokoju list... zgadnij od kogo?

— Jakże mam zgadnąć?

— Masz rację. Żaden człowiek nie mógłby na to wpaść... Przypominasz sobie człowieka, z którym miałaś zatarg w cukierni?

— Lotko! Czy to możliwe?

— Tak. Otrzymałam wczoraj bardzo uprzejmy list; papier był perfumowany; obiecywał mi bardzo wiele w tym liście, gdybym...

Nagle potrząsnęła silnie głową, jakby chciała odpędzić natrętne, a wstręt budzące myśli.

— Mielśmy przecież wypakować paczkę? — rzekła. — Dajmy spokój tym ohydny sprawom dziś, w wieczór wigilijny, gdy przypadek nas złączył. Chodź do naszej paczki! Powiadam: naszej... Niech nam się przez chwilę zdaje, że spełniło się twoje marzenie: jesteście daleko stąd, bardzo daleko, za oceanem, w Ameryce...

— Spełnimy je, spełnimy to, co zwiesz moim marzeniem! — rzekł z silnym wzruszeniem w głosie. — Przypomnę ci kiedyś po latach ten nasz pierwszy wieczór wigilijny i wtedy będziesz musiała przyznać, że miałem więcej odwagi i byłem lepszym prorokiem niż ty.

Nie odpowiedziała; zajęła się rozpakowaniem pudła. Były w nim przeróżne drobiazgi, para wełnianych rękawiczek, zrobionych ręką starszej siostry, łańcuszek do zegarka, spleciony z jasnych włosów najmłodszej siostry, tort migdałowy, pieczony w domu, wreszcie wielka, zalakowana butelka.

— Czy macie winnicę? — zapytała.

Roześmiał się głośno.

— Wino porzeczkowe! W naszym ogródku rośnie dużo porzeczek. Jako dziecko przepadałem za tym „winem”. Odtąd matka stale przesyła mi flaszkę tego napoju...

— Przypuszczam, że smakuje ci lepiej niż najdroższe reńskie wino... ale patrz, są tu też listy.

— Czy chcesz je przeczytać? Jestem tak wzruszony, że nie wiedziałbym, co czytam.

Usiadła na kanapie i zaczęła czytać z takim przejęciem, jakby w listach tych były niezwykle interesujące wiadomości. A były tylko typowe życzenia świąteczne siostr i matki, były słowa żalu, że brat i syn bawi z dala, że nie może spędzić dzisiejszego wieczora wśród swoich...

— Czy jeszcze czytasz? — zapytał wreszcie. — Są to ludzie prości; gdy piszą, nie umieją wcale przelać na papier najlepszych swych myśli i uczuć... Mój Boże! płaczesz? Lotko!

Włożyła listy z powrotem do pudła i otarła szybko łzy.

— Pójdę sobie — szepnęła.

— Pójdiesz? Teraz? Dokąd? W taką śnieżycę? Zostań przez noc tu, jeśli chcesz... Obok jest kuchnia, prześpię się tam, zestawię kilka krzesel...

Słuchała, mając oczy skierowane ku ziemi. Nagle spojrzała na niego tak, że mu serce poczęło mocno bić.

— Prawda, na dworze śnieżycy... I dokąd miałabym pójść teraz? Czy nie obchodzimy dziś Wili? Ostatniej, którą spędzamy z sobą? Muszę i ja ci coś podarować...

— Mnie... podarować? — zapytał i spojrzał na nią zdziwiony.

— Jedyne, co jeszcze posiadam... siebie samą! — szepnęła i objęła ramionami jego szyję.

\*

Gdy o świcie obudził się i usiadł na łóżku, nie zdając sobie sprawy, czy śnił tylko, czy też rzeczywiście przeżył to przeczudne zdarzenie — pokój był pusty... obszedł wszystkie kąty, zajrzał do kuchni; może dla żartu ukryła się?... Kilkakrotnie szepnęła: Lotko... Lotko... Nikt nie odpowiadał. Zimno było bardzo w pokoju; wsunął się znowu pod kołdrę i ustawivszy poduszkę niemal pionowo, siedział, z trudem zbierając myśli.

Nagle straszne podejrzenie przemknęło mu po głowie. Szybko ubrał się i zapalił lampę. Na stole stało jeszcze pudło z podarunkami od rodziny. Tuż obok leżała kartka papieru. Pismo na niej było dość niewyraźne, jak gdyby ktoś ołówkiem pisał drżącą ręką w ciemności. Z trudem odcyfrował:

„Żegnaj, mój drogi przyjacielu, mój jedyny przyjacielu! Sprawia mi ból, że muszę się w ten sposób z tobą rozstać. Ale nie ma innego sposobu; nie puściłbyś mnie tam, gdzie iść muszę... Dzięki za tę miłość i wierność. Ale cała słodycz twojej duszy nie może usunąć goryczy, która się we mnie zebrała. Żegnaj! Śpisz, a ja pochylam się nad tobą, by cię raz jeszcze ucałować. Przypinam do bluzki broszkę z węzłem. Teraz wolno mi ją nosić. Nie wiem, czy zdołasz odczytać te słowa; piszę w ciemnym zupełnie pokoju. Nie martw się; wierzę, że jest mi teraz dobrze. Twoja wierna do śmierci!”

Służąca, która właśnie weszła do kuchni, by napalić w piecu, usłyszała przeraźliwy okrzyk w sąsiednim pokoju i przestraszona otworzyła drzwi. Ujrzała młodego studenta, leżącego na kanapie i przyciskającego dłoń do twarzy.

— Co się stało? — zapytała.

— Która godzina?

— Szósta.

— Podaj mi prędko płaszcz i laskę, idę...

Zerwał się z kanapy i poszedł w stronę drzwi.

— Bez czapki? Na taki mróz? Żywej duszy nie ma na ulicy.

— Gdzie czapka?

— Może by się pan napił kawy? Woda wkrótce się zagotuje...

Nie odpowiedział. Szybko zbiegł ze schodów.

Śnieg skrzypiał pod jego nogami. Na ciemnych ulicach panowała pustka. Tylko na skrzyżowaniach, oparci o mury domów, stali posterunkowi, otuleni w długie płaszcze. Gdy przyszedł na most, stwierdził, że rzeka w nocy pokryła się cienką warstwą lodu. Szedł wzdłuż brzegu rzeki, bacznie wpatrując się w powłokę lodową, jakby czegoś szukał.

Potem zaczął błądzić w labiryncie ulic, bez planu, bez celu. Pędził go lęk, okropna wizja; szedł coraz szybciej; biegł, przystawał, rozglądał się — i znowu pędził naprzód.

Upłynęło kilka godzin, ulice zaczęły się już ożywiać, pierwsi przechodnie śpieszyli do kościołów.

Dostał się na krańce miasta. Wtem ujrzał dorożkę zatrzymującą się przed budką poborcy akcyzy. W szerokim futrze stał przed budką poborca i rozmawiał z policjantem siedzącym obok woźnicy na kozle.

— Muszę tę kontrabandę — mówił policjant — odstawić do sądu... Właśnie objąłem o świcie służbę i obszedłem swój rejon, gdy na pierwszej ławce ogrodu zastałem przywoicie ubraną kobietę; siedziała opierając się o poręcz, jakby spała. Moje dziecko, powiadam, proszę sobie poszukać lepiej ogrzanej sypialni... Kobieta ani drgnie... W ręce ma flaszeczkę... Otruła się, biedactwo... Zimna już... Do widzenia! Muszę ją odstawić do urzędu śledczego.

Woźnica trzasnął z bicia.

Poborca krzyknął:

— Czekaście! Możecie zabrać ze sobą jeszcze jednego pasażera. Jakiś pan zajrzał do wnętrza dorożki... i bums... runął na śnieg. Złaz pan z kozła, mój drogi, i pomóż mi podnieść tego młodego człowieka. Musi to być nie lada pokraka, kiedy mdleje na widok trupa.

Woźnica i poborca zanieśli młodzieńca do budki i poczęli nacierać śniegiem. Jednak omdlenie było tak silne, iż dopiero wezwany lekarz przywrócił z trudem studenta praw Sebastiana Bastla do przytomności.

Po wielu tygodniach spędzonych w szpitalu odjechał ze stolicy do swych rodziców, którzy nigdy nie dowiedzieli się, dlaczego przez dalszy okres życia był taki smutny i ponury i dlaczego pędził życie odludka i samotnika.

---

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/heyse-cztery-kobiety>

Tekst opracowany na podstawie: Paul Heyse, Cztery kobiety, tłum. Merwin Bertold, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1960.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Dorota Kowalska, Paulina Choromańska.

Okładka na podstawie: [balakc@Flickr](mailto:balakc@Flickr), CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-5302-7

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Pomóż uwolnić konkretną książkę, wspierając zbiórkę na stronie [wolnelektury.pl](http://wolnelektury.pl).

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).